

Fot. Jarosław Kąkol



**Pejzaż miejski
z zaściankiem
w tle**

0 2000
Wydawca: **Fundacja Res Publica**
im. Henryka Krzeczковского
Warszawa 1999

ISBN 83-910975-3-6



Z.406879

© **Elżbieta Kaczyńska**
Opracowanie graficzne: **Teresa Oleszczuk**
Łamanie: **Agnieszka Sieńkowska**
Redakcja językowa: **Dorota Cyngot**
Korekta: **Danuta Sabała**

Wydanie książki zostało dofinansowane przez
Ministerstwo Kultury i Sztuki

Z.406879

Elżbieta Kaczyńska

**Pejzaż miejski
z zaściankiem
w tle**

Res Publica
f u n d a c j a
Warszawa 1999



Spis treści

Przestroga	6
I. Kilka obrazków z końca tysiąclecia	12
II. Kontrowersyjne wizerunki miasta	24
III. Mieszczanie i obywatele	38
IV. Peryferie modernizacji: miasta polskie	68
V. <i>Classes dangereuses</i> : miasta plebsu i proletariatu	98
VI. Zmiany miejskiego krajobrazu	118
VII. Obraz życia miejskiego sto lat temu – czasy obrzydliwe, ale nie straszne	140
VIII. Zaścianek	174
IX. Straszni mieszczanie i jeszcze straszniejsza drobnomieszczańskość	212
X. Dziedzictwo	234
Bibliografia	238

Przestroga

„Z miastami jest jak ze snami: wszystko, co wyobrażalne, może się przyśnić, ale nawet najbardziej zaskakujący sen jest rebusem, który kryje w sobie pragnienie lub jego odwrotną stronę – lęk. Miasta, jak sny, są zbudowane z pragnień i lęków, nawet jeśli wątek ich mowy jest utajony, zasady – absurdalne, perspektywy – złudne, a każda rzecz kryje w sobie inną [...] Miasta również uważają się za dzieło umysłu lub przypadku, ale ani umysł, ani przypadek, nie wystarczają do podtrzymania ich murów. To, co sprawia ci radość w mieście – to nie jego siedem czy siedemdziesiąt siedem cudów, ale odpowiedź, jakiej udziela na twoje pytanie. Albo pytanie, jakie zadaje, zmuszając cię do odpowiedzi, jak Teby przez usta Sfinksa” (Italo Calvino)¹

6

Książka opowiada o historii miast i miejskiego społeczeństwa w Polsce w ciągu dwóch ostatnich stuleci. Nie jest to jednak zarys systematyczny i pełny, lecz zupełnie dowolny wybór zdarzeń i sytuacji, które służą sformułowaniu paru ogólnych tez o polskim społeczeństwie – dawnym i dzisiejszym. Historia miast bowiem to niemal historia cywilizacji. Od samego zarania swej historii miasto – w przeciwieństwie do wsi – stanowiło element dynamiczny i charakteryzowało się dużą heterogenicznością społeczną i kulturową. To miasta wywoływały przemiany w gospodarce, stosunkach społecznych, kulturze i obyczajach.

¹ I. Calvino, *Niewidzialne miasta*, tłum. z włoskiego A. Kreisberg, Warszawa: Czytelnik 1975, s. 34.

Miasto rewolucjonizuje życie społeczne, zmienia przyzwyczajenia i postawy ludności, jest – jak pisał Fernand Braudel – forpocztą modernizacji. Urbanizacja jest wskaźnikiem „postępu”, ale może też być ważną przyczyną destabilizacji społecznej. Niektórzy socjologowie, jak na przykład Samuel Huntington, za punkt wyjścia analizy przemian politycznych przyjęli zmianę stosunków i proporcji między wsią a miastem. Modernizacja stwarzała rozdźwięk między tym, co wiejskie – dworskie, chłopskie, a tym, co było wytworem miejskiego życia. W miastach adaptacja do zmian technicznych była szybka, tworzyły się nowe warstwy społeczne, nowe potrzeby, nowy typ kultury, nowy – kupiecki – język. W krajach najbardziej rozwiniętych różnice między miastem a wsią uległy zatarciu, choć tam, gdzie podtrzymywane są tradycje, do dziś można obserwować różnice, zapewne drugorzędne, ale na co dzień odczuwalne. Zacierają się one też w Polsce, ale wolniej i proces ten jest powstrzymywany przez rozmaite siły polityczne znacznie bardziej niż na Zachodzie.

7

Miasta więc, z punktu widzenia przyjętego w tej książce, są czymś więcej niż tylko zbiorowiskiem ludzi oraz zabudowy odmiennej od wiejskiej. Miasta traktuję jako swoisty stan umysłów, żywy organizm, na który składają się obyczaje i tradycja, odmienny typ organizacji i zachowania. Miejska cywilizacja składa się z ulic i budynków, światła elektrycznego i tramwajów, instytucji takich jak sądy, szkoły, policja itd. Korzystanie z tych urządzeń i instytucji, wprowadzanych przez człowieka, by zaspokajały jego potrzeby, pociąga za sobą odpowiedni sposób zachowania, liczenia czasu, poruszania się i komunikowania z otoczeniem. Tym, czym dom jest dla włościanina, tym miasto dla człowieka rozwiniętej cywilizacji. Oswald Spengler powiedział, że tak jak są bóstwa strzegące domowego

ogniska, tak istnieje bóstwo opiekujące się miastem; konkretnym tego wyrazem może być kult świętych patronów miast. Miasto nie jest mechanizmem, sztuczną konstrukcją, ale – jak powiadają Robert Park i Ernest Burger, autorzy książki *The City* – produktem natury ludzkiej, i pozostaje wciągnięte w procesy życiowe mieszkańców.

8 Modernizacja jest pojęciem kontrowersyjnym, ale wygodnym, dlatego mimo ciągłego podawania w wątpliwość zasadności używania tego słowa, jest ono ciągle obecne w naukach społecznych i w języku potocznym, a kariera „postmodernizmu” (*nota bene* pojęcia jeszcze bardziej kontrowersyjnego) potwierdza użyteczność takich syntetycznych nazw. Do modernizacji zalicza się rozwój technologii, zmianę struktury zatrudnienia, zmiany prawne itp., zaś polityczną modernizację określa się (za Huntingtonem) jako racjonalizację władzy i poprzez najważniejsze efekty: wytworzenie państwa narodowego i świeckiego. Nowy, „racjonalny” system funkcjonowania państwa polega na wytworzeniu wyspecjalizowanych struktur w celu wypełniania funkcji, które stały się zróżnicowane. Modernizacja utożsamiana jest też z politycznym uczestnictwem (przynajmniej potencjalnym) wszystkich grup społecznych. Mówiąc prościej, modernizacja to uprzemysłowienie, urbanizacja, profesjonalizacja, laicyzacja, demokratyzacja. Oczywiście, takim zmianom muszą towarzyszyć zmiany mentalności, przyzwyczajzeń, życia codziennego i sposobu wytwarzania kultury oraz korzystania z niej.

W Polsce proces modernizacji przebiegał po pierwsze – z opóźnieniem w stosunku do Europy Zachodniej i Środkowej, po drugie – konwulsyjnie, skokami, bowiem co raz to przerywany był wypadkami

politycznymi. Czy mógł być szybszy w warunkach niepodległości? Niektórzy historycy uważają, że nie w braku niepodległości, lecz w strukturze społecznej, w stosunkach społeczno-politycznych i kulturze polskiej tkwiły czynniki antymodernizacyjne, i nie zagrożona, nie rozdarta Rzeczpospolita pozostałaby długo takim krajem, jakim była w początkach XVII stulecia. Inni kładą nacisk na okoliczności zewnętrzne, które unicestwiały reformy i pobudzały narodowe kompleksy. Spór nie jest rozstrzygnięty od ponad stu lat i jest oczywiste, że oba stanowiska zależą w dużej mierze od stopnia ugruntowania sentymentów patriotycznych u historyków w nim uczestniczących.

Do zrywów modernizacyjnych można zaliczyć próby reform i etapy szybszego rozwoju gospodarki, kończące się początkowo załamaniem i stagnacją. Jest to więc okres między rozbiorami, potem lata dwudzieste XIX wieku w Królestwie Polskim, połowa stulecia w Galicji i w Poznańskim. Mniej więcej od lat siedemdziesiątych XIX wieku procesy modernizacyjne – choć niepełne – stały się już niepowstrzymane. O ile I wojnę światową można uznać – niezależnie od zniszczeń, jakie przyniosła – za źródło przyśpieszenia modernizacyjnego, to II wojna przyniosła zmianę, która nie mieści się już w kategoriach takiego rozumowania. W rezultacie okres po 1989 r., nazywany przez socjologów „zmianą” lub „transformacją” (mamy już nawet nową dziedzinę badań, „transformatologię!”), można uznać za kolejny etap modernizacji.

W książce tej uwaga jest skupiona na tych tylko aspektach historii miast i społeczeństwa, które mają związek z procesem modernizacji (włączając w to „transformację”), są jej przesłanką, przeszkodą lub ułatwieniem, skutkiem. Czasem zresztą trudno jest odróżnić przyczyny od okoliczności towarzyszących, te

– od skutków. Poza tym głównym przedmiotem analizy są te zjawiska, które wydają się być stale aktualne lub przeszły do tradycji, z jej pozytywnymi lub negatywnymi konsekwencjami.

Dowolność wyboru zagadnień, które będą poruszane, jest więc pierwszym grzechem przeciwko zasadom pracy naukowej. Drugim grzechem, może jeszcze cięższym, będzie subiektywizm. Nie proponuję tekstu wyważonego, w którym wszystkiego jest po trochu: pozytywów i negatywów, bilansowania rozmaitych opinii i ostrożnych, nieprzejaskrawionych osądów. Książka nie będzie obiektywna – z całą świadomością emocje będą w niej obecne, a tezy zostaną przerysowane. Jeśli uda się wzbudzić emocje w Czytelniku – tym lepiej, chodzi bowiem o wywołanie sporu.

10 Podstawowym motywem, który będzie się przewijał, jest teza o braku rozwiniętej kultury miejskiej w Polsce. Chodzi tu zarówno o kulturę wyrażającą się w sposób materialny – urbanistykę, architekturę, wątki artystyczne i literackie, jak i o mentalność szerszych kręgów społecznych oraz o zachowania codzienne ludności mieszkającej w miastach. Można odwołać się tu do opinii socjologów (np. Henryka Domańskiego) o braku polskiej klasy średniej lub o wielkim rozczłonkowaniu klas średnich (np. Jacka Kurczewskiego o „siedmiu klasach średnich”), co na jedno wychodzi². Kolejna teza ma charakter wartościujący: stan powyższy jest uznany za negatywny z punktu widzenia całego procesu społecznego i postaw ludności wobec zachodzących w Polsce przemian.

² Zob. „Bibliografia – wybór”.

Poparciu tych tez służyć będzie analiza historycznych okoliczności i tego, co składa się na tradycje, dość łatwe do zaobserwowania. Sytuacja i życie miast od schyłku Rzeczypospolitej w XVIII wieku do naszych czasów (nie przedstawione w sposób systematyczny, podręcznikowy) będą porównywane z tym, co działo się na Zachodzie. Nie wszyscy chcą, by Polska weszła do Unii Europejskiej, niemal wszyscy pretendują przecież do przynależności do „Europy” – do jej cywilizacji i kultury. Odwoływanie się do dziejów powszechnych i współczesnych nam wzorców kulturowych w Europie (i Ameryce Północnej) jest przeto konieczne; inaczej nie zobaczymy ani wspólnoty kulturowej, ani polskiej specyfiki. A należy do niej przede wszystkim (z punktu widzenia poruszanej tu tematyki) przerost szlacheckości, w dodatku w jej drobnoszlacheckim wydaniu. Skutkiem jest ciągła obecność wiejskich wzorców kulturowych, specyficzny populizm, osobliwość socjalna, jaką jest „inteligencja” i tzw. symboliczny nacjonalizm, który rozwinął się w warunkach braku własnej państwowości i wyraża się w najrozmaitszych kompleksach. To ostatnie zjawisko – nacjonalizm, choć niesłychanie ważne, nie będzie tu jednak omawiane. To prawda, że mimo ogromnej literatury o nacjonalizmie można nieustannie pisać na nowo, ale w tej książce temat ten będzie pominięty. Inaczej stałby się dominującym wątkiem.

I. Kilka obrazków z końca tysiąclecia

„To miasto nie zacierające się w pamięci jest jak rusztowanie czy sieć, w której okach każdy może umieszczać to, co chce zapamiętać: nazwiska sławnych ludzi, cnoty, liczby, klasyfikację roślin i mineralów, daty bitew, gwiazdozbiory, części mowy. Pomiędzy każdym pojęciem a każdym z punktów swej drogi będzie mógł ustalić związek podobieństwa lub kontrastu, który posłuży pamięci za natychmiastowy punkt odniesienia. Toteż najwięksi mędrcy świata to ci, którzy znają Zorę na pamięć. Ale na próżno wyruszyłem w podróż z zamiarem odwiedzenia tego miasta: Zora, zmuszona do trwania, nieruchoma i niezmienna, aby lepiej zapisywać się w pamięci, zastabła, rozpadła się i znikła. Ziemia o niej zapomniała”. (Calvino, 14).

12

Gdy miasto się kocha, powstają o nim i dla niego książki i poematy. Do jakiej twórczości inspirują polskie miasta? Chyba nie przypadkiem symboliczną piosenką Warszawy (pomijam rozmaite treny na jej śmierć z czasu II wojny światowej) jest pisany językiem lumpów szlagier *Warszawa da się lubić*. Powodem do lubienia Warszawy jest tylko to, że jest to stolica, poza tym „każde słowo zbędnem, w ogóle, i w szczególności, i pod każdym innym względem”. Można jeszcze zrozumieć przywiązanie warszawian, którzy ocaleli i wracali do miasta zniszczonego najpierw wojną, a potem bezsensownym planowaniem przestrzeni miejskiej, dziś przecież dziwią małe wymagania mieszkańców, którzy nie chcą dostrzec szpetoty Warszawy. Poza małymi i upiększonymi punktami (bo nawet nie dzielnicami) niewiele zostało z miejskiej przeszłości, a szansę

odbudowy stolicy „piękniejszą niż była” (bowiem – prawdę mówiąc – Warszawa nigdy nie była urodziwa) zaprzepaszczone chyba bezpowrotnie. W wywiadzie opublikowanym w 1986 r. w czasopiśmie „Zibaldone” (nr 1) autor *Niewidzialnych miast* Italo Calvino wspomniał o fascynacji, której można ulec w mieście. W Rzymie – powiedział – od 200 lat żyli pisarze przybywający z całego świata, którzy nie mieli żadnego specjalnego powodu, by mieszkać tu, a nie gdzie indziej, ale stawali się genialnymi badaczami ducha tego miasta, ciągle spragnieni wiedzy o nim. Inni zaś, którzy osiedlili się z powodu jakichś korzyści, pozostali miastu obcy; miasto może być domem, może być jak hotel, w którym spędza się jedną noc. Można się zastanawiać, czy nadmiar takich mieszkańców, którzy nie dostrzegą ducha miasta i pozostaną mu obcy, nie prowadzi do uwięzienia, choroby, obumarcia Miasta. W przewodniku po Chorwacji można przeczytać o Rijece, że jest to miasto, z którego „uleciała dusza”. Sądzę, że o wielu miastach w Polsce to samo da się powiedzieć.

W pięknej, wielokrotnie wznawianej książce o miastach wiktoriańskich Asa Briggs pisze – powołując się na innego piewcę kolorytu miejskiego, Charlesa Bootha – o procesie identyfikacji z miastem jego mieszkańców, także tych, którzy urodzili się na wsi. W historii był czas, kiedy poczucie przynależności do grupy lokalnej albo – inaczej mówiąc – świadomość miejska była silniejsza od świadomości klasowej czy etnicznej. W tym czasie z jednej strony duma obywatelska, z drugiej – obywatelska lojalność wobec wyzwań, by rozwiązać pilne problemy, inspirowały do zmiany otoczenia i sprzyjały powstaniu czegoś w rodzaju obywatelskiej ewangelii. W wielu miastach można to dostrzec, spacerując po ulicach. Bez miłości mieszkańców do swego miasta nie byłaby tak piękna

Barcelona ani Praga, Budapeszt i wiele innych miast i – zwłaszcza – miasteczek.

Przyszłam na świat w Warszawie, przeżyłam tu całą wojnę i w zasadzie całe życie (bo tylko z półroczną przerwą), pamiętam ją z czasów przed zniszczeniem, a przecież z żalem i z bezsilną złością mogę wołać, jak Mariusz Janicki w „Polityce” z 1 września 1998 r.: Warszawa nie da się lubić! Nie wiadomo, gdzie zaczyna się, a gdzie kończy miasto, i to nie tylko pod względem administracyjnym i funkcjonalnym, o czym pisze Janicki, ale także z punktu widzenia zabudowy: Aleje Ujazdowskie z kawałkiem jeszcze miejskiej Belwederskiej przechodzą w pola, które jednak nie mają już uroku wsi. Miasto znika i nagle po paru kilometrach pojawia się znowu, ale już jako monotonne i brzydkie koszary Stegien czy nigdy nie doprowadzona do planowego stanu sypialnia ursynowska, w której nawet stali mieszkańcy niełatwo znajdują drogę do domu, brnąc przez błotniste klepiska (miały to być zapewne parki i skwery) i rozdeptane, rozjeżdżone przez samochody trawniki.

14

Może to tylko przypadek Warszawy, która godna jest, by wygrać w konkursie na najbrzydszą europejską stolicę? Kiedy przejedziemy przez kraj, zobaczymy podobną rozbabraną urbanistykę na całym Mazowszu, na Śląsku, na Wybrzeżu (gdzie przed wojną zdołano wybudować zupełnie nowe, a wcale niebrzydkie miasto – Gdynię). Takie same „blokowiska”, pola wpełzające niemal do środka miast, okropne ogródki – *slumsy* (nawet w tych najstarszych zieleń nie jest w stanie zastąpić skleconych z byle czego bud i płotów) zobaczymy w Koninie, Sochaczewie, Tychach, Wysokiem Mazowieckiem, we Wrocławiu i nawet w Krakowie, jeśli opuścimy centrum, to znaczy teren w promieniu nie dłuższym od kilometra od linii Plant.

Kraków – to najpiękniejsze miasto Polski – da się jeszcze lubić? Od paru osób, które tam musiały pomieszkać (o czym zresztą marzyły), wiem, że urok Krakowa staje się problematyczny, gdy trzeba wdychać okropnie zanieczyszczone powietrze, korzystać z transportu miejskiego czy obijać się w tłumie nieprzyjaznym, poruszającym się w stresie nie tylko w okolicach dworca, ale także na Floriańskiej czy na Kleparzu. Obcy przybysze potrafią zauważyć coś, co umyka uwadze tubylców: zaobserwowali na przykład, że w Krakowie ludzie charczą i spluwają – chodniki pokryte są plwocinami. Skąd to się bierze? Ten zwyczaj był typowy na dawnych targach i jarmarkach, zwłaszcza na targach końskich należał do rytuału. Przybywający na nie chłopcy spluwali przed przystąpieniem do transakcji, po jej zawarciu, gdy byli zakłopotani, źli lub zadowoleni, po każdej szklance wypitej wódki. Końmi się w Krakowie nie handluje, ale obyczaj końskiego targu przeniknął do miasta.

15

Przykłady urbanistycznego bałaganu można mnożyć. Uprawne pola, ogródki działkowe z grządkami warzyw i budami podobnymi do tych ze *slumsów* w środku miast – to tylko jedna z oznak. W wielu miastach nie ma serca – centrum, tego co w tradycji anglosaskiej nazywa się *city* lub *downtown*. Pałac Kultury – prawdziwa tragedia urbanistyczna – i plac wokół niego zabiły centrum Warszawy, ale przecież wiele innych polskich miast nie ma prawdziwego centrum; w Gdańsku na przykład ogranicza się ono do jednej ulicy – Długiego Targu. Piękne dawniej miasto jest teraz brzydkie i nieprzyjazne. W jeszcze innych miastach centrum ożywia się na krótko i od wczesnego wieczora zamiera. W większości krajów europejskich miasta pulsują swym szczególnym rytmem i centrum zmienia oblicze o różnych porach dnia; wieczorem na chwilę

pustoszeje, by znowu rozbrzmiewać – co najmniej do północy – gwarem ludzi zapelniających kawiarnie i restauracje, korzystających z kin i teatrów lub spacerujących po oświetlonych, atrakcyjnych, prawdziwych ulicach. Dodajmy, że nie trzeba tam patrzeć pod nogi, by nie potknąć się lub nie wpaść w dziurę w chodniku.

Główne dworce kolejowe i autobusowe w wielu miastach świata stały się ważnymi punktami urbanistycznymi i animacyjnymi życia miejskiego. Zawsze przyciągały one bezdomnych, pijaków i złodziei, ale ponieważ zauważono, ile korzyści można czerpać z takiego miejsca, dba się o oświetlenie i czystość, a policja jest tu liczniejsza i czujniejsza niż gdzie indziej. W dniu otwarcia Dworca Centralnego w Warszawie jego projektanci i budowniczowie dostali nagrody i ordery. Dworzec jednak nigdy nie został wykończony: część przejść do dziś ma tymczasowy charakter, nieczynne są windy, więc bagaż dużych rozmiarów trzeba spuszczać na perony wąskimi schodami ruchomymi. Niezwykły problem sprawia przetransportowanie chorego na noszach – personel odmawia uruchomienia wind. Wszędzie cuchnie, nawet w głównej hali dworcowej, która stała się schroniskiem bezdomnych i tak zwanych bezdomnych. Kiedy próbowano ich przenieść do noclegowni, znalazło się mnóstwo osób i instytucji współczujących, które okazywały wielkoduszność cudzym kosztem i nie mogły zrozumieć, że głównymi użytkownikami dworca powinni być jednak podróżni. Ci zaś są narażeni na wszelkie nieprzyjemności, nie mówiąc o braku ułatwień, takich jak wózki bagażowe czy uczciwi taksówkarze. W dniach poboru do wojska lub zwalniania ze służby oraz w czasie meczu piłki nożnej nie należy zapuszczać się w te strony, jak zresztą w stronę jakiegokolwiek dworca kolejowego w Polsce.

Może więc dom jest schronieniem, miejscem spokoju i wypoczynku? Nowoczesne projektowanie odrzuciło podwórka jako straszne dziedzictwo kapitalistycznego budownictwa, bowiem – argumentowano – w mieszkaniach od strony podwórka jest mniej światła, a samo podwórko jest aspołeczne – odcina od świata zewnętrznego. W rezultacie zamiast podwórka mamy zaśmiecone pola. Nie przestrzega się czystości i nie szanuje zieleni – wszak każdy może tędy przejść, więc to nie nasze. Można ogrodzić kawałek ziemi i urządzić ni to rabatki, ni to warzywny ogródek, ale leżące tuż za ogrodzeniem śmieci już nie przeszkadzają jego właścicielowi. Przykładem zachowań chłopskich w mieście jest walka z wszelkimi regulacjami porządkowymi (czasem wspierana w imię zasad „liberalizmu”) oraz z nowoczesnymi urządzeniami miejskimi, takimi jak spalarnie śmieci, mosty i drogi.

Mania protestów może być interpretowana jako reakcja na dawne ubezwłasnowolnienie ludzi i ich uzależnienie od arbitralnych decyzji urzędników. Można też zrozumieć zaniepokojenie w obliczu nowych inwestycji, bo są podstawy, by się spodziewać bezmyślności i niedotrzymywania obietnic. Kto może ufać administracji, która tyle razy nie realizowała zatwierdzonych planów i jeszcze w latach siedemdziesiątych XX wieku nie przewidywała rozwoju motoryzacji? Jeszcze jedną przyczyną antymiejskich zachowań ludności, która może wyjaśniać, a częściowo także usprawiedliwiać te zachowania, jest brak wyboru. Kto urodził się lub raz osiadł w jednym miejscu, ma nikłą szansę przeniesienia się tam, gdzie czułby się lepiej. Nie wszyscy mieli dobre „układy” w przeszłości, nie wszyscy mają odpowiednie dochody obecnie. Trudno więc komuś, kto marzy o własnym domku z ogródkiem, powiedzieć: coś za coś – jeśli mieszkasz w mieście, masz

różne awantaże, ale musisz się pogodzić z niedogodnościami, których nie ma na wsi lub na przedmieściach. Niezależnie od przyczyn, skutki są jak najgorsze; czym w Polsce różni się miasto od przedmieścia?...

Dlaczego społeczność miejska w Polsce nie weźmie spraw swej dzielnicy, czy nawet najbliższej okolicy, pod opiekę? Nie chodzi przecież o to, by mieszkańcy ochotniczo zajmowali się tym, za co pieniądze bierze opłacana przez nich administracja, ale o kontrolowanie tej administracji i powoływanie do niej odpowiednich ludzi. Trudno dać na to jednoznaczną odpowiedź; jak się wydaje, ciągle działa dziedzictwo przeszłości – brak tego, co na Zachodzie określa się jako społeczeństwo obywatelskie. Można w tym widzieć wpływ negatywnych tradycji, nie tylko PRL, ale i czasów dawniejszych, o których chcę tu pisać. Poza tym po II wojnie światowej nastąpiła największa w historii społeczna degradacja miast, spowodowana gwałtownym, nie notowanym nigdy przedtem napływem ludności z najuboższych i najmniej oświeconych warstw wiejskich, zupełnie nienawykłych do miejskiej cywilizacji i współżycia z innymi w warunkach miejskich. Awans kulturowy i materialny wsi w okresie PRL był niewątpliwy, ale oczywiście miał skutki uboczne; jednym z nich jest brak przywiązania do miasta jako typu osadniczego oraz lekceważenie higieny i estetyki. Brak zainteresowania życiem publicznym – wybieramy byle kogo i nie rozliczamy z działalności – bazuje na przeświadczeniu (w znacznym stopniu uzasadnionym), że i tak nie mamy wpływu na politykę, opanowaną przez bezwzględne, amoralne lobby, a jeśli pójdziemy na zebranie mieszkańców, to zostanie ono zerwane przez pieniaczy i psychopatów. Dlatego miastem i dzielnicami mogą rządzić ludzie, którzy

przyczynili się do narastania zaniedbań i zniszczeń, i którzy je ignorują mimo zagarnianego przez siebie wynagrodzenia.

Etnolog wie, że od stuleci wzorce estetyczne i obyczajowe szły zwykle z miasta na wieś, choć w dość powszechnym przekonaniu było odwrotnie. Na miasto oddziaływał styl dworski, dostosowywany do skromniejszych warunków przestrzennych. Malowane skrzynie służyły mieszczanom, później przyszła na nie moda na wsi. Tam utrzymały się dłużej, dlatego uważa się je za ludowe. Podobnie było z kilimami i chodnikami, malowanym szkłem i fajansami. Koronkarstwo żywieckie rozwinęło się dzięki parze nauczycieli, którzy przybyli z Wiednia; w Austrii istniało Ministerstwo Robót Publicznych, między innymi wspierające przemysł „ludowy”, powstały urzędy do spraw zatrudnienia kobiet i kursy przy Instytucie Technologicznym. Podobną działalność rozwijano w Rosji między 1880 a 1910 r., bowiem, wbrew stereotypowi, umiejętności rzemieślnicze nie były rozwinięte wśród ludności wiejskiej i tradycje podupadały.

W okresie dwudziestolecia międzywojennego w różnych krajach, także w Polsce, przyszła moda na ludowość, ale przecież hołdowała jej głównie inteligencja, ta zwłaszcza, której nie było stać na antyki. W PRL taka ludowość, osiągnąta niejednokrotnie z najwyższym wysiłkiem, była inteligencką manifestacją niechęci do niesłychanej monotonii mebli produkowanych w socjalistycznych wytwórniach. Nie było wyboru – do ciasnych mieszkań miejskich kupowano więc niewygodne „wersalki” i „mebłościanki”. Spodobały się one na wsi; ustawiano je nawet w drewnianych chatkach i do dziś są podstawą umeblowania prowincjonalnych wnętrz, niezależnie od ich rozmiarów.

20 Wejdźmy do przeciętnego nowego (to znaczy z lat 1960-1990) domu na wsi lub w małym miasteczku: najpierw znajdziemy się w ciasnym przedpokoju, na pewno zastawionym obuwiem. Jako goście zostaniemy wprowadzeni do salonu, w którym całą ścianę zajmuje ciemny komplet składanych mebli „na wysoki połysk”. Za szkłem stoją paradne kieliszki i wazon, ale kwiaty na stole włożono do słoika. „Mebłościanka” służy do wszystkiego: jako kredens, szafa ubraniowa, bieliźniarka, schowek na lekarstwa, nici i szkolne akcesoria. W salonie jest oczywiście wersalka, starannie okryta narzutą, by nie niszczyć obicia (przetrwa ono na pewno sprężyny). Co ciekawe, ostatnio nie widzi się tam telewizora. Zajmuje on teraz główne miejsce w pokoju, nazywanym „telewizyjnym”, nie tak starannie umeblowanym, bo tu skupia się całe życie rodziny – tu się je, tu się wypoczywa, a nawet śpi przy świecącym ekranie i raz na zawsze potężnie nastawionym głośniku. W tych nowych domach, których rozplanowanie zależało przecież od ich właścicieli, kuchnia straciła swe dawne rozmiary, stała się ciasna i niewygodna. Jest też łazienka, ale również ciasna i zagracona. Wanny na ogół nie używa się (nie mówiąc o prysznicu), więc zaślania ją konstrukcja, na której stoi zwykła miska.

W PRL w miastach zaczęły odżywać sentymenty wiejskie. Prawdopodobnie najsilniejsze są one w drugim miejskim pokoleniu i wśród tej ludności, która, choć urodzona na wsi, dorastała już w mieście. Warunkiem zaspokojenia ukrytych potrzeb rustykalnych stało się – brzmi to paradoksalnie – poszerzenie sfery rynkowej. Co więc zobaczymy w przeciętnym mieszkaniu? Przede wszystkim – boazerię. Im więcej starań wkładają lokatorzy w utrzymanie swego domu, tym więcej drewna, od podłogi do sufitu. To nic, że z każdego metra sześciennego przestrzeni ubywa kilkanaście

centymetrów – wszak drewno jest „cieple”, poprawia nastrój. W takim pomieszczeniu, które ma przypominać górskie schronisko lub wiejską izbę, tłoczą się sprzęty z seryjnej produkcji, z nieodzownymi „meblościankami” i wersalkami. Zapewne będą też stały rowery górskie, bo złodzieje potrafią je ukraść nawet z balkonów. Ale zdarza się nowość: jeśli tylko zostanie trochę miejsca, by się przecisnąć, wersalkę lub kanapę ustawiamy nie przy ścianie, a prawie na środku pokoju, jak w wielkich salonach z amerykańskich filmów. Światło jest kiepskie, bo ma być nastrojowe; jego źródło nie może być umieszczone centralnie. Ulubione są kinkiety na ścianach, takie same jak w kawiarniach lub restauracjach trzeciej kategorii. Jeśli mamy dość pomieszczeń, jeden pokój będzie „telewizyjny”, jak na wsi. Taki pokój wydaje się być potrzebniejszy od pokoju gościnnego czy nawet dzieciennego.

Ceremonie rodzinne – wesele, chrzciny, obiad po pierwszej komunii dziecka, stypa – urządzone są coraz częściej w restauracjach, bo mieszkania są małe, a wiejskim zwyczajem trzeba zaprosić na nie kilkadziesiąt osób: nie tylko bliską, ale i dalszą rodzinę, a także sąsiadów; wstyd urządzić przyjęcie tylko na kilkanaście osób. W obyczaju miejskim utrwał się paradny przejazd samochodami ustrojonymi tak, jak na wsi przystrajano kiedyś konie i bryczki. Kiedyś – bo nawet jeśli gospodarz ma konie i wóz, to nie posadzi na nim ani młodych, ani gości.

Co sływać w miejskim „blokowisku”? Na pewno hałasujące windy, spuszczaną w mieszkaniach wodę, świst w rurach i każdy stuk, bo hałas rozchodzi się świetnie w betonowych blokach. Usłyszymy także głośno nastawione telewizory, podniesione głosy, donośne nawoływania; w zagrodzie wiejskiej nie trzeba było się krępować, dlatego teraz w mieście trudno pojąć, że może komuś hałas zakłóca spokój. Dzieci wrzeszczą

z podwórek do mam, a mamy odkrzykują z okien. Kiedy pada deszcz, klatki schodowe zamieniają się w świetlice, ponieważ rodzice nie życzą sobie przyrowadzania kolegów i koleżanek do domu – narobią bałaganu, pobrudzą, może nawet coś zniszczyć. Ci nieszczęśnicy, którym hałasy na klatce schodowej przeszkadzają, nie ośmielają się odezwać – usłyszą albo wyzwiska, albo w szczęśliwszym przypadku wypomnienie, że mają zły stosunek do dzieci, naszego skarbu i ucieleśnienia niewinności.

22 Udajemy się do osiedlowego sklepu. Znajdziemy w nim wszystko, co potrzebne, bo gospodarka rynkowa zrobiła swoje. No i w każdym sklepie jest mydło i powidło; w kiosku z gazetami kupimy nie tylko papierosy i zapalki, ale także podpaski higieniczne i szampon, czekoladki i soki. Może to dobrze? Tylko na pozór taka różnorodność jest korzystna. Sprzedawanie towarów wymaga pewnej fachowej wiedzy i umiejętności: w nowoczesnym miejskim handlu sprzedawca powinien znać właściwości towarów i obowiązany jest udzielić klientowi rad i wyjaśnień. Dlatego występuje specjalizacja: jedni wiedzą wszystko o markach papierosów i o czasopismach, jakie się ukazują, inni – o proszkach do prania i mydle. Tymczasem w Polsce panuje mniemanie, że handlować umie każdy i nie trzeba do tego żadnego przygotowania. Na pytania klientów dotyczące towaru – często z trudem wygrzebanego ze stosu różności – wzrusza się ramionami lub zmyśla odpowiedź.

Z drugiej strony, po kilku latach zalewu różnorodnym asortymentem, wiele produktów znikło z rynku i każdy sklep, każdy kiosk w dużym mieście i na wsi wygląda tak samo i handluje tym samym (pomijając oczywiście salony odzieżowe dla nowej elity władzy i pieniądza). Uniformizacja jest zastanawiająca: wpływa na nią

zapewne polityka celna, ale nie jest to wystarczające wyjaśnienie. Można przypuszczać, że nastąpiła faktyczna monopolizacja zaopatrzenia, być może narzucona przez gangi kontrolujące import artykułów z Niemiec i Austrii. Krótco też cieszyliśmy się poprawą obsługi w sklepach i urzędach. W pierwszych latach „transformacji” zapanowała niepewność co do możliwości utrzymania się w pracy, dlatego personel zdobywał się na uprzejmość; teraz obsługa sklepów, poczty, transportu publicznego okopała się już na swych pozycjach. W latach siedemdziesiątych Janusz Tazbir pisał o szlachciankach w okienkach pocztowych, które z góry i z niecierpliwością traktowały klientów. Szlachcianki, później nazywane „karingtonówkami”, tak samo wyniośle patrzą na nas z kas i okienek pocztowych, objawiają swe zniecierpliwienie, w sklepach samoobsługowych podejrzliwie śledzą nasze poruszenia i wymieniają o nas uwagi tak, byśmy je usłyszeli. Panie te nigdy nas nie witają, a na nasze „dzień dobry” czasem odburkną odpowiedź. Tradycja jest w handlu wyraźnie silniejsza od praw rynkowych, przed którymi od kilku lat broni się z coraz widoczniejszym skutkiem.

Schylek naszego tysiąclecia został pokazany tutaj w dość ciemnych barwach. Oczywiście, w życiu występują także zjawiska pozytywne, radosne, napawające optymizmem: nie ma kolejek w sklepach, inflacja jest wreszcie jednopunktowa, przybywa eleganckich budynków i sklepów, ludzie są dobrze ubrani – trudno odróżnić mieszczucha od wieśniaka, wskaźnikiem cywilizacji jest motoryzacja itd. Ale ten szkic nie jest bilansem czy podsumowaniem osiągnięć kolejnych rządów; ma on na celu zwrócenie uwagi na te zjawiska, które powodują irytację i niezadowolenie.

II. Kontrowersyjne wizerunki miasta

„Miasto Zembruda bierze swój kształt od nastroju tego, kto je ogląda. Jeśli przechodzisz przez nie pogwizdując, z nosem uniesionym w ślad za gwizdem, poznajesz je od dołu ku górze: gzymsy, powiewające firanki, wodotryski. Jeśli idziesz z podbródkiem opuszczonym na pierś, z paznokciami wbitymi w dłonie, twoje spojrzenia będą grzęzły w ziemi, w rynsztokach, w otworach ściekowych, w rybich ościach, w wyrzuconych papierach. Nie można powiedzieć, że jeden obraz miasta jest bardziej prawdziwy od drugiego [...] Dla wszystkich, wcześniej czy później, przychodzi dzień, kiedy opuszczamy wzrok wzdłuż rynien i nie jesteśmy już zdolni oderwać go od bruku [...] krążymy dalej ulicami Zembrudy z oczami, które wkopują się już pod piwnice, fundamenty, studnie” (Calvino, 50-51).

24

O miastach pisano różnie, częściej źle niż dobrze. Literatura dostarcza nam dwu sprzecznych stereotypów: w pierwszym, znacznie starszym, bo występującym już w starożytności, miasta są rozsądnikiem zła, czynnikiem wywołującym zanik tradycyjnych form życia społecznego i alienację (jako konsekwencję zagubienia w obcym, anonimowym tłumie). Drugi stereotyp traktuje rozwój miast jako oznakę postępu, zaś w mieszczaństwie widzi sprawcę lub nośnik tego postępu. Miasto jest więc albo pasożytem na ciele otoczenia wiejskiego, albo dystrybutorem dobrobytu, źródłem dezorganizacji albo organizacji, patologii społecznej, ale i awangardowej techniki. Może dlatego, że każdego z tych stereotypów używa się do innych potrzeb, występują obok siebie bez większych kolizji, jakkolwiek są przeciwstawne w osądach.

Apokaliptyczną wizję rysuje jeden z historyków urbanizacji, Lewis Mumford. Pierwszy etap, powiada on, to *Eopolis* – wspólnota wiejska, drugi – *Polis*, polega na stowarzyszeniu wspólnot terytorialnych lub opartych na pokrewieństwie w celach obronnych. Trzeci etap – *Metropolis* – to rozwój jednego dużego miasta dominującego nad wioskami i miasteczkami regionu. Wyrasta to w *Megalopolis*, które wymaga rozszerzenia bazy żywnościowej, skłania do nadmiernego inwestowania, wprowadza standaryzację i liczenie wszystkiego według wielkości; w miejsce oryginalnej sztuki przychodzi masowość. *Megalopolis* to początek schyłku, schyłek zaś jest pasożytniczy. Żyje ono polityczną konkurencją, eksploatuje skarb państwa, tępi instytucje gminne i obywatelskie, zostawiając miejsce tylko dla państwa. Cezaryzm i drapieżna sztuka, upadek zasad moralnych i ekonomicznych, apatia, wzrost liczebności i znaczenia lumpenproletariatu, w kulturze dominacja masowego sportu – to cechy życia w fazie *Tyranolpolis*. Ostatnią fazą jest *Nekropolis* – wojna, głód, zarazy. Potem następuje znów agraryzacja. Widzimy w tym opis upadku Rzymu i przepowiednię, opartą na założeniu cyklicznego rozwoju. Wiele jej elementów przejęli – może nieświadomie – teoretycy koncepcji postmodernizmu.

Negatywny stereotyp jest tak stary, jak samo pojęcie „miasto”, a jego odnawianie się można wiązać z różnymi zdarzeniami i okolicznościami. Mogła to być reakcja ludności wyrosłej z tradycji koczowniczej, jak w przypadku kultury arabskiej, czy reakcja na wymykanie się sporej grupy ludności spod kontroli dworu i klasztoru, jak w przypadku koncepcji średniowiecznych. Miasta uważano za siedliska rozpusty i deprawacji, ale przecież niezbędne, bo spełniały szczególną rolę jako kloaki, w które splywały

grzechy ludzkości. Niechęć do nich odradzała się też w czasach zarazy; warto przypomnieć, że Europa w XIX wieku nękana była epidemiami cholery, której skutki w miastach były poważniejsze niż na wsi. Zarazę przenosiła armia i towary, ale nauczono się izolować natychmiast chorych, zaś od 1899 r. zaczęły się szczepienia ludności. Od tej pory rzadziej mówiono o miastach, że są rozsądnymi chorob.

W dobie uprzemysłowienia w Anglii, na tle sporów o cła i prawa wyborcze, rozgorzała walka między wiejską i miejską cywilizacją. Antyindustrialna propaganda wyszukiwała skrajne przypadki wyzysku i publikowała ponure obrazy nie tylko nowych miast przemysłowych, ale i Londynu, używane w walce politycznej. W latach 1815-1830 przez Anglię przeszła fala zamieszek w miastach, robotnicy plądrowali kaplice i budynki, gawiedź poturbowała posłów w 1815 r., kiedy w Izbie Gmin dyskutowano nad ustawą zbożową. I choć już od dłuższego czasu Anglię przemierzały grupy zrewoltowanych chłopów, tworzących bandy i podpalających stogi oraz zabudowania gospodarcze w posiadłościach ziemskich, to rozruchy w miastach były bardziej zauważalne i budziły większą trwogę. W parlamencie największe wpływy mieli przedstawiciele landlordów, niechętnych liberalizacji handlu, kiedy więc powołano komisję do zbadania sytuacji w nowych ośrodkach przemysłowych, rezultatem jej pracy był dramatyczny i tendencyjny raport, w najczarniejszych barwach przedstawiający życie proletariatu. Fryderyk Engels oparł na nim swą *Świątą Rodzinę* oraz broszurę o położeniu klasy robotniczej w Anglii, która miała charakter pamfletu politycznego, a została uznana przez wielu historyków za wiarygodne studium naukowe i była wykorzystywana bezkrytycznie. Życie

na wsi przedstawiano jako zgodne z naturą, życie w mieście jako powodujące alienację.

Stulecie francuskich rewolucji i zamieszek (od Bastylli do Komuny) nie stworzyło korzystnego wizerunku miasta – pojawiła się *classe dangereuse*, ludzie żyjący na marginesie społeczeństwa, często zupełnie poza prawem, „tułacze przemysłu”, których liczba ulegała co pewien czas gwałtownemu zwiększeniu. Francja była uważana za kocioł, w którym nieustannie wrze z powodu temperamentu rewolucyjnego ludności. Rozsądnikiem rewolt był Paryż – panować nad Paryżem oznaczało panować nad Francją. Jeśli nie liczyć Wandei, prowincjonalne bunty i większe ruchy społeczne były w ciągu całego XIX wieku rzadkością: rewolucje i zamachy miały miejsce w Berlinie, Wiedniu, Madrycie, Lyonie, w zurbanizowanych ośrodkach Nadrenii lub Śląska. Fale buntów chłopskich w Rosji można było dość łatwo uśmierzyć, ale wielkie strajki i barykady w Odessie, Moskwie i Petersburgu wstrząsnęły Imperium.

27

Germański (skandynawsko-niemiecki) *Volkism* stał się kolejnym atakiem na miasta; w pełni wartościowy miał być tylko człowiek żyjący na wsi, „zakorzeniony” – to ziemia była źródłem cnót i narodowości. Mieszczanie to ci, którzy już zrywali więzi i stawali się wykorzenieni, ale nie byłiby jeszcze straceni, gdyby nie ludzie obcy, przede wszystkim – Żydzi. Nie ulega wątpliwości, że niechęć do symbolizowanej rozwojem wielkich miast modernizacji wynikała również, tak na Zachodzie, jak i w Polsce, z obawy rzemieślników i kupców, prowadzących interesy w tradycyjny sposób, przed konkurencją nowoczesnych przedsiębiorstw.

Silne antymiejskie i antymieszczańskie postawy panowały w polskiej literaturze do lat siedemdziesiątych XIX wieku i na nowo ożyły w

twórczości młodopolskiej. Wyrażali je publicyści i nie tylko drugorzędni pisarze-moralisci, ale także Adam Mickiewicz. Polski nacjonalizm opierał się wówczas – jak *Volkism* – na ludziach ze wsi: na szlachcie, zwłaszcza średniej i drobnej, potem też na chłopstwie, przy czym obcy był mu charakterystyczny dla Zachodu liberalizm. Zaciekle demaskowano „nuworyszy”, ludzi obracających pieniędzmi, których zawsze przedstawiano jako bezlitosnych i chciwych „lichwiarzy”, takich jak Geldhab Aleksandra Fredry, utyskiwano nad lenistwem rzemieślników, podstępnością kupców, ubolewano nad zmanierowaną pobytem w mieście młodzieżą z dobrych rodzin, która – zdaniem literatów i publicystów – schodziła na manowce i skażone gniazda zła doprowadzały ją nawet do szaleństwa. Tylko pług w ręce i powrót do życia sielskiego mógł te ofiary urbanizacji uratować. W mieście bowiem

28

„Zasnąć nie da fortel w podejścia obfity,
Swawola mur oblata, w domach Jędzia leży,
Lichwa łzą ludzką złana po ulicach bieży.
Tam zazdrość zezem strzela, tam Chytrość
wymowna,
Tam Niewierność małżeństwa,
Tam Przyjaźń kosztowna,
Tam wszelka złych Rozpusta gnieździć się nie
wstydzi”¹.

W XIX wieku obok apologetycznych tekstów pojawiało się wiele satyrycznych sztuk, felietonów, utworów literackich i karykatur ośmieszających

¹ F. Zatorski, *Polowanie*, Wilno 1929 – cyt. za: A. Zieliński, *Naród i narodowość w polskiej literaturze i publicystyce lat 1815-31*, Wrocław 1969, s. 87.

mieszczańskość, której symbolem był *Herr Biedermeier* i kicz – „sztuka szczęścia”. Także w Polsce na przełomie XIX i XX wieku wezbrała fala inteligenckiej niechęci do mieszcuchów, zwłaszcza tych, którzy zdołali zapewnić sobie dobrobyt. „Straszni mieszczenie” stali się literackim stereotypem i karierę robił przymiotnik „drobnomieszczański”, którym określano negatywne cechy kulturowe. Co ciekawe, ataki podejmowane były z różnych pobudek i różnych ideologicznych inspiracji. Dla osób spoglądających nostalgicznie w przeszłość i idealizujących chłopsko-dworską sielskość miasta wytwarzały kulturę filistrów, w której najważniejsza była przeciętność. Drwiono z gustów i obyczajów, a nawet z racjonalizmu i pragmatyzmu, też uznanych za filisterskie. Dla inteligencji, ogarniętej wpływami socjalistycznymi, praca organiczna i programy mieszczańskie okazały się zdradą, usprawiedliwiały egoizm klasowy i bogacenie się. Berent zwalczał pracę dla „pożytku ogółu”, zaś socjaliści twierdzili, że nikt już nie pracuje dla dobra ogółu ze szlachetnych pobudek. To proletariatus miał się okazać zbawcą, swoją walką klasową wstrząsając sumieniami.

Literackie mistyczne wizje Proletariatus-Mesjasza, czy też Proletariatus-Prometeusza, publikowane zwłaszcza w latach 1906 i 1907 pod wpływem rewolucji, w specyficzny sposób prowadziły do gloryfikacji miasta, ale miasta przemysłowego, takiego jak Łódź – „miasto proletariuszów”. Wcześniej, w paradoksalny sposób, wady życia miejskiego i nędzę ludności wykorzystywała literatura romantyczna, tworząc zatrzważający, ale i fascynujący obraz „miejskiej dżungli”. Miasta Karola Dickensa i Londyn Henryka Mayhew (urodził się w tym samym – 1812 – roku co Dickens, ale zmarł siedemnaście lat od niego później, w 1887 r.), dziennikarza i założyciela pisma „Punch” (1841) i autora

drukowanej w 1849-50 „Londyńskiej Kroniki Porannej”, Paryż Eugeniusza Sue i Honoriusza Balzaka z połowy XIX wieku, wreszcie późniejsza Łódź Reymonta, Warszawa Prusa i przede wszystkim Henryka Nagiela stały się bohaterami, jeszcze dość szpetnymi, ale przecież pełnymi tajemnic i swoistego, zupełnie nowego folkloru.

Najbardziej przyciągały pisarzy i publicystów zaułki, w których gnieździły się skrajne ubóstwo i występki. Wyrażała się w tym romantyczna tradycja fascynacji dzikim krajobrazem – ruinami, zapuszczonymi parkami, skalistymi urwiskami i mrocznymi puszciami. Odkryto tajemniczość dżungli miejskiej, o której pisano i ze zgrozą, i z pewną perwersyjną lubością: „Blisko tego odcinka Tamizy, gdzie wznosi się tuż nad rzeką kościół w Rotherhithe, tam, gdzie budynki na wybrzeżu są najbrudniejsze, a statki na rzece najczarniejsze od węglowego pyłu i dymów ze stłoczonych niskich domostw, mieści się najnędniejsza, najdziwniejsza, najbardziej niezwykła z licznych dzielnic, które kryje Londyn, zupełnie nieznanych – nawet z nazwy – ogromnej większości jego mieszkańców. Aby dojść do tego miejsca, obcy przybysz musi przejść przez labirynt dusznych, wąskich, zablokowanych uliczek. Płynie nimi ciżba najbardziej prostackich, a zarazem najuboższych ludzi znad rzeki oraz ma swoją siedzibę taki handel, jakiego tam można oczekiwać. W sklepach piętrzą się najtańsze i najmniej wyszukane artykuły żywnościowe; ordynarne i pospolite sztuki odzieży wiszą na drzwiach u handlarzy, zwisają z balkonów i okien. Przepychając się wśród bezrobotnych, robotników najniższych kategorii, tragarzy okrętowych, ulicznych złodziei węgla, bezwstydnich kobiet, obdartych dzieci i wszelkiego rodzaju mętów i szumowin nadrzecznych, przybysz z trudem toruje sobie drogę. Odrażające

widoki i wonie uderzają nań z wąskich zaułków odchodzących w prawo i w lewo, ogłusza go turkot naładowanych ciężko wozów wiozących wielkie sterty towarów ze składów, które wznoszą się na każdym rogu. Dotarłszy w końcu do ulic jeszcze odleglejszych i mniej uczęszczanych niż te, którymi szedł do tej pory, idzie pod groźącymi zawaleniem fasadami domów, pochylonymi nad chodnikiem, pod ścianami, które zdają się chybotać od jego kroków, jakby już-już miały lec w gruzach, pod oknami, których strzegą zardzewiałe żelazne kraty, zżarte przez czas i brud, wśród wszelkich, jakie tylko sobie można wyobrazić, oznak nędzy i zaniedbania”².

Rozpowszechnione jest przekonanie, że miasta są odpowiedzialne za wzrost przestępczości. Uważa się, że jest on tym większy, im szybszy jest przyrost ludności miast, czyli im szybsza jest urbanizacja. Pogląd ten utrzymuje się mimo pogłębionych i krytycznych badań, które nie dostarczają dowodów na potwierdzenie tych tez. Niektóre rzucające się w oczy zjawiska zostały zbyt pochopnie uogólnione; wnioski z obserwacji niektórych miejsc i okresów zastosowano do sytuacji, które nie były analizowane. Wszelkie obliczenia współczynników przestępczości są dyskusyjne, nie tylko ze względu na ulegające zmianom rozmiary „ciemnej liczby”, ale także ze względu na zawartość pojęcia „przestępczość”. Stale mamy do czynienia z procesem dekryminalizacji – przestępstwem przestają być niektóre zachowania, jak i z odwrotnym procesem – kryminalizacji, to znaczy zmianami prawa, które powodują, że pociągają się do odpowiedzialności za czyny uprzednio niekaralne. Przestępczość jest różnorodna i poszczególne jej formy mają zmienne

² K. Dickens, *Oliver Twist*, Warszawa 1953, s. 437-438.

proporcje w obszarach miejskich i wiejskich, stwarzających inne okazje.

Jest prawdą, że w wielkich miastach rejestruje się więcej prawolomnych czynów, zwłaszcza takich, których po prostu nie można popełnić na wsi. Jest tu więcej okazji do kradzieży, a ruch na ulicach i warunki topograficzne ułatwiają ucieczkę i ukrycie się. W miastach znana jest „przestępczość gościnna”, której sprawcami są mieszkańcy wsi, przybywający do miasta z zamiarem kradzieży. Dużą rolę odgrywa na pewno osłabienie nieformalnej kontroli sąsiedzkiej, ale jest to proces związany raczej z przemianami demokratycznymi niż z samą urbanizacją. W małym mieście z połowy XIX w. łatwiej było sprawować kontrolę niż w metropolii, przez którą codziennie przetaczają się tłumy miejscowej i zamiejscowej ludności. Szczegółowe badania statystyczne, którymi objęto Francję, oparte na starannie analizowanych i poddanych krytyce źródłach, pozwalających na ujęcia długookresowe, nie wykazały korelacji o dostatecznym poziomie istotności między przyrostem ludności w wielkich miastach a przyrostem rejestrowanej przestępczości. Zauważono jedynie, że kradzieże były liczniejsze w okolicach zurbanizowanych, ale wielkie miasta nie wyróżniały się od skupisk kilkunastotysięcznych. Niewielka zależność rysuje się między ogólnym poziomem przestępczości a tempem przyrostu ludności w dużych skupiskach. Liczby absolutne zabójstw, pobić i innych przestępstw przeciwko osobom były wysokie w miastach, ale gdy porównać je z liczbą ludności – różnice między miastami i wsią przestają być rażące.

Badania nad Królestwem Polskim wykazały, że Warszawa jeszcze w 1878 r. miała niewspółmiernie wysokie współczynniki zarejestrowanych i osądzonych przestępstw, ale już w 1898 r. dystans między

Warszawą a pozostałymi miejscowościami zmniejszył się; co więcej, zaczęły zacierać się różnice między miastem a wsią. Odnosi się wrażenie, że życie miejskie ulegało pewnej stabilizacji i złagodzeniu, zaś wieś pod względem form zachowania (dotyczy to nie tylko form dewiacyjnych) zaczęła upodobniać się do miasta. Pewne jest to, że na podstawie badań statystycznych nie można wyciągnąć wniosku o większej „moralności” wsi w porównaniu z miastem. Według współczesnych międzynarodowych statystyk przestępstwa są najliczniejsze w najbogatszych i uprzemysłowionych społeczeństwach, w wielkich miastach (choć dynamika nie zależy od przyrostu ludności w tych miastach), popełniane najczęściej przez mężczyzn w wieku poniżej 20 lat. Zjawiskiem nowym, ale nie tylko miejskim, jest wzrost przestępczości dzieci. Przyczyny tego zjawiska są nader skomplikowane i tylko z wielką ostrożnością wysuwa się ogólnikową tezę, że przyśpieszone zmiany społeczne mogą wywierać destrukcyjny wpływ na wychowanie i sytuację dzieci. Warto zwrócić uwagę na jeszcze jedną okoliczność: kiedy pisarze dziewiętnastowieczni opisywali środowiska przestępcze, lokowali je zwykle w najędzniejszych częściach miasta. Jakże różni się poziomem życia dzisiejszy bandyta z Wołomina lub Otwocka, grasujący w Warszawie, czy nawet nędzny warszawski rzezimieszek, od przestępcy z Londynu czy Warszawy w XIX wieku!

Opisywane przez krytyków życia miejskiego zjawiska na pewno występowały, ale z reguły dobierano je tendencyjnie lub nie brano pod uwagę, że mogą być przejściowe. Jeśli jednym z objawów ruchliwości społecznej i migracji do miast może być anomia, wywołana między innymi zerwaniem tradycyjnych więzi rodzinnych i sąsiedzkich, to można także

zaobserwować tworzenie się solidarności zawodowej lub nowej solidarności w mieście. To w miastach powstawały instytucje „społeczeństwa obywatelskiego”: organizacje, związki, kluby, zespoły artystyczne, zakładane przez drobnomieszczactwo i nawet przez przedstawicieli najuboższych, proletariackich grup. Przeniesienie się do miasta stwarzało także – w zależności od ustroju panującego w danym kraju – szansę uzyskania władzy i prestiżu z niej wynikającego. Politykę uprawia się w miastach, stwarzają więc one szansę i są scenerią wydarzeń najciekawszych, choć często nadzwyczaj dramatycznych. W mieście powstaje informacja, tu jest siedziba prasy, radia, telewizji. Miasto to także – a dla wielu osób przede wszystkim – teatr, muzeum, księgarnia, biblioteka.

Warunki życia w ośrodkach szybko rozwijających się były zwykle trudne, ale ulegały poprawie już w momencie uzyskania przez taki ośrodek praw miejskich, bo oznaczało to stworzenie własnego budżetu i wpływy z podatków. Miasto nie jest tworem skończonym, ale podlegającym ewolucji organizmem, którego wygląd i funkcje ulegają zmianom. W miarę wzrostu dochodów stan infrastruktury miejskiej ulegał poprawie. Kiedy czytamy o życiu w kamienicach czynszowych, jesteśmy skłonni idealizować warunki na wsi. A przecież brudne, nie wietrzone izby wiejskie nie były zdrowsze od mieszkań w oficynach zamykających podwórka-studnie, nie było w nich nawet więcej światła. Od schyłku XIX wieku w Polsce przejście ze wsi do miasta uważane jest za życiowy sukces – nawet ciasne mieszkanie zapewniały lepsze życie niż dom na wsi. Do czasu, kiedy zelektryfikowano wreszcie ostatnie wsie, w miastach kilka pokoleń wyrosło już w świetle elektrycznym, korzystało z kanalizacji, wodociągów i gazu. Ruch samochodowy stał się utrapieniem, ale w

dawnych czasach utrapieniem były wozy, których gruchot po „kocich łbach” wyciszali tylko najzamożniejsi mieszkańcy, płacąc za wykładanie ulic matami ze słomy.

Nie jest zresztą prawdą, że na wsi nie było zjawiska anomii i panowała solidarność. Silne podziały społeczne wśród rolników analizowali historycy i socjologowie, zaś badania etnograficzne pokazywały prozaiczne aspekty pomocy sąsiedzkiej: interesowność, oszukiwanie się, konflikty. Zdrowe życie na wsi też przeszło do legendy, od kiedy pojawiły się statystyki lekarskie. Początkowo w miastach europejskich występowała większa niż przeciętnie śmiertelność niemowląt do 1. roku życia; około 1880 r. współczynniki dla miast i wsi stały się zbliżone, a następnie – korzystniejsze dla miast. W mieście szybciej wzrastało prawdopodobieństwo życia. Obecnie znów różnice uległy odwróceniu lub zatarty się na skutek rozwoju służby zdrowia na wsiach i wyrównania warunków techniczno-cywilizacyjnych.

35

Efektowna, ale wyszana z palca jest teza o alienacji w mieście i anonimowości życia miejskiego. Miasto może być przykładem antynomii, jak substancja złożona: wszystkie miasta świata tworzą jedno „miasto” w liczbie pojedynczej – wielką kategorię społeczną, typ cywilizacji. Ale też każde miasto jest inne, niepowtarzalne, każde ma jakąś własną szczególną budowlę, cechę, tradycję. Jeśli wsluchamy się w rytm życia miejskiego i wpatrzymy się w miejskie place i zaułki, będziemy mogli bez końca zwiedzać kolejne miasta i odkrywać ich niepowtarzalność. Wyprawy do miast mogą być tak pasjonujące jak wyprawy egzotyczne. Miasta miały swój koloryt, choć inny niż wieś, mieszkańcy przywiązywali się do swych podwórek, sklepików, skwerów, zaś tłum na ulicach nie był tak anonimowy, jak to wynika z socjologicznego

schematu. Nie tylko miasta różnią się od siebie – poszczególne dzielnice i ulice miały zawsze własny charakter.

Miasta mają parki i skwery; nie muszą to być miejsca pełne drzew i trawy, by przyciągały ludność. Ogród Luksemburski w Paryżu ma więcej przestrzeni pokrytej żwirem niż roślinnością, a jego przyszczyżone drzewa nie dają cienia i intymności charakterystycznej dla warszawskich Łazienek. Mimo to jest miejscem o niepowtarzalnym uroku, tłumnie odwiedzanym, dostarczającym okazji do niekończących się obserwacji. W miastach są ulubione miejsca spotkań, a niektóre z nich trwale weszły do historii kultury, jak w Paryżu „La Coupole”, w której przesiadywała lewicowa elita intelektualna, „Balzar”, do którego po seminarium zapraszał na kawę wybrańców Fernand Braudel, tawerny malarzy na Montmartre. Przeciężni turyści wiedzą o „Café Gerbaud” na Vorosmarty w Budapeszcie czy o kawiarni Gelerta w Wiedniu, tacy zaś, którzy interesują się głębiej życiem literackim i artystycznym, pójdą oddychać atmosferą kawiarni w Budapeszcie na ulicę Andrasy, a w Wiedniu trafią do gospody na Guttenberg lub Spittelberg Gasse, gdzie kielkował ruch „Zielonych” i zbierali się anarchiści. W dawnej Warszawie swoją klientelę miały kawiarnie Gajewskiego, „Ziemiańska”, a o kawiarniach Krakowa pisze się całe tomy.

A jednak ciągle pojawia się niechęć do miasta i program jego reformowania. Już w XIX wieku powstało wiele utopijnych koncepcji, które można by określić jako początki „inżynierii społecznej”. W trosce o postęp i harmonijny układ stosunków między ludźmi szlachetni reformatorzy propagowali rozwój oświaty, instytucji opiekuńczych i dyscyplinujących, projektowali idealne budowle (jak doskonale nadzorowane

więzienia – *Panoptica*), idealne państwa i idealne miasta-ogrody. Jeden z architektów angielskich marzył nawet o „zniesieniu miast” i zastąpieniu ich wzorowymi osadami. W karykaturalny sposób zrealizowali to planiści, urbaniści i architekci PRL, którym niemal całkowicie udało się znieść miasta i zastąpić je osadami. Tyle że nie wzorowymi.

III. Mieszczanie i obywatele

„Przybyłem tu we wczesnej młodości, rankiem, tłum ludzi spieszył ulicami w kierunku targu, kobiety miały ładne zęby i spoglądały prosto w oczy, na estradzie trzech żołnierzy grało na klawirze i wszędzie wokół kręciły się koła i powiewały barwne transparenty. Przedtem znałem tylko pustynię i szlaki karawan. Tamtego ranka, w Dorotei, poczułem, że nie ma dobra, którego nie mógłbym spodziewać się od życia. W późniejszych latach moje oczy znów wpatrywały się w przestrzenie pustyni i szlaki karawan; ale teraz wiem, że jest to tylko jedna z dróg, jakie otwierają się przede mną owego ranka w Dorotei” (Calvino, 8).

38

Można pisać o „duchu miasta”, o jego „charakterze”; „Gazeta Wyborcza” zachęcała do wskazywania w Warszawie miejsc „magicznych”, bo przymiotnik ten ostatnio zrobił się modny (została też wydana w 1999 r. książka, zawierająca nadesłane do gazety listy). Ale przecież nie magia sprawia, że chętnie chodzimy po ulicach miasta albo jak najszybciej chcielibyśmy je opuścić i zaszyć się w domu. Miasta budują i ozdabiają (lub niszczą) ludzie, ożywiają je swą produkcją i handlem, nadają im charakter swymi preferencjami konsumpcyjnymi. To prawda, jest i działanie odwrotne: architektura kształtuje zachowanie. Urozmaicone, ale harmonijne otoczenie sprawia przyjemność, ale koszmarne budowla, choćby mieściła w sobie szacowną instytucję, może budzić agresję, jak na przykład uniwersytecki zespół Jussieu w Paryżu. Jedno miłe, niech będzie – magiczne miejsce nie czyni jeszcze miasta przyjaznym dla mieszkańców, interesantów czy turystów.

Jakość życia zależy od instytucji, które kształtowały się w miastach. Do najważniejszych z nich należy samorząd – możliwość decydowania o własnych sprawach określonej i ograniczonej zbiorowości. Samorząd to także ponoszenie odpowiedzialności, o tym się często zapomina. Już w starożytnej Grecji zamożni mieszkańcy miast (*polis*) nazywali sami siebie *politai*, co oznaczało zarazem mieszkańca miasta, a więc mieszczanina, jak i obywatela. Dobre zabezpieczenie materialne sprzyjało ich udziałowi w rządach i wymiarze sprawiedliwości, a dzięki temu wysoki był stopień identyfikacji tych ludzi z pojęciem obywatela. Na podstawie obserwacji Platon i Arystoteles tworzyli kategorie występujące do dziś w europejskiej myśli politycznej i społecznej. W tradycji europejskiej myśli politycznej mieszczanin był przedstawicielem *societas civilis* – społeczeństwa stowarzyszonego i zorganizowanego, w przeciwieństwie do przedpolitycznego stanu natury.

W średniowieczu „powietrze miejskie czyniło ludzi wolnymi” – i był to nie tylko slogan. Mieszczaninem był mieszkaniec miast, a ponieważ miasta cieszyły się niezależnością od arystokracji, swobodami i samorządnością – była to osoba wolna, nie podlegająca dominialnej jurysdykcji, nie zobowiązana do świadczeń z tytułu poddaństwa itd. Nie wszyscy mieszkańcy mieli prawa, umożliwiające sprawowanie władzy lub wywieranie wpływu na tych, którzy ją sprawowali, ale nawet ci, którzy należeli do biedoty, nie byli wszak poddanymi, jak ludność chłopska. Mieszczanie stali się stanem, czyli grupą społeczną określoną prawnie, przede wszystkim przez to, że nie podlegali sądownictwu patrymonialnemu, lecz mieli swój własny wymiar sprawiedliwości (najwyższą władzę sądową miał panujący). Dochody czerpali z handlu, kredytu i rzemiosła.

„Miejskość” w sensie przestrzennym lub ekonomicznym była zarazem „miejskością” w sensie polityczno-prawnym; miasto było nie tylko specyficznym osiedlem, ale złożoną i ważną instytucją, dzięki roli, jaką spełniało, oraz dzięki uprawnieniom i swobodom. Zakres tych uprawnień i swobód bywał różny w różnym czasie i miejscu, ale mieszczanie często dawali dowody, że potrafią wywalczyć nawet daleko idącą niezależność nie tylko od arystokracji, ale i od króla. Między monarchią, Kościołem, arystokracją i miastami toczyła się gra sił politycznych i jakkolwiek wynik jej nie zawsze był dla miast korzystny, jednak gdy patrzymy z dłuższej perspektywy, stawały się coraz bardziej autonomiczne. Od XIII wieku niezależność miast włoskich, niemieckich i flandryjskich była niezwykła, co tłumaczy się między innymi powolnym rozwojem państw terytorialnych. Miasta miały w tych krajach odrębne życie i rozwijały się szybko, co pociągało za sobą niezwykle ważne konsekwencje. Przede wszystkim tworzyła się nowa forma cywilizacji: z konfliktami wewnętrznymi, ale i lokalnym patriotyzmem, ze spekulacją, ale i z zasadą racjonalnego kalkulowania, z koniecznością podporządkowania się rozmaitym ograniczeniom nawet w zakresie życia osobistego, ale i z poczuciem odpowiedzialności za siebie i za zbiorowość.

Miasta zawsze były świadome swej władzy: opiekuńczej, bowiem w swych murach chroniły ludność przed atakami wojsk, opiekowały się działalnością gospodarczą, ustanawiając reguły wymiany i nadzorując ich przestrzeganie, wprowadzały sądy, przed którymi można było dochodzić praw; wymuszającej – bo pobierały opłaty, usuwały nieproszonych gości, ograniczały wolny handel. Wymuszały też przywileje na władcach, kiedy ci

potrzebowali zbrojnej pomocy mieszczan. Tendencje wzmocnienia władzy królewskiej i rozbudowy aparatu państwowego, wzbudzające niechętną reakcję arystokracji, dla mieszczaństwa oznaczały dobre czasy, bo realizacja centralistycznych i absolutystycznych zamiarów wymagała zasilania królewskiego skarbu i poparcia króla przez nowe grupy ludności.

Spółeczeństwo miejskie wszędzie było różnicowane, składały się nań patrycjat i pospółstwo; typowe prawo miejskie wykluczało z niego plebs – motłoch, ludzi, którzy nie mieli ani stałych dochodów, ani warsztatów, ani nieruchomości i nie płacili podatków. Byli tolerowani, choć teoretycznie można ich było z miasta wygnać. W krajach niemieckich w późnym średniowieczu i w czasach nowożytnych mieszczanin (Bürger) był stowarzyszonym mieszkańcem miasta, to znaczy członkiem korporacji i instytucji samorządowych, cieszącym się przywilejami prawnymi, specjalnym statusem i odznaczającym się swoistym stylem życia. Tym niemniej istnieje pewien wspólny mianownik dla grup, przebywających mniej lub więcej na stałe w mieście: przede wszystkim – inne podporządkowanie niż ludności spoza miasta. Innym wspólnym czynnikiem była także czasem otwarta, czasem drzemiąca wrogość do arystokracji i przedstawicieli władzy królewskiej, choć na ogół nie do samego króla; dopiero od schyłku XVIII wieku w niektórych krajach (przede wszystkim – we Francji) wrogość rozciągnęła się też na despotyzm, jak nazywano absolutną monarchię.

Ta wspólnota interesów i postaw wszystkich warstw ludności miejskiej nie przeszkadzała w coraz silniejszym odgradzaniu się każdej z nich od warstwy nieco niższej, a zwłaszcza od „motłochu”. Wszyscy wspólnie odgradzali się od chłopstwa. To odcinanie się od góry

i od dołu prowadziło do wytwarzania specyficznej kultury, mentalności, symboliki, zeświecczonej oświaty, liberalizmu, specyficznego racjonalizmu, wreszcie tendencji nacjonalistycznych. Jednak aby te cechy mogły się uwidocznić, potrzebne były elementarne warunki prawne, a także zabezpieczenie ekonomiczne. Miasto stawało się gniazdem, w którym hodowane były idee obywatelstwa i narodu. Pojawiały się nowe pojęcia, a dawne nabierały nowego sensu. W ciągu XVIII wieku *Burgher* czy *Bürger* stał się obywatelem, ale to obywatelstwo było jeszcze ściśle związane z miejskością. Nawiązywano do antycznego ideału mieszczanina-obywatela. Pojęcie obywatelstwa pasowało do ideologii narodowej, bowiem z Ludu – w myśl tej ideologii – rodził się nowoczesny Naród (koniecznie przez duże L i duże N). *Peuple, Volk* stawał się *Nation*.

42

W Niemczech słowa takie jak *Bürgertum, Bürger, bürgerlich* w języku potocznym pierwszej połowy XIX wieku miały znaczenie polemiczne, a ich używanie było wojującym wyzwaniem. Stosowano je do oznaczenia grupy, która mieściła się między arystokracją a chłopstwem; w jej skład wchodziłi właściciele przedsiębiorstw handlowych, przemysłowych i finansowych, wyżsi urzędnicy, profesorowie gimnazjalni i uniwersyteccy, adwokaci i rozmaici profesjonaliści. Wszyscy hołowali tym samym cnotom (*bürgerliche Tugenden*): cenili pracowitość, rzetelność, oszczędność, przeczorność i życie rodzinne. Poczucie pewności dawały wysokie dochody i zabezpieczona pozycja w instytucjach gospodarczych, kulturalnych lub administracyjnych. Ponadto *Bürger* to obywatel, a być obywatelem to być „zwierzęciem politycznym”, tak jak był nim francuski *bourgeois*. *Bürger* angażował się w działalność instytucji miejskich, stowarzyszeń.

Ukształtowanie się nowoczesnego narodu jest opisywane najczęściej jako funkcjonalnie sprzężone z tworzeniem państw scentralizowanych i rozwojem miast; to mieszczaństwo bardziej niż arystokracja było zainteresowane w kształtowaniu idei narodu. W myśli niemieckiej wyróżniano *Gesellschaft* – „społeczeństwo” (ale w znaczeniu nieco innym niż w Polsce, bo jako wspólnoty zorganizowanej) oraz *Gemeinschaft* – „wspólnotę”, przy czym *Gesellschaft* stawiano wyżej, bowiem oznaczało porządek (przy poszanowaniu swobody jednostki). Jednostka należąca do *Gesellschaft* była „obywatelem”. Hegel głosił, że *Bürger* musi się podporządkować dobru ogólnemu – musi stać się *citoyen*. Termin „mieszczaństwo” był więc właściwy dla społeczeństwa stanowego, ale w miarę erozji tego systemu i demokratyzacji, która oznaczała także emancypację chłopstwa, mieszczaństwo – jako obywatelstwo – przekroczyło granice miast. Z czasem przychodzi uściślenie: jest *citadin* (mieszkaniec miasta) i *citoyen* (obywatel), analogicznie w Niemczech – *Stadtbürger*, *Staatsbürger*.

– Ważnym elementem tego procesu był rozwój funkcji związanych z wymiarem sprawiedliwości, sporami cywilnymi między ludnością, prawnymi aspektami gospodarczej działalności państwowej i prywatnej; spowodowało to powstanie prawdziwej „klasy adwokatów”, których znaczenie dla rewolucji we Francji czy dla modernizacji w innych krajach jest ciągle zbyt mało znane czy doceniane w polskich badaniach socjo-historycznych. Rozszerzał się społeczny zasięg wpływów ludzi pióra, coraz mniej zależnych od mecenatu dworskiego, w tym także zawodowych pracowników rodzących się „środków masowego przekazu”. W XVIII wieku ich rolę pełniły kawiarnie, pamflety, groszowe książeczki sprzedawane na

obwoźnych straganach (tzw. *bibliothèque bleue*), pierwsze czasopisma, wreszcie – *Encyklopedia* (1751-1772). Nie w klasztorach i na dworach arystokratycznych, ale w mieście, początkowo – w średniowieczu – powoli, potem coraz szybciej kształtował się swoisty typ kultury (co nie znaczy, że zupełnie nowy i autonomiczny), inna od wiejskiej mentalność, inny „charakter” zbiorowości. Wszystko to stanowiło podstawę dla przełomu w myśli politycznej.

Francuski *bourgeois* był przedstawicielem klasy średniej, stosunkowo dobrze wykształconym (a w każdym razie wyedukowanym przynajmniej na poziomie elementarnym), wolnym (nie był poddanym) i materialnie niezależnym; inaczej mówiąc, był to ktoś, kto miał środki, by zdobyć kulturę, pozycję społeczną i walory intelektualne. Do francuskiej burżuazji zawsze zaliczano kupców i górne warstwy rzemiosła, ludzi pióra (literatów), lekarzy, prawników, urzędników, rentierów. Jeśli poprosimy Francuza, by podał jakiś przykład *bourgeois*, na pierwszym miejscu wymieniłby z pewnością adwokata (doradcę prawnego itp.), potem – urzędnika królewskiego nie pochodzącego z arystokracji, a dopiero na kolejnych miejscach zostałby umieszczony kupiec, bankier lub właściciel manufaktury. Przemiany gospodarcze wpływały na zmiany funkcji państwa i przebudowę aparatu administracyjnego nie tylko na szczeblu centralnym, ale i lokalnym, a także wywoływały zapotrzebowanie na nowe instytucje i profesje.

Przymiotnik „burżuazyjny” nie miał wydźwięku pejoratywnego, jakiego nabrał znacznie później pod wpływem doktryn lewicowych, a zwłaszcza młodzieżowej kontestacji 1968 r. Oznaczał on solidność, poczucie własnej godności, budowanej na

korzystaniu z pełni praw i wolności obywatelskich, a także wysoki poziom życia i dobry smak. Podobno we Francji do dziś można zjeść w restauracji z szyldem: „gospoda ludowa – kuchnia burżuazyjna”. Marc Bloch pisał, że – choć waha się nieco z użyciem terminu *bourgeois*, to nazywa tak Francuza, którego dochody, niezależnie od ich źródeł, są znaczne, pozwalają na dostatek i dają bezpieczeństwo, oraz którego wykształcenie wykracza ponad przeciętne normy kultury. *Bourgeois* to Francuz, który „czuje się przynależnym do klasy przeznaczonej do utrzymywania w narodzie roli kierowniczej i dzięki tysiącom szczegółów: ubraniu, językowi, zamożności, zaznacza – mniej lub bardziej instynktownie – przywiązanie do specyfiki swej grupy i do jej kolektywnego prestiżu”¹.

W Anglii proces „uburżuazyjnienia” społeczeństwa zaczął się wcześniej niż we Francji, był głębszy i spokojniejszy. Arystokracja angielska zawsze była bardzo hierarchiczna, ale jednocześnie płynna. Młodszy synowie lordów musieli szukać karier w armii, Kościele i sądownictwie, a nawet w handlu i innych profesjach było wielu młodych ludzi z wyższych sfer. Z drugiej strony nie stwarzano żadnych prawnych i społecznych barier przed procesem nadawania szlachectwa i tytułów, które uważano za preludium działalności politycznej. Jest też znamienne, że pojęcie *middle class* w Anglii nie miało odcienia pejoratywnego, gdy tymczasem w ustach kontynentalnej arystokracji brzmiało nieco pogardliwie. Dlatego w Anglii uroki wsi i kultury dworskiej mają dużą siłę oddziaływania, nie ma też wielkiego kontrastu między życiem warstw zamożnych w mieście a życiem na wsi. Kontrast uderza

¹ M. Bloch, *L'Étrange défaite*, Paris 1946 (cyt. za: J. Meyer, *Bürgertum oder Bürgertümer?* Bielefeld 1991, s. 250).

wówczas, gdy obserwujemy środowiska i dzielnice proletariackie.

Jądrem klasy średniej była *gentry* – grupa nieutytułowanych dzierżawców i właścicieli średnich majątków ziemskich, dobrze zagospodarowanych i prowadzących rynkową gospodarkę. To ją uważano za najważniejszą grupę w hierarchii społecznej, ona nadawała ton i stworzyła model *gentlemana* – w pewnym sensie odpowiednik francuskiego *bourgeois*, ale znacznie bardziej wyzwolonego spod kulturowej i politycznej dominacji arystokracji. Wpływał na to również wzrost dobrobytu, co umożliwiała zaspokojenie ambicji poprzez kształcenie w dobrych szkołach, uprawianie sportu i zajmowanie się polityką. Nawet najbogatsi ludzie mieli kłopoty z akceptacją w kręgach towarzyskich, jeżeli nie mieli „stosunków” – szanowanych krewnych, znajomości wyniesionych ze szkół i jeżeli pobierali nauki w szkołach publicznych.

46

Przedstawiciele *gentry* odbywali sezonowe pielgrzymki do Londynu, gdzie kręcili się koło Parlamentu, nazywanego w XIX wieku największym klubem Wielkiej Brytanii. W rezultacie osiągnęli przywództwo, które leżało w interesie średnich właścicieli ziemskich, kupców, przemysłowców, profesjonalistów, obawiających się skutków gwałtownego wzrostu miast i proletaryzacji. *Burgher* był przede wszystkim obywatelem i – w przeciwieństwie do Francji – miał kontakty z arystokracją. W XIX wieku parweniusz mógł zostać parem, a jego dzieci były szanowane. Mawiano, że w Anglii każdy ma prawo być snobem. Właściciele ziemscy chętnie szukali źródeł dochodów poza rolnictwem. Tak więc dość wcześnie następowało wejście ludzi arystokratycznego pochodzenia do szerszych środowisk, zawierano nawet związki

małżeńskie z nieszlachtą. Obok *gentry* ważną rolę w tworzeniu *middle class* spełniali wywodzący się z chłopstwa lub mieszczaństwa przedsiębiorcy, technicy i wszelkiego rodzaju urzędnicy. Sądownictwo odgrywało równie doniosłą rolę w kształtowaniu klasy średniej jak we Francji.

Taka polityczna i ekonomiczna emancypacja wymagała jednak pewnego zabezpieczenia, którym stał się surowy kodeks obyczajowy – „socjeta” musiała przestrzegać wielu reguł. Zachowanie się jednostek było obserwowane i łamanie zasad czystości, trzeźwości, porządku czy choćby punktualności spotykało się z surową oceną. Żony oficerów, wyższych urzędników i duchownych, wyuczone od dziecka, jak się należy zachowywać, przyczyniały się do sukcesów mężów, między innymi organizując obiady i przyjęcia. Powodzeniem cieszyły się liczne poradniki dla panien, uczące dobrych manier i prowadzenia domu na wzór arystokratyczny. Kobiety miały jeszcze większe obowiązki niż mężczyźni i bardziej rygorystycznie były obowiązane przestrzegać etykiety. Trzeba było szanować hierarchię rodzinną, uwzględniającą wiek, wiek i pozycję. Niektórzy uważają, że zaostrzenie tych reguł w czasie rozkwitu demokracji i tzw. społeczeństwa masowego było reakcją na rosnący chaos w układach społecznych. Wśród rad, jakie w końcu XIX wieku Lady Warwick z hrabstwa Essex dawała młodej kobiecie, która weszła do kręgów arystokratycznych dzięki małżeństwu, były takie, które wyjaśniały zasady zapraszania gości: oficerowie armii i marynarki, dyplomaci i duchowni mogli być zapraszani na śniadanie (*lunch*) lub na obiad (*dinner*). Pastor – jeśli był dżentelmenem – mógł regularnie w niedziele jadać śniadanie lub kolację (*supper*). Lekarz i doradca prawny zastępowali na przyjęcie w ogrodzie (*garden party*), ale

– *of course* – nigdy na śniadanie lub obiad. Nikt, kto utrzymywał się ze sztuki, handlu, finansów, choćby miał znakomite koneksje, nie mógł być w ogóle zapraszany do domu. Przypomnijmy, że także we Francji, w domu Guermantes, godzono się na przyjmowanie – przy niektórych okazjach – Swanna, ale nigdy z żoną lub córką.

Im mniej jasny był podział klasowy, tym ostrzej zaznaczano porządek w domu: od służących, poprzez dzieci i dorosłych, do gości, przyjmowanych z całą celebrą, obejmującą zasady pierwszeństwa obsługi itp. Arystokracja mogła sobie na wiele pozwolić i lekceważyć takie reguły, ale jej dziećmi opiekowali się nauczyciele i wychowawcy, którzy narzucali wychowankom surowe zasady. W rezultacie nie tyle na arystokratycznych, co na stworzonych przez gentry formach utworzyła się koncepcja „dżentelmeńskości” (*gentility*), wpisana do kodeksu honorowego i stanowiąca najefektywniejszy instrument kontroli społecznej. Zwycięstwo nie przyszło łatwo – trzeba było przezwyciężyć niechęć arystokracji, uporać się z nieakceptowanym zwyczajem pojedynków, heroicznym romantyzmem, który zastąpiono teraz zasługami osobistego wysiłku. Powoli nawet artyści, o ile mieli ważnych protektorów, mogli znaleźć się w arystokratycznym salonie (raczej mężczyźni, rzadko – kobiety), nigdy jednak (do I wojny światowej) aktor nie był przyjęty na królewskim dworze. *Respectables women*, zwłaszcza mężatki, mogły grać w sztukach teatralnych, ale jeśli było to zajęcie amatorskie, a nie źródło utrzymania. Branie pieniędzy za sztukę oznaczało przekroczenie Rubikonu i wyłączenie z dobrego towarzystwa.

Jednak „towarzystwo” traciło stopniowo swą dyktatorską władzę nad życiem prywatnym, a proces

ten przyspieszyła I wojna światowa. Po II wojnie „towarzystwo” faktycznie przestało istnieć, rozpadło się. Został już tylko teatralny rytuał, bez faktycznego przestrzegania hierarchii społecznej. Od schyłku lat pięćdziesiątych XX wieku zapanował klimat niepewności co do systemu stosunków między jednostkami oraz między jednostką a szerszymi kręgami społecznymi, poczynając od rodziny. Galopujące w mieście życie burzyło hierarchie i obyczaj; można zaryzykować twierdzenie, że pod powłoką tradycjonalizmu brytyjskiego dokonywały się w XIX i XX wieku jedne z najgłębszych przeobrażeń społecznych, których jednym z elementów było „umiastowienie”. Demokratyzacja życia i swoiste „równanie w dół” w sensie kulturowym, wywoływane też prądami intelektualnymi, sprowadziły w końcu dżentelmena do pozycji snoba.

Nie na dworach, ale w miastach w XVIII i XIX wieku hodowano idee liberalne, czy to dotyczyły one wolności osobistych, gospodarczych czy światopoglądowych. Liberalizm burżuazyjny – niezależnie od tego, jak będziemy oceniać jego skutki i ewolucję, był ideologią przeciwstawiającą się arystokratycznemu konserwatyzmowi oraz absolutyzmowi władz. Jeszcze starszym dzieckiem społeczeństwa miejskiego była demokracja, która w tych dwóch stuleciach oznaczała przede wszystkim zniesienie we wszystkich dziedzinach życia wszelkich ograniczeń (monopoli, przywilejów), wynikających z immunitetu i urodzenia, a potem dopiero – rozszerzenie praw wyborczych. W myśl idei, przypisywanych głównie burżuazji (w zachodnim sensie tego słowa), wartość człowieka należy mierzyć osobistymi zasługami, talentem i ciężką pracą, a nie tytułami. Dlatego dostatku i godziwej pozycji społecznej,

osiąganych dzięki tym przymiotom, nie należy się wstydić. Gentleman przeto, choć nie wywodził się z arystokracji, zaspokajał aspiracje właściwe warstwom wyższym dzięki odpowiedniemu wychowaniu i edukacji, dobrym manierom.

Okolo 1815 r. pojawił się i termin „klasa średnia” (*middle ranks*), i odczucie własnego znaczenia wśród przedstawicieli tej grupy, którzy wyrażali przekonanie o misji, jaką mają do spełnienia, a mianowicie działania na rzecz „dobrych rządów oraz szczęścia i rozwoju inteligencji ludzi”. Tego rodzaju opinie, jak również wywieranie presji na arystokrację można obserwować na łamach „Monthly Magazine” czy „Atheneum”. Język publicystów nowej klasy przejmowali politycy, którzy przecież mieli tendencję do rozszerzania tego pojęcia na „lud”. Arystokracja próbowała uciszyć wrzenie społeczne, przyznając, iż klasy średnie są gwarantem dobrobytu i chwałą imienia brytyjskiego. Między pojawieniem się opinii publicznej a rozwojem i emancypacją klasy średniej istniał ścisły związek. Jednakże w połowie XIX wieku „dzentelmeni” odczuli z niepokojem nacisk i „zuchwałość” *mobu*, czyli motłochu, podburzanego, jak uważano, przez szaleńczych czartystów. Może dlatego zasady dobrego wychowania stawały się takim ważnym symbolem miejsca w społeczeństwie. W ciągu paru następnych pokoleń dokonywały się nieśpieszne, ale ważne zmiany i do średniej klasy przenikały – od dołu – coraz to nowe grupy ludzi, którzy stawali się zamożniejsi i coraz szerzej uprawnieni. Od 1876 r. praktycznie wszyscy dorośli mężczyźni o stałych zarobkach, włącznie z robotnikami, mieli prawa wyborcze.

Ze względu na swoiste cechy i wartości, które nie wynikają z prostego naśladownictwa arystokracji, wyróżnia się tzw. kulturę mieszczańską. Nie jest łatwo

ją scharakteryzować, bowiem występowały różnice narodowe, poza tym burżuazję połowy XIX wieku cechowała psychologiczna ambiwalencja uczuć: z jednej strony resentmenty wobec „szlachetnie urodzonych”, z drugiej zaś chęć identyfikacji z najbardziej podziwianymi notablami. Tak na przykład typowy niemiecki *Bourgeois* miał odpowiedni dom, który miał mu zapewniać intymność, dbał o prywatność i wytwarzał rytuał w zakresie przygotowania i konsumowania posiłków, w podziale zadań domowych (co podkreślało hierarchię w rodzinie). Należał on do *Musikverein* i był gorliwym widzom – a często i dobroczyńcą – teatru, był religijny (ale do kleru odnosił się z dystansem), łożył na cele charytatywne, starannie zabezpieczał przyszłość swych dzieci, propagował więc i rozwijał towarzystwa przezorności. Przywiązywał wielką wagę do wykształcenia ogólnego, nie tylko profesjonalnego, jak to było w przypadku drobnomieszczactwa. Podobne cechy i ambicje zamożnego mieszczaństwa można zaobserwować w wielu miastach i w różnych krajach – w Wiedniu, Krakowie, Budapeszcie, Pradze.

Ekspansja edukacji w środowisku klasy średniej była obserwowana w Europie Zachodniej po 1830 r., niezależnie od koniunktury gospodarczej i trochę jakby wbrew temu, że nie otwierały się właściwie żadne nowe pola aktywności i zatrudnienia. To raczej wzrost liczby nieźle wykształconych młodych ludzi wywołał potrzebę stworzenia odpowiednich miejsc na rynku pracy. Utrwaliła się świadomość, że edukacja jest niezbędna do osiągnięcia odpowiedniej pozycji, która zależała jeszcze od tego, z jakiej rodziny dana osoba się wywodziła; oczywiście, najlepsze było pochodzenie szlacheckie, albo tradycje patrycjuszowskiego rodu mieszczańskiego. Jednak nawet taką pozycję, jaka

wynikała ze szlachectwa, można było utracić, jeżeli prowadziło się nieodpowiedni styl życia – właściwy styl mógł rekompensować brak majątku. Różne stany emocjonalne były kształtowane na zasadzie tworzenia kodeksu grupowego, jest jednak faktem, że takiemu kodeksowi podporządkowywano się tylko na pewien czas. Niektórzy badacze przestrzegają, by opisów mentalności i zachowania się burżuazji nie brać zbyt serio, następowało bowiem coś w rodzaju stylizacji. Rzeczywistość jest więc mniej przejrzysta, niż wynika to z przekazów źródłowych, które są już pewną jej interpretacją.

We Francji, w Niemczech i zapewne także w innych krajach apogeum mieszczańskości przypada na lata 1850-1870. Był to okres niezbyt szybkiego, ale dość harmonijnego i stałego wzrostu zamożności większości warstw społecznych. Wcześniej, w latach fermentu ideowo-politycznego 1830-1848, doszło do zbliżenia młodych kupców, prawników i literatów, osób pochodzenia szlacheckiego i wywodzących się z pospólstwa. Do kontaktów dochodziło też w przededniu wyborów, na terenie kasyna, towarzystwa śpiewaczego i muzycznego. Dużą rolę odgrywały uniwersytety, bowiem sprzyjały powstawaniu więzów koleżeństwa i przyjaźni. Wśród przedstawicieli kupiectwa, funkcjonariuszy sektora publicznego czy osób z tytułami akademickimi wzrastała świadomość własnego znaczenia i możliwości, traciły zaś znaczenie małe „kliki arystokratyczne”. Ruch umysłowy, który eksplodował w 1848 r., został okielznany, ale nie zdławiony i – niezależnie od bezpośrednich efektów politycznych – pozostawił trwałe skutki zarówno w ustroju poszczególnych państw, jak i w mentalności.

Mimo wszystko mieszczaństwo z mozołem torowało sobie drogę do uznania. Ulubionym tematem powieści

tej epoki był problem wdzierania się do arystokracji nuworyszy pochodzących z klasy średniej, mezalianse i przesady klasowe, zaś ulubionym pozytywnym bohaterem – młody inteligent. W Niemczech, w przeciwieństwie do Anglii, ciągle obecny był kompleks niższości i uleganie czarowi arystokratycznych wzorców. Przykładem walki o akceptację wyższych sfer jest życie Gersona Bleichrödera, urodzonego w Berlinie Żyda, który ratował przed upadłościami innych kapitalistów, kupował dobra, dystansował się od innych bogatych Żydów, i wprawdzie otrzymał szlachectwo – co było dość wyjątkowe – ale nigdy nie zdołał wejść do grupy, do której aspirował. Wszyscy się nim posługiwali, nikt go nie uznał.

Faktycznie „stan pierwszy” utracił przywileje i monopol, przestał być podporą państwa i głównym źródłem rekrutacji rządzących elit; pozostały mu tytuły i trwa spór, do jakiegoś stopnia były one ważne w praktycznym życiu. Jak się wydaje, odpowiedzi na to pytanie nie można uogólniać, bo magia tytułów oddziaływała z różną siłą w różnych krajach i okolicznościach. Czasem wypadki polityczne przyspieszały awans społeczny warstw średnich; tak stało się w Niemczech, gdzie po zjednoczeniu w latach 1871-1900 nastąpiło coś w rodzaju sojuszu arystokratyczno-burżuazyjnego (nie wyłączając burżuazji żydowskiej). Zawierano nawet małżeństwa mieszane, ale mezalianse musiał mieć jakąś społeczną rekompensatę: jeśli arystokrata poślubił Żydówkę, to musiała ona być bogata kiesą i duchem, czyli wyróżniać się korzystnie. Arystokratka mogła poślubić artystę, jeśli odniósł sukces.

Opisywane tu procesy społeczne przebiegały w różnych krajach w specyficzny sposób, co odzwierciedlają odmienności pojęć. Ale niezależnie

od tych różnic można dostrzec wspólne cechy brytyjskiej *gentry*, *burghera* i *gentlemana*, francuskiego stanu trzeciego i *bourgeoisie*, niemieckiego *Burgertum*. Idzie tu o „obywatelskość” – takie usytuowanie jednostek wobec państwa i grup rządzących, które – nie gwarantując jeszcze dostępu do władzy – dawało poczucie niezależności i umożliwiało wpływ na sprawy ogólne. O prawa obywatelskie mieszczaństwo walczyło, co musiało być rezultatem dużej wiedzy i rosnących aspiracji. W epoce najsilniejszej ekspansji liberalizmu (około 1848 r.) i liberalnych reform lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych XIX wieku obserwujemy największą emancypację polityczną i kulturową tej warstwy. Rozwinięta klasa średnia chciała mieć swą reprezentację w państwie i samorząd, postulowała więc demokratyczne reformy. Klasa ta formowała się poprzez aktywność w walce o reformy, z kolei reformy wzmacniały jej pozycję. Powody do dumy miał ten, kto zawdzięczał sobie samemu osiągnięcia lub mając godnych szacunku przodków potrafił, respektując tradycję, zachować i pomnażać ich dziedzictwo.

54

Życie w mieście w XIX wieku dla wielu ludzi oznaczało uczestniczenie w jakimś stowarzyszeniu, które było dobrowolne. Uważa się to za jeden z przejawów istnienia społeczeństwa obywatelskiego. We Francji nazywano to *sociabilité*; wydaje się, że najbardziej rozwinięta była ona w Niemczech. Działały tu kooperatywy konsumpcyjne, kasy zapomogowe, organizacje kupieckie, stowarzyszenia wzajemnych ubezpieczeń i kredytu, związki studenckie i szkolne, organizacje przemysłowców (głównie po 1880 r.), zaś po 1890 r. rozwinęły się stowarzyszenia grupujące „białe kołnierzyki” – w 1910 r. miały 15 tys. członków. Uważa się, że wiele tych organizacji skupiało

sfrustrowane średnie i drobne mieszczaństwo, które – dobrze zorganizowane – stało się później ważnym czynnikiem sukcesu nazistów. Najaktywniejszą częścią klasy średniej była zwykle burżuazja protestancka – jak wiadomo, kapitalizm poczynił najszybciej postępy w krajach ewangelickich, i nie jest to przypadek, choć Max Weber, Werner Sombard, Richard Tawney czy Aleksander Gerschenkron rozmaicie to tłumaczyli. Warto dodać, że w połowie XIX wieku duchowni ewangelicy w większości byli synami duchownych (40,6%), ale potem nastąpił wyraźny wzrost dostępu do duchowieństwa ludzi niższego pochodzenia – synów prostych nauczycieli, niższych urzędników i zamożnych chłopów. Przedstawiciele tych grup wśród duchowieństwa katolickiego znajdziemy znacznie mniej.

Podsumujmy zasługi, które znaczna część dzisiejszej historii społecznej przypisuje klasie średniej. Po pierwsze, była głosicielem idei wolności – wolności gospodarowania, którą można było osiągnąć poprzez zniesienie przywilejów klasowych i monopoli państwowych, wolności osobistych, wolności przekonań i ich wypowiedania. Naturalną konsekwencją było rozluźnienie związków z Kościołem (czy też Kościołami) i laicyzacja życia publicznego, której jednak nie należy mylić z ateizacją. Liberalizm burżuazyjny XX wieku wcale nie oznaczał libertynizmu i odrzucania norm moralnych, przeciwnie – klasa średnia była na ogół pobożna, zachwalała surowe reguły, atakując niesolidność, brak norm zarówno w interesach, jak i w życiu osobistym, w tym także rozluźnienie obyczajów arystokracji. Przywileje były sprzeczne z postulatem demokracji, drugą więc zasługą klasy średniej była demokratyzacja, oznaczająca równość wobec prawa. Nie mówiono początkowo o równości szans; takie hasło pojawiło się dopiero w XX wieku.

Jednym z kolejnych osiągnięć społeczeństwa burżuazyjnego była profesjonalizacja. Role w państwie winny być rozdzielane zgodnie z przygotowaniem do ich pełnienia, profesjonalizacja nie była więc wyrazem dążenia do zawodowego monopolu, ale drogą do „uobywatelnienia”. W tradycyjnym systemie monarchicznym i paternalistycznym władcy podejmowali arbitralne decyzje dotyczące powoływania na ważne stanowiska w administracji, oświacie, armii, policji, wymiarze sprawiedliwości. Nominacje urzędników były aktami łaski, okazywanymi klienteli – faworytom, członkom własnego klanu, niewolnikom i sługom. Władca oceniał ich przydatność, jeśli przydatność w ogóle stanowiła jakieś kryterium. Nowoczesna biurokracja ma zdefiniowane prawa i obowiązki, stosunki zaś pomiędzy poszczególnymi szczeblami służbowej hierarchii są usystematyzowane. Zatrudnienie odbywa się na podstawie kontraktu (ugody), formalnym warunkiem przyjęcia do pracy jest przygotowanie, często sprawdzane przy pomocy konkursów lub egzaminów, płaca jest zawsze pieniężna, a nie w postaci ulg, korzyści, przywilejów czy deputatów, następuje ścisła separacja prywatności i biura, nie dopuszcza się do identyfikacji osobistej urzędnika z zajmowanym stanowiskiem, praca jest systematyczna – określony jest jej czas i rytm, podstawową zasadą jest formalna racjonalność organizacji urzędu.

Dalej – klasie średniej przypisuje się rolę demiurga nowoczesnego narodu. Szkoła, urząd i armia były filarami państwa narodowego, bo wprowadzały jeden język z ustalonymi kanonami poprawności. W niemieckiej myśli liberalnej słowo *Nation* stało się synonimem społeczeństwa obywatelskiego (*emanzipierter Staatsbürgerschaft*), a tym samym

systemu konstytucyjnego i niemalże samego państwa:
„*Der Staat Nation werden müsse*”.

Najbardziej sporny jest problem kultury burżuazyjnej: czy była to oryginalna kultura, czy stanowiła adaptację kultury arystokratycznej dla potrzeb życia miejskiego i klas nie utytułowanych? Wydaje się, że kultura i mentalność były zmienne i elastyczne, bardziej niż kultura klasy wyższej, której zasadą było podtrzymywanie tradycji. Klasa średnia nie była jednorodna, oddziaływały więc na nią rozmaite wpływy, także wyniesione z warstw niższych. Zamożni Żydzi mogli należeć tylko do klasy średniej, stanowili więc jej dość liczny odłam. Ich kultura ulegała zeświecczeniu i otwierała się na wpływy zewnętrzne, ale też oddziaływała na kulturę całego mieszczaństwa bardziej, niż chciałoby ono przyznać.

Tak więc „klasa średnia”, która została uznana za nosiciela modernizacji, i sama przyczyniała się do tworzenia swojego stereotypu, a nawet – mitu. Zaliczani do niej byli kupcy, bankierzy, właściciele i dyrektorzy przedsiębiorstw przemysłowych, lekarze, adwokaci, gimnazjaliści i uniwersyteccy profesorowie, pisarze, sędziowie i adwokaci, wyżsi urzędnicy (w większości krajów o zmodernizowanym aparacie państwowym elita administracyjna była uważana za jeden z ważniejszych składników klasy średniej), dyplomowani inżynierowie, historycy i filozofowie, dziennikarze. Z czasem do burżuazji lub klasy średniej zaczęto nawet włączać (ale nie wszędzie) bogatych chłopów, niektórych artystów, czasem też oficerów, o ile byli to ludzie „zorientowani miejsko” (*städtisch orientierte*) – jeśli użyć powiedzenia niemieckiego historyka Jürgena Kocka. Aby tworzyć jedną klasę, ludzie ci musieli odznaczać się poczuciem niezależności, stosunkowo wysokim wykształceniem, wyszukany

stylem życia. Na Węgrzech jako *bourgeois* określany był ten, kto w wolnym mieście królewskim miał nieruchomość, potem mieszczanina musiała cechować postawa obywatelska, która wkrótce zaczęła być utożsamiana z postawą narodową. Nieodłączną cechą stanowiło stosunkowo wysokie wykształcenie. Czeski mešťan był mieszkańcem miasta, *občan* – obywatelem, którego powinny cechować *občanské čtnosti* – cnoty obywatelskie.

Panta rei. W świecie zachodziły nieustanne zmiany i podziały, a stosunki społeczne ulegały mutacji – zmienność nie niszczyła samej materii i ciągłość – Fernanda Braudela długie trwanie – daje się obserwować. Nowe formy przybierała gospodarka, coraz mniej adekwatne do rzeczywistości stawały się uogólnienia ekonomii klasycznej. W końcu XIX wieku pojawiły się tendencje wzrostu tzw. sektora trzeciego w gospodarce – usług, do których zaliczamy także całe szkolnictwo, instytucje dostarczające rozrywki itd. Marksowskie przewidywania wzrostu nierówności i polaryzacji społecznej na dwie antagonistyczne klasy: burżuazję (właściciele kapitału) i proletariąt, okazały się chybnymi. Rozwijały się uniwersytety, nauka wkroczyła do wielkich przedsięwzięć i sama stała się wielkim przedsięwzięciem. Wszystko to sprzyjało liczebnemu wzrostowi klasy średniej, co jednak nie było korzystne z punktu widzenia dawnej spójności z czasów ofensywy ideologicznej: w pierwszej połowie XIX wieku trwała walka o prawa wyborcze, druga połowa stulecia była epoką nowej polityki komunalnej (zwłaszcza w miastach), państwowej polityki socjalnej, odkrywania zalet zinstytucjonalizowanych systemów negocjacyjnych, a więc na przykład istnienia organizacji pracowniczych. Nowe warunki i stare pojęcia nie przylegały już tak dobrze do siebie jak w pierwszej

połowie XIX wieku, dlatego chętniej mówiono nie o mieszczaństwie lub burżuazji, ale o klasie – lub klasach – średnich, od których nie oczekiwano spełniania misji cywilizacyjnych lub niesienia rewolucji. Misje rewolucyjne przejął proletariats.

Spółeczeństwo krajów rozwiniętych stawało się bardziej zróżnicowane, nie uszeregowane hierarchicznie według jednego lub syntetycznego kryterium uwzględniającego różne cechy – teraz kryteria krzyżowały się ze sobą. Pod koniec XIX wieku występował silny wzrost mobilności społecznej, obejmujący mniejsze miasta, środowiska drobnej burżuazji, niższych urzędników, dzieci chłopów. Na mobilność największy wpływ miało wyższe wykształcenie, które stawało się konkurencyjne, a w rezultacie – mniej elitarne. Od końca XIX wieku następowały zmiany technik i zakresu nauczania, rozszerzał się zasięg przedsiębiorczości – przedsiębiorstwami stawały się szkoły, kościoły, własność ziemska. Prowadziło to do zmniejszania różnic między bankierem, przemysłowcem, rolnikiem czy jakimkolwiek innym profesjonalistą; najważniejsze pozostały różnice kulturowe. Schyłek wielkich rodów był skutkiem wzrostu korporacji, „rewolucji menedżerów” i napływu do świata finansów „białych kołnierzyków”. Związków, zależności, możliwości przejścia z grupy do grupy było bez liku, dlatego wizerunek społeczeństwa podzielonego na dwie antagonistyczne klasy – burżuazję i proletariats – ma sens czysto demagogiczny i nie odzwierciedla rzeczywistości, chociaż ruch robotniczy zdawał się potwierdzać taki wizerunek.

Wskutek rozwoju masowego ruchu robotniczego nastąpiły przesunięcia, bowiem scena polityczna skomplikowała się. Na początku XX wieku znaczna

część (inteligencka według polskiej terminologii) burżuazji w różnych krajach zaczęła zajmować radykalniejsze pozycje (w Wielkiej Brytanii nazywano to porozumieniem *lib-lab* – *liberalism and labour*, w ślad za tym w Niemczech – *Lib-Lab Allianz*). Poza tym w Niemczech obserwujemy stopniowy spadek uczestnictwa przedsiębiorców w Reichstagu i wycofywanie się burżuazji z życia politycznego. Historycy interpretują ten fakt jako przejaw strachu klasy średniej przed rewolucją proletariacką, który popychał dawnych nosicieli idei liberalnych w objęcia konserwatystów. Elita zaczęła odczuwać niepokój, zwłaszcza w obliczu rosnącej potęgi ruchu zawodowego i przejawów radykalizacji mas. Stawała się, jak to zauważono, „nerwowa”, żyła w niepokoju, napięciu i poczuciu niepewności. Te cechy stały się widoczne na Zachodzie w latach 1880-1900, dlatego ten fragment „wieku burżuazji”, jak nazywano XIX stulecie, może pretendować również do nazwy, nadanej kiedyś epoce późnego renesansu i reformacji: „okres trwogi”.

60

O ile w ciągu XIX i w początkach XX wieku można mówić o zmianach społecznych jako o ewolucji, to wielkie wstrząsy XX stulecia spowodowały gwałtowną zmianę ładu społecznego i wyobrażeń na jego temat. Pierwszym była wojna światowa i rewolucja w Rosji, drugim – o znacznie poważniejszych i powszechniejszych skutkach – wielki kryzys lat 1929-1933, potem przyszła II wojna i jej konsekwencje, z socjalizmem na dużym obszarze Europy włącznie. Wywołało to przewartościowanie w dziedzinie świadomości i zachowania klasy średniej, która już przeżyła swój triumfalny czas wznoszenia się społecznego. Inną cechą mentalności, zwłaszcza w XX wieku, stawało się poczucie winy – z powodu własnej komfortowej sytuacji w otoczeniu pełnym problemów socjalnych

czy na skutek narastającego konfliktu między zasadami życia rodzinnego (rodziny burżuazyjne odznaczały się zawsze silnym afektywnym związkiem między dziećmi i rodzicami) a tendencją do wzrostu superego itp. Powodowało to różne reakcje, na przykład *Flucht nach vorn*, jak mawiano w Niemczech, *telescopic philanthropy* lub *bran-new everything* w Anglii według sarkastycznego powiedzenia Karola Dickensa czy wreszcie skłonność do skrajnych – lewicowych lub prawicowych – postaw.

Ulegało rozmyciu jednoznaczne emocjonalnie zabarwienie słów; w XX wieku przymiotnik „burżuazyjny” był coraz rzadziej używany w pozytywnym znaczeniu, a w ustach przedstawicieli lewicy politycznej – socjalistów, anarchistów czy później „dzieci kwiatów” przełomu lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych XX wieku – stawał się obelgą. Z kolei w Niemczech pejoratywne zabarwienie miał termin *Mittelstand* – stan średni, który miał uosabiać przeciętność i porządek: każdy zna swę miejsce i nie próbuje go zmienić. *Mittelstand* jest bliski naszemu pojęciu drobnomieszczaństwa (o czym za chwilę będzie mowa). Właściwy tej grupie sposób myślenia identyfikuje się z populizmem (ludowością – *volkismem*).

Jak Czytelnik z łatwością zauważy, bohater tego rozdziału – klasa średnia – wyrósł na gruncie miejskim i ma raczej pozytywne cechy jako nosiciel postępu, albo, używając bardziej neutralnego sformułowania, modernizacji. Jeśli ktoś przywiązuje pozytywne znaczenie do słowa „rewolucja”, to do połowy XIX wieku nasz bohater był także rewolucyjny. Taki sposób ujęcia spotyka się z zarzutem, że nie jest niczym innym jak mitologizacją grupy, która w rzeczywistości odgrywała niejednoznaczną rolę. Czy nie popelnia

się błędu, przypisując miastom i mieszczaństwu rolę nosiciela zmian, które miały charakter powszechny? Tym bardziej że w źródłach jest wiele niechętnych klasie średniej wypowiedzi. Stworzony został i utrwalony jej negatywny wizerunek jako egoistycznej, dbającej wyłącznie o pieniądze, aroganckiej grupy wyzyskiwaczy. Ktoś, kto zatrudnia innych ludzi, tym samym ich „eksploatuje”, jak powiedział Karol Marks.

Ten typ interpretacji stosunków społecznych rozpowszechnił się silnie po II wojnie światowej, a najbardziej – na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych XX wieku. Za sprawą Jean-Paul Sartre'a, amerykańskiej szkoły socjologicznej i „dzieci kwiatów”, uczestników francuskich rewolt studenckich 1968 r., potem Michela Foucault, kształtują się do dziś i potoczne, i naukowe wyobrażenia o stosunkach społecznych, w których dominującą rolę odgrywają czynniki takie jak przemoc, eksploatacja, wyzysk, interes klasowy, dyscyplinowanie. Większość zachodnich historyków, zajmujących się zwłaszcza dziejami robotników i ruchu społecznego, powołuje się często na Marksa lub Foucault, a czasem na obu naraz, choć stosują całkowicie odmienną metodologię.

Pytanie, jaką rolę odgrywała klasa średnia, można odwrócić: co się dzieje tam, gdzie w XIX i XX wieku występował jej niedorozwój lub niedowład jej politycznej aktywności? Tak właśnie sformułowali pytanie historycy niemieccy, niepokojeni poczuciem odpowiedzialności za wydarzenia lat trzydziestych i czterdziestych XX wieku. Zwycięstwo nazizmu w 1933 r., a potem klęska w 1945 r. dyskredytowały historię, z której Niemcy byli dumni. Czy hitleryzm był tragicznym przypadkiem, jedną z odmian faszyzmu, który pojawił się w świecie jako ogólna tendencja, czy też był zjawiskiem niemieckim, tkwiącym w mentalności ludzi i tradycjach? Poszukując

na to odpowiedzi, sformułowano między innymi tezę, że nazizm mógł się zdarzyć na skutek specyficznej ewolucji ustroju i kultury, co nazwano szczególną niemiecką drogą -- *Sonderweg*. Hipoteza ta wywołała lawinę publikacji.

Zwolennicy tezy o *Sonderweg* różnią się między sobą w wyborze faszystogennych czynników: jedni skłonni są podkreślać przede wszystkim lęk burżuazji przed proletariatem, inni kładą nacisk na niemiecką ideę państwa, na rolę pruskiej armii i militarizmu oraz przywiązanie do hierarchii. W każdym razie ważnym nurtem *Sonderweg Debate* jest dyskusja nad tezą o deficycie klasy średniej (*Mangel an Bürgerlichkeit*), w której wzięło udział kilkudziesięciu historyków, socjologów, politologów i polityków nie tylko z Niemiec, ale i z innych krajów. W streszczeniu koncepcja przedstawia się następująco: faszyzm niemiecki nie był zdarzeniem losowym, „wypadkiem przy pracy”, lecz miał swoje korzenie w przeszłości sięgającej 1848 r., kiedy to niemiecka burżuazja „przegrała rewolucję”. Podobnie jak w całej Europie, tak i w Niemczech miały miejsce procesy modernizacyjne, były one jednak opóźnione, zwłaszcza w zakresie uprzemysłowienia, rozwoju oświaty i biurokracji, zaś przedindustrialne tradycje blokowały rozwój nowoczesnych instytucji, a więc też burżuazyjnego państwa narodowego (*verspätete Nation*). Niemieckie *Bürgertum* nie miało takiego znaczenia jak francuska *bourgeoisie*, czy zwłaszcza angielska *middle class*, nie weszło do unowocześnianych struktur państwowych i nie stało się ważną częścią nowej elity administracyjnej. Początkowo było ono postępowe, podjęło nawet walkę z absolutyzmem, ale rewolucja 1848 r. nie udało się i emancypacja została przerwana. Nastąpił wzrost

roli państwa, co było widoczne zwłaszcza w czasie trzydziestoletnich rządów Bismarcka: parlament był słaby (nie miał wszystkich uprawnień, które posiadały parlamenty w rozwiniętych zachodnich demokracjach), partie były zbyt rozproszone i przez to nie dość wpływowe. Niemniej jednak klasa ta bogaciła się dzięki rozwojowi gospodarczemu, bardzo szybkiemu w drugiej połowie XIX wieku, ten zaś wywołał gwałtowny rozwój żądań społecznych. Zanim burżuazja poczuła się pewnie, już masy plebejskie – urzędnicy, kolejarze, nauczyciele, rzemieślnicy, sklepikarze, a przede wszystkim robotnicy fabryczni – gwałtownie manifestowały swą obecność i żądania. Spowodowało to lęk przed rewolucją i sojusz burżuazji – na zasadzie podporządkowania się – z junkierstwem i państwem (*konservative Allianz*).

Poza tym niemiecka klasa średnia stawała się pojemniejsza, co prowadziło do zwiększenia dystansów społecznych. Część tej klasy niejako zapadała się w sobie, stawała się bardziej ekskluzywna, separowała się i „feudalizowała”, zaś inna część ulegała plebeizacji. Ta wyższa warstwa miała tendencję do tworzenia, jak pisał Rainer Lepsius, oddzielnego środowiska społeczno-moralnego (*die separaten sozial-moralischen Milieu*). W rezultacie postawy liberalne słabły, wzrastała podatność na autorytaryzm. W tych krajach, w których tradycje arystokratyczne były niewielkie, jak na przykład w USA, klasa średnia nie obawiała się degradacji, ale w Niemczech nastąpiło wczesne i całkowite rozdarcie między liberalizmem a ruchem robotniczym (jeśli nie liczyć efemerycznej koalicji socjalistyczno-liberalnej). Stara ziemiańsko-wojskowa elita (junkrzy) zachowała znaczenie i prestiż; to ona zasilala potężną i sprawną biurokrację oraz utrzymywała tradycyjny system wartości. Legitymizacją biurokracji było to, że działała ona na

zasadzie delegacji od władzy najwyższej, i w ten sposób proces profesjonalizacji uległ zniekształceniu. Ponadto edukacja była pod kontrolą państwa.

Tezy te wzbudziły polemiki w Niemczech, czasami bardzo gwałtowne; włączyli się do nich historycy z Francji i Anglii. Nie ma tu miejsca na ich omawianie. Jeśli przywołuję tutaj spór niemiecki, to po to, by pokazać, jaką rolę odegrały klasy średnie już nie tyle w faktycznych dziejach narodów, ile na kartach prac historyków i w polemikach politycznych naszych czasów. Po raz kolejny okazuje się też, że w historii nie ustalanie faktów jest najciekawsze, ale ich interpretowanie. A to zależy w dużym stopniu od tego, czym żyje kolejne pokolenie historyków. Czy więc żywimy się mitologią miasta i ulegamy zawodnym, w dodatku niezbyt precyzyjnym stereotypom, pisząc o społeczeństwie obywatelskim i klasie średniej? Jeśli nawet tak jest, to wynikające z tych złudzeń i nieporozumień debaty przyczyniły się do ogromnego rozwoju badań empirycznych i wzbogaciły życie umysłowe ostatnich 30-40 lat.

Nie ma jednoznacznego rozstrzygnięcia wątpliwości, jakie zostały tu wskazane. Ktoś może być zauroczony pałacami, ktoś inny – drobnoszlacheckimi dworkami, jeszcze inny – fabryką lub miastem. Badacz może przybrać postawę skrajnego obiektywizmu, wtedy jednak będzie się wystrzegał nawet klasowej terminologii; Jacques Le Goff przestrzega, że ludzie z minionych epok niełatwo dają się wtłoczyć do przegródek, jakie dla nich sporządzamy, i nadają sobie etykiety nie takie, jakie dziś chcielibyśmy im nadać. Jeśli nawet uda się ich poszeregować, wkrótce zaczynają obalać przegródki i wymyślać sobie nowe etykiety, nie mówiąc o wnioskach dotyczących historycznej roli jakiejś grupy.

Jeśli mamy z tym kłopoty, chętnie poprzestajemy na faktografii i statystyce.

Jest rzeczą charakterystyczną, że socjologia amerykańska nie zaadaptowała europejskiej terminologii do opisu własnej struktury społecznej. Najczęściej stosowany przez nią podział ma charakter konwencjonalny; ma on ogromne zalety, umożliwia bowiem operowanie mierzalnymi wskaźnikami, pozwala na uniknięcie pułapek zastawianych przez emocjonalne właściwości poszczególnych słów i nie sugeruje, że tworzone przez uczonych kategorie występują „w przyrodzie”. Wszędzie możemy zastosować amerykański schemat podziału na klasy niższą, średnią i wyższą, z których każdą dzieli się na trzy podgrupy (wyższą-wyższą, średnią-wyższą, niższą-wyższą, wyższą-średnią, średnią-średnią itd.), do każdej możemy zastosować kompleksowe lub jednorodne kryteria.

66

Jeśli jednak chcemy zgłębić, dlaczego ludzie zachowują między sobą dystans, sprawdzić, z czego on wynika – z odmiennych możliwości i warunków życia, z różnic światopoglądowych czy z przesądów – prowadzimy tak samo „konkretne” badania, a metoda jest indukcyjna. Historia miast może być dogodnym polem takiego badania; dystans społeczny objawia się często poprzez dystans przestrzenny (kształtowanie się dzielnic, stosunki w miejscu pracy, wybór szkoły dla dzieci itd.). Cechy określające tak jednostkę, jak i jakąś zbiorowość, wyłaniają się z zespołu czynników płynnych i nieprzewidywalnych, jakimi są wyposażenie w dobra materialne i dziedzictwo kultury, środowisko rodzinne, lojalność religijna i narodowa lub etniczna, status społeczny – relatywna pozycja jednostki nie tylko wobec przedstawicieli innych warstw, ale też wewnątrz własnej warstwy, bowiem od silnego poczucia więzi i

akceptacji zależy w dużym stopniu ruchliwość społeczna. Dopiero biorąc pod uwagę te czynniki widzimy całe bogactwo problematyki i odmienność poszczególnych historycznych sytuacji. Każdy opis przeszłości za pomocą kategorii klasowych (czy grupowych) jest tworzeniem pewnego stereotypu; ów stereotyp kształtował się w badanej epoce, ale jest też dziełem historyka. Bez stereotypu nie ma jednak żadnego wniosku – dowiadujemy się wielu szczegółów, ale nie umiemy nic powiedzieć syntetycznie. Aby uczynić zadość wymaganiom obiektywizmu, postaram się pokazać dalej zarówno pozytywne, jak i negatywne opinie o klasie średniej (pomijam rozmaite inne terminy, wyjaśniane już uprzednio).

IV. Peryferie modernizacji: miasta polskie

„W Maurilii podróżnego zaprasza się do zwiedzenia miasta i równocześnie do obejrzenia starych widokówek, ukazujących je takim, jakie było w przeszłości: ten sam plac z kurą w miejscu, gdzie teraz jest postój autobusów, pawilon koncertowy w miejsce wiaduktu, dwie panienki z białym parasolem w miejscu dzisiejszej fabryki materiałów wybuchowych. Aby nie sprawić zawodu mieszkańcom, podróżny powinien chwalić miasto z widokówek i przedkładać je nad obecne, dbając jednak, aby swój żal z powodu przemian utrzymywać w granicach ściśle określonych reguł: przyznać, że przepych i rozkwit wielkomiejskiej Maurilii nie rekompensują pewnego utraconego czaru, który jednak przebija dopiero teraz ze starych pocztówek, podczas gdy kiedyś, patrząc na prowincjonalną Maurilię, nie sposób było w niej dostrzec jakiegokolwiek uroku, a już na pewno byłaby go pozbawiona dzisiaj, gdyby pozostała bez zmian, zaś metropolia ma niewątpliwie tę dodatkową atrakcję, że poprzez to, czym się stała, można wspominać z nostalgią to, czym była” (Calvino, 24).

68

Przed utratą niepodległości w XVIII wieku w Polsce było wiele miast, ale mniejszych i ekonomicznie słabszych od miast na Zachodzie. Większość z nich została założona przez szlachtę w XVI i XVII wieku, głównie po to, by mogły one przechwytywać dochody pieniężne z lokalnego rynku. Nadawano im pewne prawa, ale nie likwidowano stosunków dominialnych i autonomia miasteczka szlacheckiego była fikcyjna; mieszkańcy żyli głównie z uprawy ziemi i należeli do ludności poddanej, choć mieli rozmaite wolności i

opiekę sądową taką jak mieszkańcy miast królewskich. Była to niewątpliwa konsekwencja rozwoju folwarku pańszczyźnianego, utrwalenia zależności chłopów i zwiększenia przywilejów szlacheckich. Rozwój stosunków wolnorynkowych, czyli kapitalistycznych, ulegał zahamowaniu. Aż do lat sześćdziesiątych XIX wieku miasta prywatne stanowiły prawny i gospodarczy problem, który starano się rozwiązać wraz z uwłaszczeniem chłopów.

Wolności miały miasta królewskie, zwane potem narodowymi, a jeszcze później skarbowymi. Zwłaszcza w tych starych miastach, gdzie był dość silny patrycjat, struktura i stosunki społeczne odpowiadały tym, które istniały na Zachodzie. Niemniej jednak rodzime kupiectwo nie było silną warstwą społeczną, choćby dlatego, że zostało pozbawione możliwości handlu największym bogactwem tej części Europy – zbożem. Trudno też powiedzieć, na ile działalność króla na polu gospodarczym miała znaczenie stymulujące rozwój, a na ile szkodziła kapitalistycznym formom prowadzenia działalności. Mimo tej słabości istniały pewne możliwości rozwoju i oznaki, że mieszczaństwo – zwłaszcza Krakowa, Poznania czy Warszawy – zaczęło spełniać rolę podobną do tej, jaką spełnił *Tiers État*. Drugi i trzeci rozbiór Polski były katastrofą polityczną o głębokich i trwałych skutkach: nastąpił kryzys gospodarczy, przerwany został proces reform, dopiero co w nieśmiały sposób zapoczątkowanych.

W źródłach z początku XIX wieku powtarzają się dwa, niezupełnie pokrywające się ze sobą, określenia mieszczaństwa. Pierwsze z nich, starsze i chyba bardziej rozpowszechnione w opinii ogółu ludności, zaliczało do mieszczan każdego mieszkańca wszystkich miejscowości posiadających jakąś formę praw miejskich, o ile nie wchodzili oni do stanu szlacheckiego

(lub duchownego) i nie byli Żydami. Takie szerokie określenie, opierające się pozornie na czynniku ekologicznym, wywodziło się ze starej zasady: powietrze miejskie czyni człowieka wolnym. Nawet ci, którzy trudnili się wyłącznie rolnictwem i mieszkali w miastach prywatnych, znajdowali się w korzystniejszym położeniu ekonomicznym i prawnym od mieszkańców wsi.

Patrycjat niechętnie przyznawał się do wspólnoty z całym plebsem miejskim i dlatego wyrażano – najczęściej w oficjalnych wypowiedziach – drugie stanowisko, które zawężało pojęcie mieszczaństwa do tych ludzi, którzy uznawali prawa miejskie i byli godni, by je przyjąć. Taka formalna zasada została wprawdzie naruszona już w XVIII wieku i ostatecznie zniesiona w 1791 r., w praktyce jednak nawet w XIX wieku do uzyskania obywatelstwa miejskiego mogli pretendować kupcy i rzemieślnicy (majstrowie i czeladnicy) oraz inne osoby o ustalonych źródłach dochodu. Dlatego w dalszym ciągu poza nawias tak wąsko rozumianego mieszczaństwa usuwano nie tylko Żydów, ale także biedotę miejską (a przed zniesieniem poddaństwa też tzw. ludzi luźnych). Mieszczaństwo było więc stanem – czynnikiem prawnym (czy też prawnobyczajowym) dominował nad ekologicznym i gospodarczym w jego definiowaniu, podobnie jak na Zachodzie.

Jakkolwiek edykt napoleoński z 1807 r. formalnie zrównywał szanse życiowe całej ludności, to jeszcze długo korzyści związane z przebywaniem w mieście były wyraźne. Mieszkańcy wszystkich miast – i królewskich, i prywatnych – mieli prawo przenoszenia się i wyboru zawodu, własną administrację i większą od chłopów swobodę rozporządzania majątkiem. Początkowo prawo własności było jednym z głównych formalnych wyróżników miast królewskich

(skarbowych) i prywatnych. W postanowieniach z 1791 r. miasta prywatne nie zostały zaliczone do wolnych, to znaczy takich, których ludność miała dziedziczne prawo władania ziemią. Wolność w tym wypadku oznaczała pełną, niepodzielną własność, w przeciwieństwie do chłopskiego posiadania, nad którym ciążyła zwierzchnia własność pańska. Mieszkańcy miast prywatnych byli zobowiązani do odrobku, ale nie była to właściwa pańszczyzna, bowiem właściciele miast wymierzali ją w skali rocznej i zatrudniali mieszczan na ogół przy transporcie zboża, drewna lub innych towarów, a nie przy pracy na roli.

Zniesienie poddaństwa, rozwój stosunków kapitalistycznych i rozpad stanowej struktury społeczeństwa naruszyły dotychczasowe formalne zasady podziału ludności na miejską i wiejską. Prawo miejskie pozostało ważnym, ale nie decydującym kryterium tego podziału. Różnice między miastami dużymi i rozwijającymi się a miasteczkami stały się większe od różnic między miastem w sensie ogólnym a wsią. Władze wprowadziły kategorię mieszczan-rolników, co miało związek z przygotowaniem reformy włościańskiej. Jeszcze w XVIII wieku można było uprawiać rolę i być mieszczaninem, w pierwszej połowie XIX wieku uprawa ziemi zaczęła kolidować ze społeczną przynależnością do mieszczaństwa. Rolnicy nie mieścili się w kategoriach miejskich, a nie można ich było – o ile byli mieszkańcami miast – zaliczyć do chłopstwa. Pojawiła się nazwa „łyki”, którą chłopi obdarzali rolników z miast i w ogóle mieszkańców małych, agrarnych miasteczek.

W dwóch państwach zaborczych – w Prusach i Austrii – zgodnie z duchem absolutyzmu oświeconego i z tendencjami do centralizacji i wzmocnienia władzy przeprowadzano modernizację ustrojową. Objęła ona także stosunki miejskie. W Prusach Ordynacja dla miast

(*Stadteordnung*) z 1808 r. zniósła odrębności i przywileje poszczególnych miast, w tym podział na miasta królewskie i prywatne, ujednociając prawo miejskie; w 1831 r. została rozciągnięta na Wielkie Księstwo Poznańskie. Miasta uzyskały szerszy niż dotychczas samorząd, z wybieranymi przez samych mieszczan radami miejskimi, te zaś wybierały magistrat. Początkowo prawa wyborcze do rad miejskich przysługiwały tylko osiadłym chrześcijanom uprawiającym rzemiosło przynoszące odpowiedni dochód lub posiadającym nieruchomości. Znoszono też stopniowo przywileje prywatnych właścicieli miast.

W 1850 r. konstytucja pruska wprowadziła wybory powszechne do Landtagu z powszechnym czynnym prawem wyborczym mężczyzn. Od 1848 r. istniały także sądy przysięgłych i wybory ławników, co uznaje się za ważny element edukacji obywatelskiej. Za konstytucją przyszły nowe ordynacje miejskie; w 1853 r. zostało wydane jedno prawo dla całego państwa, łącznie z ziemiami polskimi zaboru pruskiego, w którym określono zasady funkcjonowania gmin miejskich i wiejskich. Za mieszkańców miasta uznano wszystkich w nim przebywających, z wyjątkiem wojskowych w czynnej służbie. Mężczyźni po ukończeniu 24. roku życia, którzy uiszcili podatki lub mieli nieruchomości w mieście, względnie systematycznie trudnili się rzemiosłem lub przemysłem, uzyskali prawa wyborcze. Biernego prawa wyborczego nie mieli urzędnicy państwowi, nadzorujący miasta, duchowni, nauczyciele ludowi, urzędnicy sądowi i policyjni. Wybory odbywały się w kuriach majątkowych, z których każda miała równą liczbę przedstawicieli, choć nierówną liczbę wyborców. W większych miastach powoływano także asesorów, którzy w przeciwieństwie do rajców nie mieli prawa głosu, ale prowadzili

poszczególne sprawy. Taki system był szkołą administracji – pepiniarą działaczy państwowych. Rzecz w tym, że w Wielkim Księstwie Poznańskim byli to na ogół Niemcy.

Galicja otrzymała nowe zasady ustroju miejskiego już za Józefa II (1741-1790). Polegały one m.in. na zrównaniu miast królewskich i prywatnych. Ten podział został zastąpiony podziałem na trzy klasy, przy czym do klasy I zaliczono Lwów (stolicę prowincji), klasę II stanowiły tzw. miasta cesarskie, obdarzone specjalnymi przywilejami przez monarchę, zaś pozostałe (klasa III) nazywano municypalnymi (miasta posiadające magistraty). Znaczna część dawnych miast straciła w ogóle prawa. Zasada wyróżnienia miasta z gminy wiejskiej opierała się albo na przywileju, nadanym przez władcę, albo na istnieniu samorządu. Do 1847 r. rozróżniano „obywateli” (*Burger*) oraz „mieszkańców” (*Bewohner*) miast, przy czym obywatelstwo było dziedziczne i dawało pewne przywileje w zakresie opłat miejskich i podatków. Szczególny ustrój – gwarantowaną przez mocarstwa autonomię – miał Kraków w latach 1815-1846, ale nawet tutaj mieszczaństwo nie było warstwą, która nadawała ton życiu miejskiemu.

Sytuacja polityczna sprawiła, że w latach sześćdziesiątych XIX wieku Galicja znalazła się w korzystniejszej sytuacji niż przedtem, a z punktu widzenia swobód obywatelskich – najkorzystniejszej spośród trzech zaborów. W 1866 r. wydana została ustawa gminna, a w 1867 r. uchwalono ustawy zasadnicze, zwane konstytucją grudniową, które mówiły m.in. o powszechnych prawach obywatelskich. Te akty prawne wprowadziły samorząd i dały Żydom pełne prawo uczestniczenia w nim, zniósł też ostatnie ograniczenia w zakresie nabywania nieruchomości czy

74 uprawiania zawodu. W Austrii i Galicji zapanowała zasada równości wszystkich obywateli w prawach i obowiązkach (formalnie sformułowana w konstytucjach 1848 i 1849 r.), wprowadzono też wolność stowarzyszeń, zgromadzeń, zbiorowych petycji, nauczania. Kolejne dwie regulacje nastąpiły w 1889 i 1896 r.; w ich wyniku na przełomie stuleci w zaborze austriackim poza trzema miastami wydzielonymi (Kraków, Lwów i Bielsk) było 30 większych miast, którym samorząd dała ustawa z 1889 r. oraz 131 mniejszych miast i miasteczek, których zasady administracyjne określiła ustawa z 1896 r. Najwięcej, bo 100, radnych wybierano we Lwowie, 60 w Krakowie. Obowiązywał cenzus wykształcenia lub majątku (mierzony wysokością płaconych podatków), obniżony znacznie w 1901 r. Ważne jest również to, że od 1873 r. Polacy mogli bezpośrednio uczestniczyć w wyborach do parlamentu austriackiego. Wybory, na podstawie cenzusu majątkowego, odbywały się w kuriach miejskich i wiejskich; do tych ostatnich zaliczono małe miasta. W 1896 r. cenzus znacznie obniżono, zaś powszechne, równe, bezpośrednie i tajne wybory zostały wprowadzone w 1907 r.

W Księstwie Warszawskim w 1809 r. ogłoszono dekret o miastach, ale był niedbale zredagowany i nie miał większego znaczenia. W Królestwie Polskim od lutego 1816 r. obowiązywał dekret o organizacji władz administracyjnych, w ślad za którym w 1818 r. zorganizowano władze municypalne. Odrębne postanowienie dotyczyło Warszawy. Regulacje te oparto na francuskich wzorach, niezwykle biurokratycznych. Urząd municypalny w 1842 r. został nazwany magistratem. W większych miastach na jego czele stał prezydent wraz z radnymi, w mniejszych – burmistrz z ławnikami. Wszyscy byli mianowani przez

rząd, trudno więc nazwać tę administrację samorządem. Liczba miast malała, ponieważ zgodnie z postanowieniem z października 1822 r. miejscowość, której nie stać było na utrzymanie kasy miejskiej i burmistrza, miała przechodzić na system administrowania taki sam jak w gminach wiejskich; wskutek tej zasady do 1849 r. zdegradowano 20 miast.

W Królestwie Polskim formalne różnice w położeniu ludności miast skarbowych i prywatnych zachowały się najdłużej. Tutaj, mimo edyktu z 1807 r., mieszkańcy miast prywatnych (to znaczy 53% wszystkich miast) ponosili na rzecz dziedzica ciężary i nawet jeśli grunt był zapisany na hipotekę użytkownika, trzeba było zań płacić dziedzicowi. Wspólne grunty miejskie (lasy, ogrody itp.) nie były obciążone, a dochody z nich szły na utrzymanie administracji miejskiej. Dziedzic pobierał natomiast opłaty od rynku, placów i ulic, podkreślając też, że grunt pod miejską zabudowę stanowi jego własność. Spadek dochodów z gospodarki zbożowej skłaniał szlachtę do szukania rekompensaty w podnoszeniu świadczeń i narzucaniu monopoli, chętnie też osiedlano Żydów, na których można było nałożyć nowe ciężary. Mimo to fakt posiadania własnej administracji miał duże znaczenie dla kształtowania się poczucia odrębności mieszczan z miast prywatnych Królestwa Polskiego od mieszkańców wsi. W 1839 r. stosunki dominialne zostały zniesione (jako „nastale w dawnych wiekach i nie odpowiadające współczesnym pojęciom i stosunkom”), ale regulacja trwała jeszcze dość długo i pewne resztki dawnych zależności przetrwały nawet do 1939 r., czyli przez sto lat. Warto dodać, że liczba miast prywatnych w Królestwie Polskim w XIX wieku nie tylko nie zmalała, ale wzrosła, i w 1866 r. stanowiły one 59% wszystkich miast.

Reformy Aleksandra Wielopolskiego w 1861 r.

zapowiadały dość znaczne zmiany. Miasta miały wreszcie otrzymać samorząd. Odbyły się wybory do rad i, mimo wąskiego zasięgu praw wyborczych, stanowiły one pierwszą ważną lekcję dla polskiego mieszczaństwa. Z drugiej strony wybory dostarczają historykom wiele interesującego materiału do zagadnienia struktury społecznej ludności; analizowane były zwłaszcza wyniki wyborów na Lubelszczyźnie, w Płocku i Warszawie. Zdecydowaną większość wybranych stanowili właściciele nieruchomości (także – ziemi), na drugim miejscu, ale w dużo mniejszej liczbie, znaleźli się kupcy. Cenzus wyborczy stawiał dość wysokie poprzeczki: głosować mogli mężczyźni po 25. roku życia, umiejący czytać i pisać po polsku, właściciele nieruchomości lub płatnicy stałych podatków określonej wysokości. Bierne prawo wyborcze uzyskiwali mężczyźni po ukończeniu 30 roku życia i zamożniejsi. W całym Królestwie doliczono się 25 300 wyborców i 7300 mężczyzn, których można było wybrać; frekwencja wyborcza wyniosła 45%.

76

Reformy Wielopolskiego spaliły na panewce na skutek powstania styczniowego i wywołanych nim represji; już w lipcu 1863 r. funkcje rad przekazano magistratom, zorganizowanym w sposób odgórny i całkowicie zależnym od rosyjskiej administracji państwowej. Magistraty podlegały gubernatorom, zaś magistrat Warszawy – ministrowi spraw wewnętrznych oraz warszawskiemu generał-gubernatorowi. Trzeba dodać, że władza tego ostatniego była największa, bowiem w Królestwie Polskim stale obowiązywał stan wyjątkowy. Dopiero w 1915 r., w czasie wojny, w 107 miastach Królestwa Polskiego (bez wcielonej do Rosji Chełmszczyzny) wprowadzono samorząd.

Po powstaniu styczniowym, w latach 1869-1870, na mocy ukazu z lipca 1869 r. 338 miejscowości

Królestwa Polskiego (75% ogólnej liczby miast) straciło prawa miejskie, ponieważ albo aż połowa właścicieli nieruchomości trudniła się rolnictwem, albo miejscowości te wykazywały się bardzo niskimi dochodami. Argument stanowiło to, że wprowadzono wolność handlu i rzemiosł, które przedtem były swobodne tylko w miastach, a skoro tak, to formalny status prawny miasta nie był już potrzebny małym miejscowościom. To jedno posunięcie administracyjne, które – jak utrzymują najczęściej historycy – podyktowane było głównie motywami politycznymi (jako represja za powstanie), spowodowało zmniejszenie się liczby miast do 114, a ludności miejskiej z 1 mln 400 tys. do 900 tys. Mam wątpliwości, czy rzeczywiście głównym celem tego przedsięwzięcia była represja; w tym wypadku jednak istotniejsze jest to, że jakkolwiek formalnoprawny status miejscowości nie może być przeceniany, tō przecież zamianę miast na osady odczuwano jako degradację. Ilekroć władze

czyniły zamach na prawa miejskie jakiejś osady, jej mieszkańcy rozpaczliwie walczyli o ich zachowanie; czasem nawet dochodziło do otwartych buntów i samowolnego wyboru rady miejskiej.

77

Na Kresach Wschodnich, czyli terenach należących przed rozbiarami do Rzeczypospolitej i – w wyniku rozbiorów – bezpośrednio wcielonych do Cesarstwa Rosyjskiego (zwano je w Rosji Guberniami Zachodnimi), pozostawiono pewną odrębność w porównaniu z obszarami rdzennie rosyjskimi. W przypadku miast specyfika ta polegała na wydzieleniu kategorii miasteczek (miasteczka, w odróżnieniu od miast – *gorodow*), które miały samorząd, jakkolwiek w praktyce prawie nie funkcjonujący. W 1870 r. samorząd miast rosyjskich oparto na pozornie liberalnych zasadach i w 1875 r. rozciągnięto postanowienia o nim na Gubernie

Zachodnie, ale tak jak w całej Rosji mieszczenie broniło się, jak mogło, przed uczestnictwem w nim, ponosili bowiem odpowiedzialność, nie mając praktycznie swobody decyzji. W 1899 r. wprowadzone zostały skomplikowane przepisy, w myśl których te miejscowości, w których było ponad 50 „dworów mieszczańskich” (trudno powiedzieć, co pod tym rozumieli autorzy ustawy), mogły mieć zarząd, w skład którego wchodziłi wybierani deputowani. Jeśli „dworów” było mniej niż 10, miejscowość należała do gminy wiejskiej, zaś te pośrednie miejscowości, liczące od 10 do 50 „dworów”, były miasteczkami („samodzielnymi gromadami mieszczańskimi”).

Zaklasyfikowanie ludności do kategorii mieszczaństwa jest tym trudniejsze, że w Królestwie Polskim aż do uwłaszczenia w 1864 r. odmienną sytuację prawną miały jurydyki. Na ich terenie nie miały mocy prawa i swobody miejskie, nawet jeśli ludność żyła wyłącznie lub prawie wyłącznie z przemysłu i handlu, co zdarzało się w niektórych rejonach. Tak więc z jednej strony mamy do czynienia z rolnikami, którzy formalnie byli mieszczanami, z drugiej – z rzemieślnikami, drobnymi przedsiębiorcami, ludnością handlującą, którą traktowano tak jak chłopów. Dziedzice realizowali swe uprawnienia do świadczeń w formie opłat, co mieszkańcy jurydyk odczuwali jako uciążliwe i niesprawiedliwe. Początkowo wykorzystywali oni rozmaite okazje, by zaznaczyć, że nie są chłopami, gdy jednak doszło do uwłaszczenia, dowodzili, że rozciągało się na nich prawo dominialne, a w związku z tym dzierżawione przez nich grunty powinny podlegać uwłaszczeniu.

W Królestwie Polskim w 1817 r. toczyła się dyskusja na temat przyznania ludności prawa obywatelstwa miejskiego i opłat za nie (zniesione w 1791 r.; po trzecim

rozbiórze Austria i Prusy przywróciły opłaty). W argumentacji za utrzymaniem starego porządku powoływano się na potrzeby bezpieczeństwa i problem korzystania ze wspólnych użytków. Dyskusje ciągnęły się do lat czterdziestych XIX wieku, ale bez wyraźnych konsekwencji. Obywatelstwo miejskie zaczęło tracić znaczenie i coraz mniej osób ubiegało się o wpisanie ich do ksiąg obywatelskich. Takie wpisanie było połączone z ceremonią składania władzom miejskim (i monarsze) przysięgi. Otrzymanie certyfikatu nie dawało już żadnych wymiernych korzyści i prerogatyw, ale mimo anachronicznego charakteru instytucja obywatelstwa formalnie przetrwała do I wojny światowej.

W Królestwie Polskim i na ziemiach bezpośrednio włączonych do Rosji nie istniały (od powstania listopadowego) żadne formy konstytucyjne, bo choć reformy Aleksandra II w latach 1861-1864 miały charakter ustaw zasadniczych, to pozostały ograniczone i nie w pełni wprowadzono je w życie. Nie było ani równości wobec prawa, ani przedstawicielstwa we władzach. Nie istniało nawet pojęcie „obywatel”. W języku polskim „obywatel” był terminem stosowanym dla określenia ziemianina („obywatel ziemski”), zaś rosyjski *graždanin* był tytułem, nadawanym w drodze przywileju carskiego wybranym jednostkom za zasługi lub dzięki posiadanemu majątkowi. Oficjalną nazwą przynależności państwowej nie było „obywatelstwo”, tylko „poddaństwo”. Do tzw. stanu mieszczańskiego zaliczana była ludność świecka, nie mająca tytułów i odpowiednich rang, płacąca podatki (nie zaliczali się do niej chłopię). W rezultacie aż do I wojny światowej większość mieszkańców miast była formalnie zaliczona do stanu chłopskiego. Minister spraw wewnętrznych

uważał wszystkie miasta Imperium za większe wioski, a do ludności miał stosunek taki jak do poddanego chłopstwa. Dla ministra finansów miasta były czymś odrębnym, a to dlatego, że stanowiły oddzielne źródło dochodów skarbowych. Ograniczenie wolności stowarzyszeń i zgromadzeń sprawiło, że nie było ani związków zawodowych, ani nawet izb adwokackich. Stosunkowo największą samorządność mieli Żydzi, a to dzięki kahałom i dozoram bożniczym oraz na skutek hermetyczności środowiska wyznaniowo-językowego. Wszelkie niezależne, nie kontrolowane przez policję działania było spychane poza margines legalności. O ile w zaborze pruskim i austriackim Polacy mogli – mimo wszystkich utrudnień – czuć się obywatelami, to w zaborze rosyjskim byli tylko „poddanymi”.

U schyłku Rzeczypospolitej, mimo okazałej liczby 1,5 tys. miast, zaledwie 8-10% zasługiwało naprawdę na to miano. Tylko w takich ośrodkach jak Kraków, Poznań, Warszawa, Toruń i Lublin widoczny był patrycjat, będący w stanie spełniać aktywniejszą rolę ekonomiczną lub polityczną, i to przeważnie na skalę lokalną. W latach 1764-1795 wyróżniała się Warszawa: jej patrycjat oblicza się na 180-200 osób, w tym około 50 bardzo zamożnych kupców – bankierów. Poziom życia pospólstwa nie odbiegał daleko od poziomu życia plebsu. „Korporację odrębną, zażywającą estymy ogólnej”, tworzyła garstka rodzin kupieckich, przeważnie cudzoziemskiego pochodzenia, choć asymilowanych (w Warszawie – Fukierów, Lentzów, Rafałowiczów, Paschalisów, Muradowiczów). Trzeba również pamiętać o tym, że w XVIII wieku nie było „mieszczaństwa polskiego”, tylko mieszczaństwo poszczególnych miast, ze swymi partykularnymi interesami. Więzi stanowe w skali kraju były nikłe. Trudno mówić o „świadomości mieszczańskiej” – były

„świadomości mieszczańskie”, zaś „pewna jedność stanowa zrealizowała się na krótko i ułomnie w latach 1789-1792”¹.

Kiedy między pierwszym a drugim rozbiorem nastąpiło ożywienie gospodarcze, wyrażające się we wzroście obrotów handlowych, w handlu na skalę hurtową uczestniczyła głównie szlachta, jako jedyny niemal dostawca zboża i innych płodów rolnych, a zarazem odbiorca towarów sprowadzanych z zagranicy. Typowym pośrednikiem między obcymi firmami handlowymi i szlachtą był Piotr Tepper starszy, który w Warszawie prowadził wielki magazyn różnorodnych importowanych towarów. Zajmował się on handlem tranzytowym, udzielał kredytu kupcom, magnaterii i skarbowi państwa, a także osobiście królowi, lokował pieniądze w fabryce płóciennej w Łowiczu, w Kompanii Manufaktur Wełnianych, w kompanii do szukania i warzenia soli w królewskich dobrach stołowych, dzierżawił loterię krajową i monopol tabacznym. Tak samo rozległe interesy absorbowały innych kupców i bankierów tego czasu – Fryderyka Kabryta, Macieja Łyszkiewicza, Jana Dawida Heyzlera czy Beniamina Fincke. Wielkich fortun było jednak mało, a najbogatsi też czuli się niepewnie, choć służyli królowi i arystokracji (Tepper świadczył usługi nawet Katarzynie II).

Po okresie ożywienia nastąpił ponowny regres handlu, rzemiosł i manufaktur miejskich. W 1793 r. nastąpił krach domów handlowo-bankowych w Warszawie, który na długo negatywnie zaciążył na opinii o kupcach i bankierach. Wrogość do nich wybuchła ze sporą siłą, a katastrofa – w dość

¹ T. Łepkowski, *Polska – narodziny nowoczesnego narodu 1764 - 1870*, Warszawa 1967, s. 25.

powszechnym mniemaniu – miała być prostą konsekwencją próżności, lekkomyślności i rozrzutności. Opinie te powtórzyli w swych pracach historycy Tadeusz Korzon i Władysław Smoleński. Trudno przecież dopatrywać się w tym odwołania do surowych standardów moralnych protestanckiego mieszczaństwa Niderlandów, Anglii czy Ameryki Północnej; luksusowy tryb życia bogatszej szlachty nie był traktowany jako naganny. Istotnymi przyczynami katastrofy było zamrażanie kapitału w nieruchomościach (nie miały one jeszcze takiej wartości, jak sto lat później) oraz w pożyczkach udzielonych niewypłacalnemu Stanisławowi Augustowi i magnatom (dziś nazywa się to *bad debts*). Przede wszystkim jednak na interesach zaciążyła koniunktura polityczna – drugi rozbiór Rzeczypospolitej, powstania i rozruchy, a potem trzeci rozbiór spowodowały rozerwanie więzi handlowych, trudności w ściąganiu wierzytelności, zahamowanie handlu i podważenie zaufania zagranicznych wierzycieli oraz kupców.

82

Pod koniec ery stanisławowskiej wśród patrycjatu miejskiego panowało rozgoryczenie, mówiono nawet o „obelżywości praw”. Istotne jest to, że – jak twierdzi Krystyna Zienkowska – zgłaszane w 1791 r. na sejmikach i w czasie miejskich wyborów postulaty mieszczańskie nie naruszały przywilejów i praw szlacheckich, nie odwoływały się do żadnych nowych wartości, ale do tradycji². Mimo to wśród szlachty panował niepokój, że mieszczenie zbyt wiele żądają; klapą bezpieczeństwa były więc liczne w tym czasie nobilitacje. Czując się niepewnie, mieszczenie usilnie o nie zabiegali, ale w XIX wieku w polityce nobilitacyjnej obserwuje się raczej brak preferencji dla kapitalistów:

² K. Zienkowska, *Sławetni i urodzeni*, Warszawa 1976, s. 68, 265-267.

wśród 52 osób, które w latach 1815-1836 w Królestwie Polskim otrzymały szlachectwo, nie było ani jednego przemysłowca, kupca lub bankiera. Kilkakrotnie i na próżno o klejnot zabiegali Wilhelm Zachert, Jakub Epstein i inni kapitaliści. Dopiero po 1836 r. wśród osób obdarzonych przez Mikołaja I szlachectwem znaleźli się czterej przedstawiciele tej klasy (Salwian Jakubowski, Antoni Edward Fraenkel, Aleksander Laski i Maurycy Koniar)³. Samopoczucie bankierów miał podnosić wielkopański styl życia, jak na przykład Fryderyka Kabryta, znanego ze snobizmu, lub mecenat nad sztuką, ale takiej rozrzutności przypisywano późniejszy krach finansowy. Szlachta korzystała wprawdzie z pieniędzy bankierów i spotykała się z nimi na gruncie interesów lub przy okazjach oficjalnych, jednak manifestowała swą niechęć do tej grupy w rozmaity sposób. Szczególnie drastycznym przypadkiem było wystawienie w 1781 r. w Warszawie sztuki Doncourta *Mieszczki modne*, która okazała się paszkwilem na warstwy średnie.

W Księstwie Warszawskim bogacili się głównie dostawcy wojskowi, ale fortuny nie były tak wielkie jak bankierów w XVIII wieku i okazywały się też na ogół nietrwałe. Przyczynkiem do sytuacji mieszczaństwa w Księstwie Warszawskim jest historia Gwardii Narodowej: tak na przykład w powiecie zgierskim nie można było zwerbować do niej kilkudziesięciu osób na skutek ubóstwa mieszczan (mieli oni obowiązek umundurowania się na własny koszt). Po 1815 r. następowało stopniowe ożywienie gospodarcze, jednak nie zawsze oznaczało ono poprawę sytuacji tych grup ludności, które można zaliczyć do mieszczan. Trudno też wyciągać jakieś wnioski ze wzrostu liczby

³ J. Jedlicki, *Klejnot i bariery społeczne*, Warszawa 1968, s. 90 i n.

mieszkańców, bowiem statystyka była w powijakach. Na przykład w Królestwie Polskim do mieszkańców miast zaliczano tylko tych, których po urodzeniu zapisano do ksiąg ludności; potem nie korygowano danych. Są więc miasta, których liczba mieszkańców jest wyolbrzymiona, bo wielu wyjechało, w niektórych zaś – choćby w Warszawie – jest zaniżona, gdyż nie uwzględniano nowej ludności osiadłej. W rezultacie złej rejestracji co pewien czas mamy skoki ilościowe w statystyce, czego nie można traktować serio; na przykład do początku lat sześćdziesiątych XIX wieku Żydzi nie byli zaliczani do mieszczan, więc gdy ich uwzględniono, powstało wrażenie, jakby nagle zaczęli gwałtownie imigrować i rozmnażać się. W okresie międzypowstaniowym liczba mieszkańców miast nie wzrosła faktycznie więcej niż o 20%. W tym mniej więcej czasie w Europie najsilniej wzrosła liczba ludności miejskiej w Anglii (55%), najmniej – w krajach bałkańskich (około 10%).

84

Do większych miast już od XVIII wieku nieustannie napływała szlachta, która ani ze względu na sposób zarobkowania, ani tryb życia i uprawnienia nie może być kwalifikowana jako mieszczaństwo, nawet jeśli straciła własność ziemską i osiedliła się w mieście na stałe. W 1825 r. szlachta stanowiła około 12% stałych mieszkańców Warszawy, w 1862 r. – 10% mieszkańców Lublina itd. Nawet największe miasto przemysłowe ziem polskich, jakim stawała się Łódź, nie miało żadnych miejskich tradycji. Przedsiębiorcy i obsługujący łódzką społeczność przedstawiciele rozmaitych zawodów byli ludźmi w większości nowymi, przybyłymi przeważnie z zagranicy. Trzymali się oni w swych kręgach narodowościowo-wyznaniowych, z których najbardziej zwarty był krąg ewangelicki, przybyszów z różnych prowincji pruskich, między

innymi dość licznie – z Sudetów. We wszystkich miastach trzech zaborów następował liczebny wzrost nowych warstw społecznych, rekrutujących się ze wsi: robotników, wyrobników (niewykwalifikowanych robotników dniówkowych), służby domowej itp.

Wspomniano tu o wyłączeniu Żydów z kategorii stanowej „mieszczaństwa”. W Królestwie Polskim blisko połowa mieszkańców wszystkich miast nie miała więc odpowiednich uprawnień i nie była zintegrowana z tą drugą połową ludności. Podnosiły się pojedyncze głosy za uznaniem starozakonnych za takich samych obywateli jak chrześcijanie, ale pozostawały bez echa. Nie powiodły się próby wprowadzenia Żydów do Urzędu Starszych zgromadzenia kupieckiego lub do Gwardii Narodowej w czasie powstania listopadowego. Sprawa wyglądu zewnętrznego – kroju ubrania i noszenia brody – urastała do roli symbolu, świadcząc o głęboko zakorzenionym konflikcie i niechęci. Przedstawiciele elity żydowskiej zapytywali o związek między goleniem brody a walecznością i życzliwością dla kraju, na co nie mogli otrzymać odpowiedzi. „Żydzi powinni byli pierwiej okazać się Polakami, nimby się stali obywatelami” – powiedział Kajetan Koźmian, a był on niewątpliwie wyrazicielem poglądów znacznej części elity społecznej. Rzecz w tym, że kiedy Żydzi chcieli udowodnić swoje przywiązanie do kraju, nie pozwalano im na to, bo byli... Żydami. Kiedy w sytuacji ogólnego fermentu w 1861 r. udało się zaprowadzić jeden wspólny spis kupców, niezależnie od wyznania, to przełomowe znaczenie tego faktu w podniosłej mowie podkreślał Ksawery Szlenkier: „W tej tak ważnej chwili, od kiedy dla kupiectwa naszego miasta nowa, że się tak wyrażę, epoka liczyć się może [...]”. Asymilacja następowała tylko w wąskiej warstwie elity majątkowej

i kulturalnej, a i tak przeważnie jej warunkiem było wyrzeczenie się przez Żydów religii i tradycji.

Jeśli dla miast Królestwa Polskiego przeprowadzić dość żmudny rachunek, to okaże się, że przed 1830 r. wśród wszystkich mieszkańców, których było około 960 tys. (w tym 27 tys. tzw. ludności niestajej), było 378 tys. Żydów, 56 tys. szlachty i rolników oraz 97 tys. ludności sproletaryzowanej, razem więc 531 tys. Oznacza to, że tylko około 430 tys. osób odpowiada – mniej lub bardziej – pojęciu mieszczaństwa. Stanowiło to 10% ludności kraju i 46% ludności zamieszkałej w miastach. Podobne wyniki – 10% i 47% – otrzymujemy, gdy przeprowadzamy taki szacunek na podstawie danych z 1855 r. Poza tym w porównaniu ze szlachtą mieszczaństwo było ubogie. Jeśli przyjąć, że po 1830 r. jako bogaczy można traktować podatników I klasy, czyli osoby o dochodach rocznych przekraczających 50 tys. złp., to w Warszawie było ich 33. W Kielcach był tylko jeden podatnik I klasy, poza tym dziewięciu miało dochody wyższe od 7 tys. złp., inni nie mieli nawet tego. Szacunki majątku też dają podobny obraz: w Radomiu w 1838 r. górna granica majątku kupieckiego wynosiła 100 tys. złp., a roczny obrót – 30 tys. złp., czyli roczny dochód nie mógł przekroczyć 15 tys. Majątek o wartości od 20 tys. do 100 tys. złp. miało tylko 20 kupców radomskich. Oblicza się, że w 1843 r. w Warszawie tylko około 18% trudniących się handlem Żydów można nazwać zamożnymi, 21% – średnio zamożnymi, a 61% stanowili drobni kupcy, kramarze, plenipotenci, faktorzy itp., wszyscy bardzo ubodzy.

Tak więc mimo procesu uprzemysłowienia, jaki już się zaczął i obejmował głównie Królestwo Polskie, burżuazja pozostawała słaba i nie odgrywała żadnej politycznej czy kulturalnej roli. Wprawdzie Ryszard Kołodziejczyk w swych pracach podkreśla jej

umacnianie się w okresie międzypowstaniowym, twierdząc, że dążyła do przewodnictwa w polityce i do kształtowania opinii publicznej, jednak te dążenia były chyba bardzo powierzchowne i nie zostały uwieńczone powodzeniem. Przytacza się również przykłady asymilacji cudzoziemców, rzecz jednak w tym, że najwyraźniej obejmują one tych, którym imponuje magia szlachectwa, którzy chcą zdobyć tytuł i wchodzić raczej do kręgów inteligenckich niż przemysłowych. Znamienne jest również to, że wśród burmistrzów z lat 1815-1869 (zbadano wprawdzie tylko jeden okręg – Lubelszczyznę) zaledwie 19% było pochodzenia miejskiego, w tym część stanowiła tzw. szlachta osobista (tytuł nie był w tym wypadku dziedziczny). O ile na Zachodzie, zwłaszcza w krajach niemieckich, wzrastały zamożność i prestiż urzędników, zwłaszcza burmistrzów, to na ziemiach polskich taki proces nie nastąpił na skutek uzależnienia ich od władz zaborczych i niskich kwalifikacji.

87

Znaczenie i pozycję mieszczaństwa osłabiały jeszcze dodatkowe okoliczności. Od końca XVIII wieku w osadach i miastach fabrycznych, a także takich jak Kraków i Poznań, osiedlała się ludność napływowa, zachęcana przez właścicieli ziemskich poszukujących nowych źródeł dochodów, jak i (po kongresie wiedeńskim) przez administrację państwową. Dzięki obcym osadnikom rozwinęły się Ozorków Starzyńskiego, Aleksandrów Bratoszewskiego, Konstantinów Okołowicza, Zduńska Wola Złotnickiego, Bełchatów Kaczkowskiego, Poddębice Zakrzewskiego, Tomaszów Ostrowskiego. W tych miastach od 10% do 50% całej ludności stanowili koloniści mówiący po niemiecku, separujący się wyraźnie od pozostałej ludności. W historiografii można często spotkać tezę, że na skutek dużej

atrakcyjności kultury polskiej następował szybki proces asymilacji Niemców – za dowód służy najczęściej Samuel Bogumił Linde. Taka asymilacja zachodziła jednak w wąskich kręgach, które stanowiły załążek inteligencji, a bodźcem była szansa uzyskania szlachectwa, co miało duży urok. Większość Niemców – chłopi-koloniści, rzemieślnicy, drobni i średni przemysłowcy – zachowywała odrębność i dystans towarzyski, mówiła w domu po niemiecku, nadawała dzieciom imiona w brzmieniu niemieckim, zawierała związki małżeńskie tylko między sobą. W czasie powstania listopadowego Niemcy manifestowali lojalność wobec caratu. Do 1848 r. można zaobserwować współdziałanie i solidarność Polaków i Niemców w Wielkopolsce, ale takie stosunki okazały się nietrwałe, a hasło „za naszą i waszą wolność” – utopijne.

Podziały narodowościowe i religijne, zawodowe i społeczne nie nakładały się dokładnie na siebie, mimo to występowały pewne zależności: właścicielami większych zakładów przemysłowych byli Niemcy lub Polacy-ziemianie, rzemieślnikami – chrześcijanie (na ogół katolicy, ale występowały skupiska imigrantów – protestantów), Żydzi trudnili się głównie handlem (dopiero w drugiej połowie XIX wieku zaczęli także uprawiać rzemiosło, zwłaszcza krawiectwo), niższymi urzędnikami byli katolicy, wyższymi – Niemcy (w zaborze pruskim) lub Rosjanie (w zaborze rosyjskim), tylko wolne zawody i inne profesje „inteligenckie” uprawiała ludność rozmaitego pochodzenia i wyznania. W konserwatywnej opinii szlacheckiej nie istniał „polski stan trzeci” – ale było nań zapotrzebowanie. Nie należy lekceważyć tego spostrzeżenia: w pierwszej połowie XIX wieku trudno znaleźć mieszczan, którzy odgrywaliby taką rolę jak zachodni stan trzeci. Osoby, które nie mogły wykazać

się szlacheckim pochodzeniem, w praktyce nie pełniły żadnych funkcji politycznych ani w Księstwie Warszawskim, ani w Królestwie Kongresowym. Poważną przeszkodą były uprzedzenia religijne i etniczne, przy słabości mieszczaństwa polskiego. W dodatku to ostatnie rozpadało się – bardzo nieliczni dochodzili do pozycji, którą można nazwać burżuazyjną lub zasilali zdominowaną przez ludzi szlacheckiego pochodzenia inteligencję, większość pauperyzowała się. Największą część dawnego „stanu mieszczańskiego” można odnaleźć w warstwie nazywanej coraz częściej drobnomieszczaństwem.

Podjęmowane przez myślicieli i mężów stanu polskiego oświecenia próby wzmocnienia stanu mieszczańskiego harmonizowały jeszcze z sytuacją ekonomiczno-społeczną, jaka panowała w XVIII wieku, ale te same próby w okresie międzypowstaniowym świadczyły o niezrozumieniu epoki i przemian, jakie się dokonywały. W postępowej publicystyce polskie mieszczaństwo przyrównywano do francuskiego stanu trzeciego doby rewolucji, chciano więc, by stało się równie silnie i by odegrało podobną rolę. Tymczasem na ziemiach polskich nie było ani rozwiniętej, nieszlacheckiej warstwy urzędniczej, jaka tworzyła się w monarchiach absolutystycznych, w których dużą rolę odgrywał profesjonalny aparat biurokratyczny, nie dość też były rozwinięte wolne zawody, nie mówiąc o nikłej pozarolniczej działalności gospodarczej. Czarna procesja w 1789 r. i działalność Jana Kilińskiego obudziły nadzieje, że polskie mieszczaństwo pomoże w zwalczeniu bolączek narodowych, i spowodowały, że je idealizowano. Tymczasem mieszczaństwo takie, jakim jeszcze było w dobie Sejmu Czteroletniego, rozpadało się na zdeintegrowane grupy.

90 Niektórzy publicyści zauważali ten proces. W opiniach szlacheckich w pierwszej połowie XIX wieku występuje już rozróżnienie „starego” i „nowego” mieszczaństwa, albo „mieszczaństwa” i „kapitalistów pieniądza”. Bogatsze, zasiedziałe rodziny z pogardą patrzyły na nuworyszy. Szlachta dopuszczała możliwość współpracy tylko ze „starym” mieszczaństwem, i to przy założeniu, że to ona będzie duchowym i politycznym przewodnikiem. W „Dzienniku Powszechnym Krajowym” z 1831 r. pisano, że „wydatniej w kraju wyróżniają się klasy”: szlachta majątna, szlachta jednowioskowa, szlachta zagrodowa, kupcy i rękodzielnicy, urzędnicy, wojskowi, rzemieślnicy i mali mieszczanie – mieszkańcy miasteczek oraz chłopci. Rozróżnienie rękodzielników i rzemieślników nie jest jasne, ale sądząc z kolejności wyliczania (nie ma wątpliwości, że jest to układ hierarchiczny), w pierwszym przypadku może chodzić o właścicieli warsztatów, w drugim – o czeladź i robotników. Rzemieślnicy i „małomieszczanie” znaleźli się na końcu listy, tylko przed chłopami. W innym miejscu wymienia się niechętnie kupców i przemysłowców, zaś z szacunkiem – rękodzielników i rzemieślników, przy czym pod adresem rządu szły słowa krytyki, że ich nie tylko nie popiera, ale nawet utrudnia życie; z tego można wnosić, że polityka zachęcania specjalistów i kapitalistów obcych do osiedlania się w Królestwie Polskim nie była akceptowana.

„Nowe” mieszczaństwo było na ogół obce, składali się bowiem na nie w większości Niemcy i Żydzi. Wprawdzie i wśród „starego” mieszczaństwa sporo było rodzin pochodzenia cudzoziemskiego, te jednak miały za sobą długie tradycje rodowe, były w Polsce zasiedziałe i w znacznym stopniu spolonizowane. Literackim symbolem „plutokracji” był najczęściej

bankier-Żyd, przy czym kredyt utożsamiano najczęściej z lichwą. Był to zawsze, jak w powieściach Grudzińskiego czy Boguckiego, człowiek mało kulturalny, ale wyniosły i butny, bezlitosny w żądzy bogactwa, gardzący obywatelskimi cnotami szlachty, ale czujący pociąg do arystokracji, otaczający się przesadnym zbytkiem – świadectwem złego gustu. Nie jest to zresztą specyfika polska – podobny stosunek do warstwy kapitalistycznej można obserwować w literaturze innych krajów, choć może nikły talent polskich powieściopisarzy prowadził do dużego uproszczenia i wyjaskrawienia dystansów społecznych, które na przykład w powieściach Balzaka przedstawione są z wszelkimi niuansami i paradoksami.

Negatywnym opiniom szlachty wtórowali przedstawiciele „starego” mieszczaństwa, którzy usiłowali zahamować to, co dziś nazwalibyśmy rozszerzaniem się stosunków kapitalistycznych lub jeszcze ogólniej - modernizacją. Z założonego w 1820 r. Stowarzyszenia Kupców i Obywateli warszawskich (późniejszej Resursy) usiłowali oni uczynić ekskluzywny klub towarzyski, otwarty dla arystokracji, ale zamknięty dla finansistów żydowskich. Wśród 160 osób dopuszczonych do „wspólnej godziwej rozrywki i towarzyskich zebrań na tle muzykalnych produkcji oraz rozmów zawodowych i potocznych” mogli się znaleźć ci, którzy mieli „kwalifikacje obywatelskie i moralne”, byli „panami własnej woli” (to znaczy – materialnie niezależni), a nadto byli świątliwi i obyczajni. W 1830 r. w Resursie znaleźli się kupcy, przemysłowcy, prawnicy, lekarze i arystokraci, jak Adam Czartoryski czy Michał Radziwiłł. W statucie założonej w 1867 r. Resursy Miejskiej w Częstochowie powiada się, że członkami mogą być nie tylko [sic] wojskowi i urzędnicy, lecz również osoby „z innych stanów”, które „miały prawo znajdowania

się w towarzystwie stosownie do położenia lub wychowania". Z góry więc zakładano mało demokratyczny i mało mieszczański skład Resursy.

Do resursy w Krakowie nie miały dostępu „warstwy średnie” (takiego sformułowania użyto). Organizowane z pobudek filantropijnych lub towarzyskich koncerty i przedstawienia amatorskie nie stwarzały okazji do przelamywania barier, przeciwnie – do ostrych konfliktów między „paniami z towarzystwa” a „paniami z burżuazji”. Jak donosił „Czas”, tylko jeden raz w 1850 r. udał się wspólny ziemiańsko-mieszczański bal, po czym znów nastąpił wzajemny bojkot towarzyski. Dopiero w końcu XIX wieku, na skutek rozwoju instytucji autonomicznych, następował powolny i stopniowy proces łagodzenia animozji i zacierania granic stanowych. Chyba nigdzie indziej nie doszło do tak dużego napięcia między szlachtą a mieszczaństwem jak w Krakowie, kiedy w latach 1827-1828 na wniosek szlachty zostały unieważnione wybory do Senatu.

92

Tak jak wynoszone przez apologetów cnoty mieszczańskie były oczywiście fikcją, a raczej – postulatem, tak niewiele wspólnego z rzeczywistością miał czarny obraz „plutokracji”. Kupcy chrześcijańscy starego pokroju toczyli walkę o swe zagrożone pozycje w sposób tak samo dwuznaczny moralnie jak lichwa lub spekulacja na zwyżce cen. To nie Żydzi dzierżawiący od szlachty karczmy ani rządy zaborcze, tylko polskie ziemiaństwo rozpijało chłopów, zmuszając ich lub zachęcając do kupowania produkowanej w majątkach wódki. Ci sami, którzy walczyli z „monopolistami”, swe dotychczasowe dochody opierali na wielu przywilejach stwarzających warunki działalności monopolistycznej, jak prawo wyłączności handlu określonymi artykułami na jakimś terytorium,

zakaz osiedlania się ludności żydowskiej, przywileje podatkowe. Gdy te warunki uległy pogorszeniu, kupcy uderzali na alarm, zawiedzeni „w swej ufności w opiekę rządową”.

W 1820 r. kupcy warszawscy wystosowali memoriał do Rady Obywatelskiej województwa mazowieckiego, w którym wyrażali zdanie, że „spieniężenie towarów krajowych i najtańsze w towary zagraniczne opatrzenie się” dałoby wiele pożytku dla kraju, ale „dzieło to własnym rodakom powierzone być winno. To sama natura rzeczy wskazuje. Oni bowiem, zrodzeni i osiadli na własnej ziemi, przywiązani do niej familią, nie mogli pomyśleć nawet o żadnej, by najmniejszej nawet korzyści, która by korzyścią ogółu nie była”. Tymczasem handel znalazł się w rękach kupców elbląskich, gdańskich, czy wrocławskich przybywających na warszawskie jarmarki, a przede wszystkim – w rękach „nie znających zasad” Żydów. Chcąc nadać handlowi „ruch pożądany” (można to czytać: przechwycić w swoje ręce), kupcy warszawscy borykali się z przeciwnościami losu i nie wahali się nawet „narazić na straty i ofiary”. Dalecy od zrozumienia filozofii egoizmu Adama Smitha, żądali takich cel, które miały być korzystne tylko dla nich, choć musiały wpłynąć na ograniczenie działalności i dochodów nie tylko cudzoziemców, ale także kupców polskich z innych miast. Wielokrotnie też domagali się wydania takich zarządzeń, które zapobiegałyby „włóczeniu się Żydów z towarami po ulicach i domach”. Partykularyzm interesów mieszczańskich był ciągle silny; nie ma żadnych uchwytnych dowodów wytwarzania się solidarności grupowej.

W XIX wieku, podobnie jak w poprzednim stuleciu, interesy mieszczaństwa poszczególnych miast, choć na ogół nie rozbieżne, nie były jednak wspólne; brak było

94

solidarności i więzi klasowej. Przekazy źródłowe na ten temat są bardzo skąpe, ale nasuwają wrażenie, że w przeciętnej opinii mieszczańskiej dobre warunki rozwoju rzemiosła i handlu w jednym mieście, jak również dobry stan tego miasta w mniejszym stopniu zależały od ogólnej koniunktury ekonomicznej i polityki państwowej niż od polityki władz lokalnych oraz stopnia „rozpanoszenia się” ludności żydowskiej. Antysemityzm był chyba jedynym hasłem wspólnym dla całego mieszczaństwa. Szansa awansu społecznego nie była duża, nawet wybitne jednostki miały z tym kłopoty. Najbogatsi uczestniczyli w akcjach charytatywnych i starali się wejść do elity poprzez zasługi na polu kultury lub oświaty, a także zabiegali usilnie o tytuły szlacheckie. Pewna część „starego mieszczaństwa” przeniknęła do środowisk naukowych i artystycznych, które zyskiwały coraz większą przychylność utytułowanego ziemiaństwa. Ale widać pewną fluktuację nastrojów: po powstaniu listopadowym, po 1848 r. w Galicji i Wielkopolsce, a potem po 1863 r. inteligencja zbliżała się raczej do szlachty, mieszczańom zaś – zwłaszcza rzemieślnikom – pozostawało środowisko niższych urzędników i nauczycieli. Większość informacji wskazuje na dość małą ruchliwość społeczną mieszczaństwa, chociaż miało ono niewątpliwie większą szansę awansu od chłopstwa i robotników.

W wąskiej grupie tych, którzy wybili się i zyskali uznanie, znaleźli się głównie przedstawiciele rzemiosł specjalnych, wymagających dużego przygotowania i wykształcenia. Można wymienić wśród nich brązownika Łopieńskiego, kapeluszników Lorentzów, stolarza-ebenistę Simmlera, kupca Bruna, szewca Hiszpańskiego i chyba jedynego krawca – Franciszka Maryańskiego. Do tej grupy można zaliczyć także

fotografów, litografów, księgarzy czy aptekarzy, a także znane rodziny cukierników: Lardellich, Wedłów, Fruzińskich, Blikle. Producent pieczęci i stempli kauczukowych Munchheimer, nazywany przez klientów „kochanym panem Zygmuntem”, znany był „całemu światu urzędniczemu, wojskowemu i arystokratycznemu”, a to dzięki swej rzetelności, punktualności i dobremu gustowi. Inny kupiec, ceniony za zalety profesjonalne i towarzyskie, Teodor Śniechowski, był ponoć popularny nie tylko w Warszawie, ale i na „dalekiej prowincji”. Ci przedsiębiorcy-rzemieślnicy, sami wykształceni, wychowywali swe dzieci na prawników, uczonych i artystów.

Awans i kontakty z warstwami wyższymi zależały od majątku i od wykształcenia, przy czym oba te czynniki musiały występować razem – nie wystarczył ani sam majątek, ani samo wykształcenie. Mamy pewne podstawy, by przypuszczać, że ci rzemieślnicy i kupcy, których stać było na naukę i którzy czuli jej potrzebę, a także wykazywali się pewną ogładą towarzyską, łatwiej zdobywali zamożną klientelę, lepiej umieli trafić w szlacheckie i inteligenckie gusty, znajdowali język z przedstawicielami sfer artystycznych, początkowo nie w pełni akceptowanych przez szlachtę, ich wybierano do rad miejskich (zwłaszcza księgarzy i aptekarzy). Udział kupców, fabrykantów i rzemieślników we władzach miejskich pozostawał znikomy. Prawie zupełnie zamknięte i na ogół pozbawione większych szans awansu było mieszczaństwo mniejszych miast, za mało jednak o nim wiemy, bowiem uwaga historyków skupia się zwykle na Warszawie, Krakowie i Poznaniu. Czasem pojawiają się wzmianki typu: rzemieślnicy żyją w izolacji, nie biorą udziału w życiu towarzyskim i „poczynaniach społecznych” na skutek zbyt małego wykształcenia,

szukają więc własnego towarzystwa w tzw. bawariach (piwiarniach), kręgielniach i gospodach, omijanych przez przedstawicieli wyższych warstw. Z tymi ostatnimi można było spotkać się w kancelarii notariusza, na maneżach i w ujeżdżalniach koni lub przy innej okazji załatwiania interesów, na przykład w sklepach towarów luksusowych – fortepianów, perfum czy eleganckich papeterii.

Wydaje się też, że w okresie konstytucyjnym Królestwa Polskiego przesady szlacheckie były może mniej ostro, ale za to powszechniej atakowane. Po powstaniu listopadowym nastąpiła z jednej strony krystalizacja nurtu demokratycznego, a z drugiej – zamknięcie się elity szlacheckiej, zaś w Krakowie po 1848 r. przedziały między warstwami społecznymi zaznaczyły się wyraźniej niż w dobie Rzeczypospolitej Krakowskiej. Awans społeczny mieszczaństwa w Wielkopolsce postulowano głównie w latach czterdziestych XIX wieku – „ziemianin, ksiądz i mieszczanin uczyli się [...] tej współpracy, która tak zaskoczyła Niemców w marcu 1848 r.”⁴. Nauka trwała nie dość długo i trudno dostrzec autentyczne współdziałanie rozmaitych grup społecznych w późniejszym okresie. Badacze historii społecznej Wielkopolski twierdzą, że przekonanie, jakoby Wielkopolska w porównaniu z innymi dzielnicami dawnej Rzeczypospolitej była krajem silnego i prężnego „stanu trzeciego”, jest błędne. Po I wojnie światowej okazało się, że w Poznańskim brak jest urzędników, kupcy i rzemieślnicy są mało zamożni i prowadzą interesy na drobnej skalę, a echt poznoniok, nadający ton w mieście, bardziej pasował do drobnomieszczaństwa niż klasy średniej.

⁴ S. Kieniewicz, *Spółcześnieństwo polskie w powstaniu poznańskim 1848 r.*, Warszawa 1960, s. 47.

W procesach modernizacji Polska w stosunku do Zachodu była opóźniona, ale możliwa jest porównywalność procesów i struktur społecznych. Można zaryzykować twierdzenie, że po 1815 r. drogi Polski i Zachodniej Europy bardziej się rozeszły – zahamowane zostały przeobrażenia struktur administracyjnych, pogorszyły się warunki emancypacji „stanu trzeciego” wobec utraty niezależności także przez „stan pierwszy”. Na pierwszy plan wysunął się problem narodowy, a nie zmiany stosunków między poszczególnymi warstwami. Podział na „my i oni” – społeczeństwo i obcą, narzuconą władzę – w oczach warstw wyższych był najważniejszy; patriotyzm stał się wizytówką i przedmiotem licytacji. Jeśli szermierzami polskości nie byli Żydzi, wykorzystywano to jako argument na rzecz tezy o całkowitej obcości „żywiotu żydowskiego”. Jeśli małą świadomością narodową cechowali się chłopci – trzeba było rozwijać działalność wśród ludu, któremu po prostu brak było oświaty. Podejmowano więc pracę nad podniesieniem kultury i bytu warstw niższych z wiarą, że w efekcie poczują one więź narodową ze szlachtą i inteligencją. Do swoistego sojuszu między poszczególnymi grupami społecznymi dochodziło w momentach zrywów politycznych, ale kiedy na powstającą i manifestującą ludność spadały represje, solidarność rozplątywała się, zaczynały się wzajemne oskarżenia i wracały animozje.

V. *Classes dangereuses*: miasta plebsu i proletariatu

„Miasto objawia ci się jako całość, gdzie nie gubi się żadne pragnienie i w której skład i ty wchodzisz, a ponieważ cieszy się ono wszystkim, czym ty nie możesz się radować, pozostaje ci tylko zamieszkać w tym pragnieniu i zadowolić się nim. Taka jest władza zwodniczej Anastazji, to zła, to łaskawa: jeśli codziennie przez osiem godzin pracujesz jako szlifierz agatów onyksów chryzoprazów, twój trud, kształtujący pragnienia, sam bierze swój kształt z pragnień i kiedy wydaje ci się, że radujesz się za całą Anastazję, jesteś w istocie tylko jej niewolnikiem” (Calvino, 10-11).

98

Miasta to nie tylko skupisko statecznych klas średnich i artystycznej bohemy; w miarę rozwoju techniki maszynowej i wykorzystania pary, a potem elektryczności, jako siły napędowej miasta stały się ośrodkami przemysłu i tym samym skupiskami nowej klasy społecznej – proletariatu fabrycznego. W drugiej połowie XIX wieku przeobrażenia w rolnictwie spowodowały nasilenie migracji w poszukiwaniu pracy; mówi się nawet o powodowanym przez kapitalizm przemysłowy *exodus ruralis*. Jakkolwiek zawsze ludzie wędrowali ze wsi do miast, to zwykle nowi przybysze stanowili niewielki odsetek w porównaniu z osiadłymi mieszkańcami i nie mogli wpływać na miejscowe stosunki. Jednakże takie miasta, jak Manchester, Birmingham, Liège, Lyon, Bochum, Łódź, Sankt-Petersburg (a Warszawa po II wojnie światowej) zapępniały się w krótkim czasie

bardzo licznymi przybyszami, co destabilizowało dotychczasową strukturę społeczną i wywoływało zmiany kulturowe.

Uprzemysławianie starych miast przebiegało stopniowo, choć nie równomiernie, ponieważ były okresy znacznego przyśpieszenia industrializacji; wtedy na ogół można obserwować gwałtowny rozwój przedmieść i nowych dzielnic. W starych miastach – w Londynie, Paryżu, Berlinie czy Warszawie – lokowane były zwykle zakłady mniejsze, bardziej wyspecjalizowane i zróżnicowane, zajmujące stosunkowo mniej przestrzeni, ciągle w dużym stopniu oparte na pracy ręcznej. Były to wytwórnie konfekcji, szwalnie, fabryki gilz i papierosów, wytwórnie mebli, galanterii różnego typu, a także zakłady obróbki metali. Rynek zbytu i obfitość rąk do pracy sprzyjały ich rozwojowi, ale wyraźne ożywienie koniunktury nastąpiło w wyniku zastosowania energii elektrycznej. Mały – w porównaniu z maszyną parową – silnik napędzany elektrycznością można było umieścić w stosunkowo niewielkim pomieszczeniu, opłaciło się go stosować nawet do produkcji na niewielką skalę. Do takich starych, ale rozwijających się miast od dawna napływała ludność, a warstwy plebejskie były liczne i zróżnicowane – robotnicy fabryczni stanowili tylko ich część, obok czeladzi, terminatorów, pomocy sklepowej, służby domowej, stróżów, woźniców, wozowodów i całej masy osób świadczących usługi domowe i wykorzystywanych do prac publicznych.

Inny charakter miały nowe ośrodki, rozwijające się w wyniku industrializacji. Na skutek wykorzystywania nowych środków transportu – kolei żelaznych – oraz takich źródeł energii jak węgiel kamienny przy lokalizacji zakładów przemysłowych kierowano się przede wszystkim kalkulacją kosztów transportu.

100

Uprzemysłowienie sprawiło, że pękały ramy tego, co tradycyjnie nazywano miastem, a proces zmian stawał się przyśpieszony. Osady podmiejskie stawały się ośrodkami życia, powstawały zupełnie nowe osiedla, najczęściej o charakterze robotniczym. Można opisać jeden ze schematów urbanizacji tego typu: otwierano kopalnie węgla, do których doprowadzano bocznicę kolejową. Wkrótce powstawały w pobliżu wielkie piece, koksownie, odlewnie, walcownie, a po pewnym czasie także inne zakłady, na przykład cementownie. Obok wznoszono budynki administracyjne, zakładano kantyny i sklepy dla robotników. W oazach zieleni, jakie jeszcze pozostawały, budowali rezydencje właściciele i dyrektorzy przedsiębiorstw. Na Górnym Śląsku byli wśród nich wielcy ziemianie, którzy mieli swe pałace nie za blisko i nie za daleko od fabryki. Między tymi rezydencjami a zakładami wyrastały domy personelu administracyjnego i technicznego. Z czasem do osiedla fabrycznego napływał drobny handel i wszelkiego rodzaju przedsiębiorczość.

W porównaniu ze starymi miastami nowe osady fabryczne znajdowały się w gorszym położeniu. Bez statusu miasta i odrębnej administracji municypalnej nie mogły mieć finansów, a tym samym nie było w nich urzędzeń komunalnych. Jeżeli właściciel przedsiębiorstwa nie założył oświetlenia lub nie wybrukował drogi, osady tonęły w błocie i mroku. Nie było nadzoru sanitarnego, brakowało szkół, bo tylko niektórzy przedsiębiorcy otwierali je dla dzieci swoich robotników. Stan zawieszenia pomiędzy wsią a prawdziwym miastem mógł trwać bardzo długo. Struktura społeczna takich nowych miast przemysłowych różniła się od struktury społecznej starych miast; ludność była mniej zróżnicowana, ale dystans między górnymi i dolnymi warstwami – ostrzej

zarysowany. Większość mieszkańców stanowiły rodziny proletariackie, mało było grup pośrednich. Oznaczało to odmienność klienteli dla handlu, kultury i różrywki, dla instytucji oświatowych czy służby zdrowia.

Szczególnie dramatyczny przebieg miała urbanizacja wywołana rozwojem przemysłu fabrycznego, górnictwa węgla, hutnictwa i przemysłu stocznioowego w Anglii. Została ona uwieczniona na kartach dzieł pisarzy: Karola Dickensa, Henry'ego Mayhew i innych. George Macaulay Trevelyan pisał: „Ludzie przybywający do okręgów górniczych i przemysłowych opuszczali stare, wiejskie środowisko o zupełnie konserwatywnej strukturze społecznej i atmosferze moralnej, a tworzyli coś w rodzaju zaniedbanych skupisk, jak zwykle w takich warunkach ulegających fermentacji, i stawali się materiałem łatwopalnym”. Obawiający się nowej techniki rzemieślnicy przypuszczali szturm na fabryki i niszczyli maszyny; największe nasilenie ruchu „burzycieli maszyn”, zwanego też luddyzmem od nazwiska jednego z wybijających się uczestników zamieszek, przypadło w Anglii na lata 1811-1813. Z tym rozproszonym ruchem dano sobie radę, jednak rząd brytyjski przeraził się 16 sierpnia 1819 r., kiedy tuż pod Londynem, na terenie zwanym Saint Petersfields, około 50 tys. przedstawicieli „niebezpiecznych klas” zgromadziło się na wiecu. Do tłumu skierowano wojsko. Zabitych zostało 11 osób, kilkaset – w tym także kobiety – odniosło obrażenia. Krytycy rządu przeciwstawiali teraz niechlubne „Peterloo” chlubie Anglików – Waterloo.

Kiedy w 1830 i 1831 r. zamieszki wybuchły w Lyonie i Paryżu, w całej Europie zaczęto rozprawiać o „kwesii socjalnej”; słowa te weszły do powszechnego użycia i

zaznaczyły epokę między Kongresem Wiedeńskim a Komuną Paryską, tak jak na przykład „kwestia chińska” stała się charakterystycznym sloganem przełomu XIX i XX wieku lub jak dziś – „integracja”. Już wcześniej obawiano się miejskiego plebsu, zwłaszcza bacznie zwracano uwagę na ruchliwą i skłoną do wywoływania niepokojów czeladź rzemieślniczą, dlatego próbowano zamykać miasta przed niepewnymi przybyszami i policja obserwowała gospody, w których lubili przebywać czeladnicy. Okazało się jednak, że w miejsce dawnego plebsu w miastach żyją i dają o sobie znać masy – różnorodna pod względem pochodzenia, struktury zawodowej i dochodów ludność: margines społeczny, robotnicy fabryczni, pomocnicy w rzemiośle, drobni urzędnicy zwani gryzipiórkami, pomoc sklepowa, służba domowa, domokrażcy, a gotowi są do nich dołączyć gimnazjaliści i studenci.

102

Poczucie zagrożenia i złą opinię o mieście miała zmienić przebudowa jego znacznej części; tak więc przebudowę Paryża na polecenie Napoleona III podjął w 1852 r. baron Georges Eugène Haussmann, prefekt Departamentu Sekwany, w 1850 r. zaczęto przebudowę Wiednia. W Paryżu do 1856 r. wyburzono 27 tys. budynków, w Wiedniu w latach 1857-1865 rozebrane zostały fortyfikacje i wytyczono Ringstrasse, której zabudowę ukończono w latach osiemdziesiątych XIX wieku. W Krakowie burzono fortyfikacje i ich miejsce zajęły Plany. Ale rozwiązania „kwestii socjalnej” były nie tylko represyjne: w Anglii już w 1824 r. zniesiony został zakaz zrzeszania się, więc zaczęły szybko powstawać związki zawodowe. Sprawiały one wiele kłopotu, ale z czasem grupy rządzące nabierały przekonania, że jest to dobra forma kanalizacji gniewu „klas niebezpiecznych” i

rozwiązywania problemów społecznych. Jeśli nie liczyć Imperium Rosyjskiego, to praktycznie w całej Europie do połowy lat osiemdziesiątych XIX wieku zapanowała wolność zrzeszeń, a nawet wprowadzono prawo do strajków. Także we Francji w 1864 r. uchylono osławione (choć na ogół mylnie interpretowane), uchwalone w 1791 r. prawo, które zaproponował Isaac René Guy Le Chapelier¹.

W miastach prowadzono wiele akcji o charakterze dobroczynnym, a z czasem także wynikających z państwowej polityki opiekuńczej. Jest rzeczą naturalną, że to Anglia najwcześniej wkroczyła na drogę ustawodawstwa o ochronie pracy (w 1833 r.). Jednocześnie trwało reformowanie ustroju poprzez rozszerzanie prawa wyborczego; między innymi w 1832 r. skasowano 56 okręgów wyborczych, rolniczych i mało zaludnionych, a w 20 takich okręgach pozostawiono po jednym mandacie do parlamentu. Dzięki temu uzyskano 143 mandaty, które zostały rozdzielone między rozwijające się dynamicznie, duże i uprzemysłowione skupiska ludności. W 1835 r. prawo o miastach rozszerzyło możliwości udziału w samorządzie, a w 1867 r. dokonano nowego podziału na okręgi wyborcze i w 1868 r. konserwatysta Beniamin Disraeli tak rozszerzył czynne prawo wyborcze, że mogła z niego korzystać znaczna część robotników.

Zaczęto interesować się stanem sanitarnym skupisk ludności proletariackiej i stopniowo ulegały poprawie warunki bytu. Opieką lekarską obejmowane były coraz szersze kręgi, między innymi wprowadzono szczepienia

¹ Prawo to uważane jest za „antyrobotnicze” i powodujące cofnięcie w zakresie zdobyczy rewolucyjnych, gdy tymczasem było ono wyrazem doktryny liberalnej, głoszącej, że każde zrzeszanie się, „zmowy” itp., czy to pracodawców, czy pracowników, są próbą monopolizacji i przeczą doktrynie wolności.

przeciwko najpowszechniejszym chorobom zakaźnym, zwłaszcza chorobom wieku dziecięcego. W większości miast wielu ubogich korzystało z darmowych lub bardzo tanich posiłków, przygotowywanych według opracowanych przez lekarzy receptur. Także w Warszawie rozdawano ciepłą i treściwą strawę, odpowiadającą zaleceniom dietetycznym – „zupę rumfordzką” albo – w gwarze warszawskiej – „trąbizupkę”. „Kwestię socjalną” starano się więc rozwiązywać kijem i marchewką, przy czym ustępstwa w sprawach socjalnych przychodziły łatwiej niż akceptacja politycznych aspiracji mas (albo tych, którzy się podawali za ich reprezentantów).

Barierom społecznym miały przeciwdziałać wspomniane już uprzednio koncepcje miast-ogrodów i planowanie osiedli. Reformatorzy i wizjonerzy próbowali wcielić w życie utopię harmonii i uporządkowania; podobne wysiłki, choć z innych powodów, podejmowali bogaci dobroczyńcy, przedsiębiorcy i czasem także władze miejskie. Już na początku XIX wieku powstawały „idealne osady” i „falangi” utopistów: Charlesa Fouriera, Roberta Owena (New Lenark i New Harmony), Etienne Cabeta (Icaria). Pierwsze osiedle dla robotników zostało wybudowane przez właścicieli dużych zakładów przemysłowych koło Bradford w Anglii w 1853 r. Największy rozwój takich inicjatyw zaczął się w ostatnim dwudziestoleciu XIX wieku, kiedy powstały Bournville koło Birmingham (1879 r.), Port Sunlight w Liverpoolu (1887 r.), osiedla zakładów Forda w Stanach Zjednoczonych, Fiata i Olivettiego we Włoszech.

Wiele takich osiedli założyli w Królestwie Polskim przedsiębiorcy, którzy chcieli ustabilizować

zatrudnienie w swych zakładach. W ten sposób powstały fabryczne kolonie: Reden, Czeladź, Saturn w Zagłębiu Dąbrowskim, Raków pod Częstochową, osiedla Scheiblera czy Poznańskiego w Łodzi. Wyposażone były prawie we wszystko, co mieszkańcom potrzeba do życia: były tam sklepy, herbaciarnie, składy apteczne, szkoły, pralnie, zakłady pogrzebowe, sale przeznaczone do tańca, na przedstawienia i uroczystości familijne, a nawet domy kultury. Kolonie fabryczne stały się najpierw odrębnymi miasteczkami, potem zaś dzielnicami dużych aglomeracji miejskich. W Warszawie rodzina Wawelbergów zbudowała zespoły tanich domów czynszowych dla robotników na Woli i na Czerniakowie, ale nie utworzyły one całego osiedla.

Podobne procesy miastotwórcze wywołane uprzemysłowieniem zachodziły w Ameryce Północnej. Przykładem może być Buffalo, które w połowie XIX wieku było jeszcze małym handlowym miastem, zaś około 1900 r. stało się metropolią. Początkowo dysproporcje majątkowe były tam słabo zaznaczone, nie było segregacji przestrzennej. Zmiany nastąpiły pod wpływem masowej imigracji, początkowo niemieckiej (w 1860 r. Niemcy stanowili połowę ludności miasta), potem (w latach 1880-1890) polskiej, a na przełomie stuleci – włoskiej. Rozwój kolei spowodował także wzmożoną ruchliwość między stanami, zaś rozwój przemysłu kolejowego stawał się czynnikiem przyciągającym osoby poszukujące pracy. Trzeba też pamiętać o pauperyzacji wskutek wojny secesyjnej. Przed I wojną światową Buffalo było już repliką *Dżungli* Uptona Sinclaira. Nastąpiła atomizacja społeczności, zmiany zaszły także w warstwach wyższych: wraz z rozwojem anonimowych spółek i korporacji dawna elita, która tworzyła szkoły, galerie

sztuki, muzea i parki, została usunięta w cień. Ludzie bogaci zaczęli wynosić się do rezydencji lokowanych w ładniejszych miejscach. Do końca lat sześćdziesiątych XIX wieku miastu wystarczał jeden policjant, tak silna była kontrola nieformalna tzw. grupy pierwotnej – społeczności przybyszów z jednej okolicy, swoistej wspólnoty właścicieli przedsiębiorstw i ludzi w nich zatrudnionych oraz grup religijnych. Ale już w 1870 r. z pomocy społecznej żyło 5% mieszkańców, zaś w końcu XIX wieku grasowały gangi nożowników i rewolwerowców, bowiem przemysł ciężki zrodził slumsy, w których życie było *bitter, brutish, and brief*.

W Newburyport w stanie Massachusetts podobne zmiany obserwowano od połowy XIX wieku. W 1856 r. w jednej z gazet publikowane były rozważania nad przyczynami rozluźnienia więzi międzyludzkich, wzrostu separacji różnych środowisk, wyrażano też nostalgię za dawnymi, dobrymi czasami, kiedy była tylko jedna szkoła, nikt nie żebrał na ulicy, ludzie nie wyłamywali się z ogólnie przyjętych norm. Oczywiście, idealizowano te dawne czasy, w rzeczywistości bowiem różnice społeczne w dawnym Newburyport były duże i panowały rygorystyczne, patriarchalne stosunki. Konflikty nie ujawniały się na skutek silnej kontroli nieformalnej, głównie w ramach purytańskiej rodziny – na przykład osoby samotne musiały mieszkać przy jakiejś rodzinie, bo uważano, że samotność demoralizuje. Tak samo było w New Haven i Salem, gdzie zachowywano zasady współżycia wyniesione czy to z siedemnastowiecznego Exeter w hrabstwie Devonshire w Anglii, czy to z niemieckiej Moguncji, ukształtowane jeszcze w XII wieku. Hierarchia społeczna była przejrzysta, a na jej straży stały cztery

silnie upolitycznione, nie różniące się zbyt od siebie, Kościoły. W pierwszej połowie XIX wieku odbijało się to także na zabudowie miejskiej: nie było dzielnic, choć były bogate rezydencje. Domy mieszkalne powstawały w pobliżu zakładów i miejsc pracy, na wzór rzemieślniczy, zaś życie prywatne i ekonomiczne nie były odseparowane. Pod koniec XIX wieku wszystko to należało już do przeszłości.

Zmiany były wywoływane niekiedy przez okoliczności zewnętrzne, nadzwyczajne: w 1865 r. w Richmond wybuchł katastrofalny pożar, poza tym przebieg wojny spowodował panikę i ucieczkę ludności. Wtedy to przeszła fala rabunków i dewastacji, następowały eksplozje i podpalenia fabryk. Miasto odbudowano po wojnie, i około 1870 r. ludności było już więcej niż przed pożarem i ewakuacją. Jednak nie dało się już przywrócić poprzedniego systemu kontroli społecznej. Także pożary lub trzęsienia ziemi w czasach pokoju, jak na przykład w 1871 r. w Chicago, w 1872 r. w Bostonie czy w 1906 r. w San Francisco, przyczyniły się do zmiany przestrzeni społecznej tych miast. W Chicago przed pożarem najbardziej elitarną i zamożną była dzielnica Union Park, ale zgłęb miasta, a potem pożar i depresja lat 1873-1877 spowodowały opuszczenie jej przez elitę. Wtedy do Union Park napłynęła klasa średnia, o specyficznej kulturze rodzinnej, odmalowanej przez Theodore Dreisera w powieści *Siostra Carrie*.

Jakkolwiek nie znikła obawa przed masami proletariackimi, to jednak nie spędzały już one snu z powiek, jak dziewiętnastowieczne „klasy niebezpieczne”. Zwłaszcza w zamożnych krajach i w wyniku pomyślnej koniunktury gospodarczej (między 1895 i 1901, przed I wojną światową, po

wojnie do 1929 r., potem po 1945 r.) robotnicy „mieszczanieli” – ich stopa życiowa wzrastała, a w konsekwencji zmieniał się tryb życia. Dobre warunki prowadziły nawet do łagodzenia obyczaju, co zanotował Richard Hoggart w swej książce o kulturze robotniczej w Anglii (wydanej po polsku w 1976 r.). Lewis Mumford twierdzi, że to religia – mógł być to katolicyzm, baptyzm, wesleyanizm – nie pozwoliła robotnikom stoczyć się do poziomu otoczenia, w którym żyli. W XIX wieku przyszła też nowa religia, niosąca nadzieję: socjalizm. Do proletariackich nizin zaczął docierać sen o bardziej przyjaznym porządku społecznym i ludzkich warunkach życia. Popularność zyskały związki zawodowe, które odegrały rolę nie tylko jako narzędzia wymuszania lepszych zarobków, ale także jako źródło nowych form życia kulturalnego, nowej *sociability*. Ludzie zbierali się w opuszczonych budynkach, w porzuconych kaplicach. Powstawało coś, co można nazwać robotniczym domem kultury, spełniającym rolę kwatery związkowej, miejsca zgromadzeń i klubu robotniczego. Podobne procesy można zaobserwować na ziemiach polskich, w Czechach, Austrii, w Niemczech, ale zjawisko to nie było znane na terenie Imperium Rosyjskiego, i ma to ogromne znaczenie z punktu widzenia późniejszego rozwoju stosunków społecznych.

Wiele prac socjologicznych i historycznych poświęcono badaniom kultury robotniczej. Znani badacze (Edward P. Thompson, George Rude, Eric Hobsbawm, Yves Bercé, Mona Ozouf) nalegają na używanie pojęcia kultury plebejskiej, wyrażającej się w skłonności do rebelii i w specyficznych formach protestu – rozruchach głodowych, festiwalach i karnawałach, często gwałtownych i o podskórnym

nurcie rewolucyjnym, zainteresowaniu imprezami sportowymi. Już od schyłku XVIII wieku w najuboższych dzielnicach Londynu ulubionymi rozrywkami były igrzyska bokserskie, tak jak w innych środowiskach walki kogutów, kwitły także gry w kości, karty itp. Różnica między miejską kulturą proletariacką a burżuazyjną ma polegać na tym, że ta pierwsza jest doświadczeniem zmysłowym i kolektywnym, zaś ta druga indywidualnym i pośrednim – intelektualnym.

Wskutek opisanych tu procesów proletaryzacji miasto mogło być uważane za niepokojący rozsądek buntów. O wieś można było się nie troszczyć (aż do lat siedemdziesiątych XX wieku); całą energię kierowano na wielkie miasta, by zapobiec zamieszkom i pilnować ludność. W XIX wieku zrodziło się pojęcie, które z czasem zrobiło karierę i do dziś jest przedmiotem dyskusji – masy. Po raz pierwszy świadomie użyto go w 1837 r. w Anglii, nie tylko jako określenia dużej liczby ludzi, ale także specyficznego zjawiska społecznego. W połowie XIX wieku „masy” przeciwstawiano jednostkom, przy czym podkreślano, że nie jest to zwykła suma jednostek. Znane są dobrze nader negatywne opisy psychologii mas Gustawa Le Bon i Scipiona Sighele. Dziś politycznie poprawne jest wyrzucanie ich spostrzeżeń do kosza, jakkolwiek analiza dawnych i obecnych ruchów społecznych pokazuje, że nie brakło im przenikliwości w obserwowaniu zjawisk masowych. Co ciekawe, teorię mas, ale w pozytywnym wyobrażeniu – przejęli socjaliści; zgodnie z ich opiniami w podręcznikach masy są przedstawiane jako twórcy historii. Rola miasta uwidoczniła się w wielu wydarzeniach, kluczowych w historii ostatnich stu pięćdziesięciu lat: w

rewolucjach i powstaniach, masowych strajkach i manifestacjach, w latach 1848-1849 prawie w całej Europie, w 1870 r. we Francji, w 1889 r. w Zagłębiu Ruhry i Saary, w 1886 r. w Chicago, w 1892 r. w innych miastach Stanów Zjednoczonych, w latach 1904-1907 w Rosji i w Królestwie Polskim, w 1910 r. w berlińskim Moabicy, w 1923 r. w Krakowie, w 1956 r. w Poznaniu, w 1970 r. – w Gdańsku, w 1980 r. w Gdańsku i Szczecinie.

Jeśli szukać miasta, które w sposób podręcznikowy, chciałoby się rzec – kliniczny, odzwierciedla syndrom „kwestii socjalnej”, jest nim polskie „miasto proletariuszów” – Łódź. Nie będę jej opisywać – jest to jedno z nielicznych polskich miast, w których historia splata się z terażniejszością, któremu poświęcono wiele prac z zakresu historii społecznej, urbanistyki i architektury, które pokazane jest w powieściach i filmach. Wśród osób, które pisały o Łodzi, znaleźli się na szczęście tacy, którzy potrafili dostrzec wyjątkowy urok tego miasta, wbrew wszystkim negatywnym opiniom o ponurej kamiennej pustyni, jak niejednokrotnie nazywano Łódź. Dla mnie czar Łodzi tkwi w jej miejskości właśnie.

Miejskość ta rozkwitła jakby wbrew regułom, bowiem zapleczem Łodzi była wieś: to chłopci przybywali tu tłumnie do pracy, chłopci-chałupnicy pracowali dla łódzkich fabryk w swych domach na wsi i w miasteczkach – Konstantinowie, Zgierzu – które też stawały się miastami. Największy napływ nowej ludności zaczął się w połowie lat osiemdziesiątych XIX wieku, kiedy na skutek konkurencji taniego zboża amerykańskiego w rolnictwie europejskim widoczny był już wyraźny kryzys; kto nie umiał przestawić gospodarki na inne

uprawy lub zwiększyć efektywności produkcji, ten musiał szukać dodatkowego zarobku lub parcelować majątek, jeśli był ziemianinem. W wypadku Łodzi zadziałał jeszcze jeden czynnik: wspaniała koniunktura schyłku XIX wieku i znakomity rozwój interesów w przemyśle włókienniczym, dzięki któremu miasto rozbudowało się. Dzięki temu, że parcele były wytyczone dawniej „pod sznurek” i nabierały wartości, Łódź mogła się poszczycić zwartą zabudową i prawdziwymi ulicami. Wielkomiejskiego charakteru Łódź nabierała stopniowo, ale nieprzerwanie; także po II wojnie światowej była obszarem, do którego stale napływała ludność ze wsi i małych miasteczek. W 1850 r. w Łodzi było około 15 tys. mieszkańców, po dziesięciu latach – 32 tys., a przed I wojną światową około pół miliona. W dużej części byli to robotnicy fabryczni, tym liczniejsi, że zasileni przez przychodzących do pracy z mniej lub więcej od miasta odległych gmin. Duże zatrudnienie kobiet może być jedną z oznak nowoczesnego społecznego charakteru tego miasta.

W Łodzi Reymonta robotnicy byli jeszcze niepewni, zagubieni, naznaczeni chorobliwym piętnem pracy: bladeścią lub ziemistością skóry. W spokojny, wolny od pracy czas niedzieli, przy słonecznej pogodzie, wylegali na ulice, snując się po nich ociężale, by na koniec zniknąć w karczmie. Onieśmieleni niezwykłą w tym mieście ciszą, pogodnym, nie zasnutym dymami niebem, skrępowani świątecznym ubraniem, nie umieli jeszcze korzystać z wypoczynku. Pisarz zanotował charakterystyczny, niezmienny odruch wiejskiego człowieka, który znalazł się w tłumie: rozpychanie się łokciami, tak typowe dla tłumu we współczesnym metrze w Rosji, w tramwajach warszawskich

zabierających ludzi spod dworca. Wśród strojów ulicznego tłumu mieszały się tradycyjne, chłopskie ciemne ubrania świąteczne i kapelusze z nową, już miejską modą: krzyczącymi, kolorowymi krawatami, czapkami z błyszczącymi daszkami, z parasolami i parasolkami kobiet. Niektóre kobiety ubrane były z miejska, w „cudaczne” kapelusze i jasne peleryny, inne miały jeszcze na ramionach wiejskie chusty.

Julian Marchlewski, zapewne bardziej na podstawie zasłyszanych opinii niż z autopsji, podkreślał zaobserwowane w 1905 r. różnice między robotnikami warszawskimi, którzy w większości wychowali się w mieście i pochodzili ze środowisk rzemieślniczych, oraz robotnikami i robotnicami łódzkimi, od których wymagano jedynie minimalnego przyuczenia do pracy przy maszynach. Było na nich wyciśnięte „piętno chłopskiego pochodzenia”. Ale przed I wojną światową także robotnicy łódzcy „umiastowili się” – duch kapitalizmu okazał się silniejszy od tradycji wiejskich i świeżo upieczeni robotnicy zmieniali nie tylko stroje, ale także obyczaje i mentalność. Robotników można było odróżnić po nawykach językowych, mieszaniu wulgaryzmów z obcymi wyrazami, po naśladowaniu drobnomieszczańskiej mody – nosili czapki i kepi, „melony” i „gasparoniki”. Obowiązkowe były sztywne kołnierzyki, krawaty, srebrne lub tombakowe dewizki. Na nogach nie widziało się już butów z cholewami, ale kamasze. Łódzianin Lucjana Rudnickiego (*Stare i nowe*) był wyelegantowany, „z jedwabną chusteczką na szyi, żeby się kołnierzyk od półkoszułka nie brudził, z mankietami lśniąco-białą, na tyle wysuniętymi z rękawów, żeby widoczne były gustowne spinki”.

Płace realne od trzydziestu lat nieustannie wzrastały, starczało więc tygodniówki, by wziąć trzy

ruble do kieszeni i ruszyć do miasta z poczuciem, że można skorzystać z jego uciech. Znikała chłopska nieufność, niechęć do tłumu, tradycjonalizm; „umiastowione” dzieci chłopskie stawały się ruchliwe, ciekawe, ironiczne, radykalne, sceptyczne wobec staroci, a naiwnie chłonące każdą, nieraz najdziwniejszą lub nieprawdopodobną nowość. Gdyby nie system polityczny, moglibyśmy zapewne obserwować, czy i jak urodzone na wsi pokolenia, w przeciwieństwie do pokoleń urodzonych w mieście, rozwijały w sobie „ducha obywatelskiego”, o którym wiele mówiono i pisano na Zachodzie w odniesieniu do Birmingham czy Manchesteru. Ale w Królestwie Polskim ani jedno, ani drugie pokolenia szans takich nie miały.

Mimo dużego napływu ludności do Warszawy w tym samym czasie co do Łodzi nowi przybysze ze wsi nie rzucali się tak w oczy. Ci, którzy zachowywali odrębność, przeważnie mieszkali we wsiach podwarszawskich i tylko przychodzili do pracy. Poza tym Warszawa, mimo rozwiniętego przemysłu, była bardziej drobnomieszczańską (co prawda, drobnomieszczaństwo polskie było wyjątkowo plebejskie...). W 1862 r. zarejestrowano tu 4 tys. wyrobników (robotników niewykwalifikowanych), 8 tys. rzemieślników (mogli być do nich zaliczeni także robotnicy fabryczni) i aż 26 300 osób służby domowej. Rola służby domowej w strukturze zawodowej klas pracujących malała, ale ciągle pozostawała wyjątkowo duża: w 1882 r. stanowiła ona 23,3% zawodowo czynnych, w 1897 r. – 20,3%, po wojnie, w okresie silnego zubożenia w 1921 r. – 9,7%. Rzemiosło straciło swój dawny charakter, bowiem wśród wszystkich, którzy w nim byli zatrudnieni, samodzielni (czyli majstrowie lub inni

właściciele warsztatów) stanowili tylko 3,2%, czeladnicy – 27,6%, zaś zwykli robotnicy najemni – 69,2%. Mimo to i ci ostatni byli bardziej zbliżeni kulturowo i obyczajowo do drobnomieszczaństwa niż do właściwego proletariatu.

Łódź była terenem, na którym można obserwować najlepiej ewolucję form aktywności „klas niebezpiecznych”. W 1861 r. wybuchły rozruchy; ich sprawcą była warstwa, którą możemy jeszcze określić jako plebs. Nie można go utożsamiać z robotnikami. W rozruchach dużą rolę odegrali właściciele warsztatów rzemieślniczych i małych zakładów, którzy podburzali robotników przeciwko potentatom takim jak Scheibler. Około 1890 r. większość rodzin w Łodzi była związana z przemysłem fabrycznym; był to okres, kiedy stały i wciągający masy konflikt zastąpił dawne indywidualne i sporadyczne kontrowersje. Propaganda socjalistyczna odegrała dużą rolę w procesie ujmowania konfliktu w słowa (według niewłaściwego, nadużywanego pojęcia – „artykułowała” konflikt) oraz w jego zaognianiu, obkleiła go w stereotyp i opatrzyła schematyczną frazeologią. Niemniej jednak poczucie sprzeczności interesów lub – mówiąc prościej – krzywdy stało się wśród robotników zjawiskiem o zasięgu społecznym, wcześniejszym od szerszego przenikania propagandy socjalistycznej. Jeśli nie przyjmujemy tego do wiadomości, nie zrozumiemy historii Polski tej epoki ani znaczenia przypisywanego „kwestii społecznej”.

W 1892 r. w Łodzi wybuchł bunt, którego przyczyny były rozmaicie interpretowane. Zgoda panuje co do tego, że represje były okrutne, a sam bunt miał znaczenie przełomowe. Był to strajk powszechny, gdyż pracę porzuciło około 30 tys.

robotników, na ogólną liczbę zapewne około 35 tys. robotników w mieście. Był to strajk szczególny pod względem formy: ludzie wylegli na ulice odświętnie ubrani, przechadzali się i śpiewali *Jeszcze Polska i Boże coś Polskę*. Nie powstało żadne kierownictwo ruchu, wydarzenia miały charakter spontaniczny. Pozostaje ciągle niejasne, jak doszło do rozruchów i pogromu ludności żydowskiej; najprawdopodobniej antyżydowskie incydenty były spontaniczne, ale policja i żandarmeria nie reagowały, a nawet zachowywały się zachęcająco. Właśnie wtedy wypuszczono z więzień i aresztów przestępców, do których przyłączyli się osadzeni na Bałutach i znajdujący się pod nadzorem policji drobni przestępcy, osadzeni tu przymusowo (tzw. pobytowcy).

Późniejsze wydarzenia związane z rewolucją 1905 r., a zwłaszcza walki w Łodzi, które wybuchły w 1906 r., wydarzenia w Warszawie i w niektórych innych mniejszych miastach, jak w soczewce skupiają historię partii politycznych i walk społecznych na ziemiach polskich. Życie miejskie uległo na pewien czas paraliżowi. Pierwszym odruchem inteligentkich uczestników i obserwatorów wydarzeń była apoteoza proletariatu, potem przyszło przerażenie, niechęć lub rozczarowanie, a czasem załamanie i głęboki pesymizm. „Widzieliśmy olbrzyma, który nagle swą potężną ręką zatrzymał w ruchu wszystkie warsztaty pracy najemnej [...] Widzieliśmy, jak w odezwach swoją krzywdę związał z krzywdą całego narodu i obie złożył na wagach sprawiedliwości. Widzieliśmy, jak na ulicach śpiewał hymn niedoli *Czerwony sztandar*, a w kościołach hymn patriotyczny *Boże coś Polskę* [...] Widzieliśmy, jak on swoje święto starał się uczynić niepokazowym i

uroczystym, stawiając własne straże w beczynnych fabrykach oraz przy zamkniętych sklepach i składach [...] Widzieliśmy, jak błotniste dno społeczne pod wpływem burzy wyduło się i obryzgało go swoimi grzami z wielką radością dla tych, którzy radzi by go zbrukać, żeby osłabić”².

Życie miast w takich czasach to nie tylko strajki i barykady, manifestacje czy starcia z wojskiem; to także zmieniony tryb i rytm życia codziennego, to problem zdobycia chleba, utrzymania dochodów, to szerzące się pogłoski, rozpacz i panika, to także narastanie oburzenia i wyładowywanie go, potem zmęczenie, pesymizm i apatia. Wtedy po represjach następuje pewna ulga, chętnie wraca się do zwykłego trybu życia, brak niepodległości lub niedostatek mniej dokucza. Miasto wreszcie ożywa i wraca do normalnego rytmu. Rewolucja 1905-1907 była największym wstrząsem w dziejach polskich miast.

116

Pod koniec XIX wieku stare pojęcia i nowe warunki nie przylegały już tak dobrze do siebie jak w pierwszej połowie XIX wieku. Traciło sens mówienie o mieszczaństwie i szlachcie (lub o proletariacie – ale przywiązanie do tego pojęcia jest niesłychanie trwałe), socjologia chętniej zaczęła używać podziału na klasy niższe, średnie i wyższe. Społeczeństwo krajów rozwiniętych stawało się bardziej zróżnicowane, nie uszeregowane hierarchicznie według jednego prostego lub nawet syntetycznego kryterium; teraz kryteria krzyżowały się ze sobą. Także w mniejszych miastach następował wzrost mobilności społecznej, na co największy wpływ miało wykształcenie, które stawało się mniej elitarne. Od końca XIX wieku

² Anonimowy tekst grupy literatów z 1905 r.; cyt. za: H. Kiepuska, *Warszawa w rewolucji 1905-1907*, Warszawa 1974.

następowały zmiany technik i zakresu nauczania, rozszerzał się zasięg przedsiębiorczości – przedsiębiorstwami stawały się szkoły, Kościoły, własność ziemska. Prowadziło to do zmniejszania się różnic między bankierem, przemysłowcem, rolnikiem czy jakimkolwiek innym profesjonalistą; najważniejsze pozostały różnice kulturowe. Następował schyłek wielkich rodów na skutek wzrostu korporacji, „rewolucji menedżerów” i napływu do świata finansów „białych kołnierzyków”. Trwał proces wyrównywania szans dla niższych grup. Związków, zależności, możliwości przejścia z grupy do grupy było bez liku i to stało się cechą nowoczesnego społeczeństwa miejskiego.

VI. Zmiany miejskiego krajobrazu

„Marko Polo przerzuca mapy, rozpoznaje Jerycho, Ur, Kartaginę, wskazuje przystanie u ujścia Skamandra, gdzie achajskie okręty przez dziesięć lat czekały na powrót oblężników, zanim przez Skajskie Wrota przeciągnięto kołowrotami konia, którego szczepił sworzniami Ulisses. Ale mówiąc o Troi, nadawał jej kształt Konstantinopolis i przewidywał, jak przez długie miesiące będzie ją oblegał Mahomet, który, przebiegły jak Ulisses, każe przeciągnąć nocą okręty w górę potoków, z Bosforu do Złotego Rogu, omijając Perę i Galatę. I z pomieszania tych dwóch miast wynika trzecie, które mogłoby nazywać się San Francisco i wyciągać długie, lekkie mosty nad Złotymi Wrotami i nad zatoką, i wydrapywać się zębatymi tramwajami na biegnące stromo w górę ulice, i rozkwitać, w tysiąc lat później, jako stolica Pacyfiku, po długim, trzechsetletnim oblężeniu, które doprowadziło rasę żółtych i czarnych, i czerwonych do zlania się z ocalałym potomstwem białych w imperium większym od cesarstwa Wielkiego Chana” (Calvino, 106).

118

Socjologowie powiadają nieraz, że miasto jest tylko konstrukcją myślową – przypisuje mu się zespół wyabstrahowanych z rzeczywistości cech. Nic więc dziwnego, że od dawna toczą się spory o definicję miasta i zasady jego wyodrębniania, choćby dla celów statystycznych. O społecznych i politycznych cechach miast i znaczeniu ich statusu prawnego, zwłaszcza z punktu widzenia kształtowania się społeczeństwa obywatelskiego, była już mowa. Posiadanie statusu miejskiego jest też używane w niektórych krajach jako kryterium przy sporządzaniu statystyki. Tak na przykład w Polsce obowiązuje kryterium administracyjne, zaś

dla podejmowania decyzji o nadaniu miejscowości statusu miasta w czasach PRL (jak w ZSRR) decydowało to, jaki odsetek ludności utrzymuje się z zajęć pozarolniczych (przyjęto jako próg 65%). Jest to, jak słusznie zauważa Janusz Ziółkowski, kryterium mało elastyczne, ale zachwalana przez niego tzw. formuła Davisa, w myśl której miasto określa się na podstawie współczynnika przestrzeni, liczby ludności i gęstości zaludnienia, gubi niezwykle istotną sytuację prawną. Historia pokazuje, że warto było walczyć – nieraz długo – o status miasta.

W Polsce przykładem może być Sosnowiec, który – jako wieś w uprzemysłowionej okolicy – w 1870 r. miał 6,5 tys. mieszkańców, a prawa miejskie uzyskał dopiero w 1902 r., kiedy na jego terenie mieszkało już 57 tys. osób, nie licząc niestałych, nie wpisanych do ksiąg ludności. Inny przykład to Dąbrowa Górnicza; na terenie wsi i kolonii, z których w 1916 r. utworzono miasto, przed wybuchem I wojny światowej oficjalnie rejestrowano około 25 tys. mieszkańców, choć status miasta miało w Królestwie Polskim wiele miejscowości, których liczba faktycznych mieszkańców nie przekraczała 2 tys. Obydwie miejscowości wiele zyskały wraz z miejskim statusem – dopiero wtedy zmieniły się niektóre dziedziny życia i wygląd zewnętrzny, ponieważ miasto musiało mieć swój budżet oraz stawało się odpowiedzialne za bezpieczeństwo i stan sanitarny. W ciągu XIX wieku rozwinęły się nowoczesne instytucje ubezpieczeniowe – przede wszystkim wprowadzano ubezpieczenia ogniowe, co spowodowało stopniowy zanik drewnianej zabudowy. Regulowana była sieć uliczna, ulice i place brukowano i oświetlano, rozpoczęto prace nad wodociągami miejskimi. Przyciągało to ludność i wzrastały ceny gruntów w mieście, dlatego zabudowa musiała być ciaśniejsza –

znikały prywatne ogródki i puste place, rzadko wznoszono parterowe domy, ale też zaczęto urządzać zieleni miejską.

W celach statystycznych stosowane są czysto konwencjonalne kryteria wyróżniania miast, oparte na liczbie mieszkańców (a więc uproszczone w stosunku do formuły Davisa); mają one tę zaletę, że są operatywne. Kłopot polega na tym, że próg jest rozmaicie określany. Po raz pierwszy statystyczne kryterium przyjęła w 1846 r. Francja, gdzie za miasta uznano osiedla o liczbie ponad 2 tys. mieszkańców. W 1887 r. Międzynarodowe Biuro Statystyczne przyjęło jako próg 5 tys. mieszkańców, co utrzymało się także po II wojnie światowej. Są jednak liczne wyjątki: w niektórych krajach statystyczny próg miasta ustanowiono wyżej (np. w Holandii – 20 tys.) albo utrzymano bardzo niski.

120

Bez uwzględnienia czynnika przestrzennego wszystkie inne kryteria stają się zbyt ogólne; równie dobrze na ich podstawie można wyróżnić czasem prowincje i całe państwa. Aby zrozumieć miasto, trzeba widzieć je także w jego fizycznym kształcie – mury miejskie, ulice, place i zabudowę o znaczeniu tak praktycznym, jak i symbolicznym. Dzięki nim miasta stanowiły wyłączone z krajobrazu wiejskiego punkty i zaznaczały dobrze swą odrębność od wsi. Zwartość i zamknięcie terytorium miejskiego umożliwiały uzyskanie niezależności. Według Aleksandra Wallisa z miastem mamy do czynienia wówczas, gdy istnieje społecznie wykształcone centrum, prestiżowo-funkcjonalne zróżnicowanie architektury, silne zróżnicowanie „przestrzeni społecznej” przy dużych możliwościach jej dalszego rozwoju oraz gdy są spełnione ponadlokalne funkcje w stosunku do określonego terytorium. Te cztery czynniki są najistotniejsze, natomiast wszystkie

odwołania do odmiennego od wsi charakteru zajęć, zabudowy itp. mogą być kwestionowane.

Geografia historyczna rozróżnia kilka typów przestrzennych wsi. W dawnej Polsce były to zwykle tzw. rzędówki lub ulicówki, rozlokowane wzdłuż drogi, czego wymagały względy ekonomiczne – dostawa produktów i zwożenie plonów z pól. Od XVIII wieku przybyło sporo wsi o rozproszonej zabudowie, co wiązało się z nową kolonizacją, a potem parcelacją majątków szlacheckich. W przeciwieństwie do wsi zabudowa miejska była dośrodkowa, a mury wznoszono w celach obrony – w wypadku niebezpieczeństwa chroniła się za nie także ludność ze wsi i z podgrodzi. Te ostatnie rozwijały się szybko tam, gdzie miasta spełniały ważne funkcje handlowe. Centralnym (w sensie społecznym i przestrzennym) miejscem był prostokątny zwykle plac, przekształcający się w targ w dni jarmarczne i targowe. Przy głównym placu przeważnie mieściły się kościół i ratusz. W miastach, dla których wzorce praw i zabudowy przychodziły z Niemiec (a więc też w miastach polskich), z każdego rogu placu wychodziły pod kątem prostym dwie ulice i cała sieć uliczna była oparta na tej zasadzie, oczywiście o ile układ terenu na to pozwalał. Bramy miejskie z reguły witały przybyszów z czterech stron świata.

Miasta były budowane według jednego generalnego wzoru, ale jakże się od siebie różniły – w każdym można było odkryć coś szczególnego, a niektóre budowle, na przykład kościoły, były wynikiem rywalizacji, kto wzniesie najwspanialszą Świątynię Pańską. Dość długo przetrwały ulice, którym charakter i nazwy nadawały albo wykonywane zawody: Garbarska, Piekarska, Szewska, Rybaki, Rymarska itd., albo wyznania – w Tarnowie do dziś jest ulica Żydowska (na szczęście nie zmieniono jej nazwy).

Nieprzypadkowe było usytuowanie miejsc, wyznaczających różne dziedziny życia – ratusza (i pręgierzal), kościoła, targów, jatek, sądu. Kamienice wokół placu, zwanego prawie zawsze Rynkiem, były zwykle najokazalsze i te, które się zachowały do dziś, przechowują w swych murach historię najznamienitszych, choć bynajmniej nie szlacheckich rodów. Dzięki architekturze dowiadujemy się wiele o ludziach: liczba okien na jednym piętrze świadczyła o stopniu zamożności właścicieli (grunt miejski był drogi, taniej było budować wznwyż niż wszertz), zewnętrzne dekoracje – symbole, płaskorzeźby, freski i napisy – informowały o ich zawodach. W XIX wieku wskaźnikiem zamożności było zajmowanie mieszkania na określonym poziomie: najdroższe było pierwsze piętro, coraz tańsze piętra wyższe, aż do poddasza, na którym gnieździła się służba, studenci, pomocnicze modystek i szwaczek. Najbiedniejsi zajmowali sutereny. Miejski pejzaż nie zawsze jest piękny, ale zawsze można z niego odczytać niezwykle wiele o życiu i jednostek, i zbiorowości.

Od XIX wieku rynek tracił swe funkcje, bo targi przenoszone były w dogodniejsze komunikacyjnie miejsca (zwłaszcza kiedy miasto uzyskiwało połączenie kolejowe), władze budowały odpowiednie dla swych zadań siedziby, a stare instytucje życia publicznego, jak pręgierz i dyby, zostały zniesione. Ale za to pojawiły się nowe formy życia codziennego: urozmaicone sklepy, a potem duże domy towarowe, restauracje i kawiarnie. Ludzie o duchu przedsiębiorczości zauważyli, że oglądanie i kupowanie dostarcza przyjemności, i zaczęli robić wszystko, by coraz więcej przyjemności dostarczać. Już w XIX wieku karierę zaczęły robić wielkie domy handlowe, takie jak uwieczniony przez Emila Zolę i opisany przez historyków

Bon Marché w Paryżu. Można tam było przechadzać się i oglądać towary nie kupując ich, i to właśnie ścigało tłumy różnorodnej, nie tylko bogatej klienteli.

Na ziemiach polskich zmiany urbanistyczne były dość powolne w porównaniu z tymi, które w połowie XIX wieku przeżywał Paryż, a później Berlin czy Budapeszt, ale nie odbiegały od kierunku zmian w przeciętnym europejskim mieście. Przede wszystkim nieporozumieniem jest pisanie o kapitalistycznej urbanizacji jako destruktywnej dla miast; w rzeczywistości zabudowa nie była wcale chaotyczna, ulice wytyczano „pod linijkę”, narzucano normy wysokości budowli i użytych materiałów oraz wymagano utrzymywania porządku, dlatego nowe miasta miały przeważnie bardzo regularny układ, jak Łódź czy górnicze osiedla. Warunki sanitarne były uzależnione od stanu techniki, a gdy pojawiły się nowe urządzenia – od budżetu; na ziemiach polskich większość małych miast pozostawała więc zaniedbana, ale życie w nowych miastach lub osiedlach przemysłowych było znośniejsze od życia w wegetujących starych miasteczkach. Przyzwoity zewnętrzny widok miasta sprzyjał wytwarzaniu się poczucia dumy (w Anglii mówiono o civic pride mieszkańców Leeds, Manchesteru i innych ośrodków przemysłowych, uważanych niegdyś za straszne miejsca) i więzi z miastem. Duże znaczenie miała budowa linii kolejowych, jakkolwiek otwarciu stacji kolejowej nie można przypisywać magicznej roli ożywiciela handlu i rzemiosła. Brak połączenia kolejowego był wszakże mankamentem, i już na początku XX wieku rzadko można było spotkać prosperującą miejscowość oddaloną od drogi żelaznej.

124

W okresie przedindustrialnym w miastach na ogół nie było zróżnicowanych klasowo dzielnic; wprawdzie patrycjat zajmował kamienice w środku, przy rynku, a biedota w domach przybudowanych do murów miejskich, ale rynek z jego wielorakimi funkcjami przyciągał wszystkich. Niemniej jednak dość długo, nawet do schyłku XIX wieku, można obserwować skłonność do osiedlania się w mieście według innego klucza, a mianowicie swój ciągnął do swego, tworzyły się więc skupiska zawodowe lub przybyszów z jednej okolicy. Jak pisze Ziółkowski, ludzie przybywający do miast, by się tam osiedlić, chcieli odtworzyć sąsiedztwo i wzory wiejskie. Była to solidarność słabszych albo „solidarność pionierska” – konsolidacja następowała poprzez wspólne podwórko, lokalny ośrodek rozrywki, poprzez wspólne zabawy dzieci. Nie wpływało to jednak na wyraźne wyodrębnianie się dzielnic burżuazyjnej, proletariackiej itd. Nawet w Łodzi, która jest przykładem jednego z najbardziej dynamicznych miast w skali nie tylko polskiej, ale i europejskiej, pałace przemysłowców stały się integralną częścią pejzażu miasta fabrycznego i nie było wyodrębnionej dzielnicy rezydencjalnej, podobnie zresztą jak w wielu miastach zachodnioeuropejskich i amerykańskich u progu uprzemysłowienia. Pierwszą wyraźnie zaznaczoną dzielnicą (początkowo – przedmieściem) stały się biedne i kryminogenne Bałuty.

Nie wszystkie miasta o zwartej i pięknej architekturze są interesujące i ożywione, możemy też znaleźć udane oraz zupełnie nieudane przykłady twórczości poczętej w gabinetach fantastów, reformatorów i utopistów. W Polsce w XVI i XVII wieku można odnotować kilka płodów fanaberii magnatów, którzy wznosili nowe miasta lub siedziby (na przykład Ujazd) według własnych pomysłów i planów artystów mało

orientujących się w realiach życia, co wprowadzało zamieszanie w tradycyjnej strukturze przestrzennej. Przykładem może być Zamość: główne ulice schodziły się przed pałacem, który chciano wyeksponować, a który zamykał naturalny ruch ludzi i towarów. Rynek nie mógł więc spełniać swojej funkcji gospodarczej. Zamość jest przykładem pięknej renesansowej zabudowy, ale miastem „bez ducha”; dziś robi wrażenie atrapy, wzniesionej specjalnie dla turystów. Jakże ciekawiej jest w Nowym Sączu, Tarnowie czy Kazimierzu.

Największe chyba miasto z góry zaplanowane to Petersburg. Uchodzi on za jedno z najpiękniejszych miast Europy, za Wenecję Północy. Nie ulega wątpliwości, że wiele uroku miały (już nie mają, bo domy popadły w ruinę) ulice nad kanałami, mosty, pomniki. Ale przecież ktoś, kto widział oba porównywane miasta – Petersburg i Wenecję, a jest wrażliwy i umie napawać się miejską atmosferą, dostrzeże natychmiast różnice. Wenecja – mimo zagrożeń – ciągle żyje, jest ciepła nie tylko z powodu klimatu. Petersburg ma architekturę zimną, niekiedy przerażającą. Inne niż w Europie Zachodniej są proporcje budynków; dziwaczny jest choćby przysadzisty budynek Admiralicji z wysokim szpicem (podobnie dziwaczny jest ratusz w Białymstoku, mieście silnie zaznaczonym architektonicznymi i zdobniczymi wpływami ze wschodu). Szerokość Newskiego Prospektu jest niewspółmierna do wysokości domów, zaś plac przed Pałacem Zimowym – to wielkie pole manewrów dla wojska, a nie plac miejski. Już de Custine w swych słynnych *Listach z Rosji* zauważył, że miasto przypomina koszary i zbudowane jest z punktu widzenia potrzeb militarynych: przemarszu wojsk, manewrów i parad. Ratowała je дума i miłość

mieszkańców do niego, ale nie udało to zapobiec zniszczeniu bocznych – w stosunku do Newskiego – ulic i kamienic. W latach osiemdziesiątych XX wieku niebezpiecznie było się zapuszczać w te ulice, gdzie straszły pustymi oczodołami podparte belkami fasady dawnych domów, których już nie było. Miasto wymierało, bo po pracy ludzie je opuszczali, by jechać kilkadziesiąt kilometrów metrem i autobusami do nowych dzielnic, złożonych z monotonnych, tandetnych bloków.

W dziewiętnastowiecznych pomysłach naprawy społeczeństwa reformatorzy planowali rozwój oświaty, instytucji opiekuńczych i dyscyplinujących, idealne państwa, pałacowe fabryki, doskonałe więzienia i miasta-ogrody. W połowie XIX wieku wokół Londynu miały powstać nowe zielone osiedla, zaś po I wojnie światowej zakładanie ich przewidywano w planie regionalnym Nowego Jorku. Jeden z architektów angielskich marzył o „zniesieniu miast” i zastąpieniu ich wzorowymi osadami. Przyjmuje się, że twórcą koncepcji miasta-ogrodu był Sir Ebenezer Howard, ale już w 1845 r., czyli na 5 lat przed urodzeniem Howarda, idea ta została rzucona przez jednego z londyńskich architektów. W okresie międzywojennym w Stanach Zjednoczonych powstawały osiedla wyłącznie mieszkaniowe, z własnym układem ulic, dla których podstawą była tzw. jednostka sąsiedzka: taka grupa ludności, by mogła ją obsłużyć jedna szkoła. To były na ogół idee bez następstw; po II wojnie światowej odżyły takie pomysły – tu i ówdzie (Paryż, Sztokholm) wcielano je w życie, ale życie szło swoimi torami i po pewnym czasie zaplanowane socjalne osiedla traciły swój pierwotny charakter, a instytucje służące ogółowi ulegały degradacji. Więcej powodzenia miało budownictwo komunalne domów przeznaczonych dla uboższej ludności w różnych

dzielnicach, przeważnie na obrzeżach miast, w których czynsze za mieszkania były umiarkowane – przykładem mogą być paryskie „aszelemy” (HLM – *habitation de location modérée*), budowane już od końca XIX wieku, czy wznoszone w latach dwudziestych XX wieku budynki mieszkalne w Wiedniu.

W ostatnim półwieczu w wielkich miastach świata obserwuje się tendencję do powstawania gett – obszarów biedy i specyficznej subkultury. Przestrzenna struktura społeczna miast jest dynamiczna, np. w miastach amerykańskich powtarza się w zasadzie ta sama historia: elita przenosi się do rezydencji poza centrum, do zielonych i zadbanych najatrakcyjniejszych dzielnic, takich jak Westmont w Montrealu. Kiedy do dzielnicy solidnych domów napływają stosunkowo zamożni, ale kolorowi ludzie, wtedy *upper middle class* wynosi się w inne rejony. Występują przy tym silne skłonności do tworzenia dzielnic narodowościowych lub wyznaniowych. Rejon zamieszkały pierwotnie przez Żydów i przez nich opuszczany zostaje zajęty przez Włochów, na ich miejsce przybywają imigranci z Ameryki Łacińskiej, potem Polacy lub przybysze z Azji, wreszcie czarna biedota i margines społeczny. Następuje też przesuwanie się stref niebezpiecznych – *Criminal Areas*. W Nowym Jorku taką strefą stał się Harlem, potem degradacji uległ mieszczański i stateczny Bronx, a Green Point i niektóre inne dzielnice Brooklynu z czasem zyskały gorszą sławę niż Harlem. Obecnie podobne przesunięcia widać w rozwiniętych krajach Europy. Dewastacja starszych dzielnic, jakiej nigdy przedtem nie można było zaobserwować, w drugiej połowie XX wieku dokonuje się w sposób dramatyczny. Z lat pięćdziesiątych XX wieku pochodzą sensacyjne zdjęcia wysadzania w powietrze dużych, solidnych domów mieszkalnych w San Francisco, nadających się do

remontu, ale zamieszkanym przez ludność, z którą władze miasta i policja nie mogły sobie poradzić.

W Królestwie Polskim w pierwszej połowie XIX wieku rząd wyłożył dużo pieniędzy na klasycystyczne budowle przemysłowe i osady dla personelu oraz robotników w Zagłębiu Staropolskim; do dziś przetrwały ich ślady w Nietulisku i Sielpi. Pod koniec XIX wieku w Warszawie z fundacji rodziny Wawelbergów zbudowano kilka domów na Czerniakowie i na Woli, o umiarkowanych czynszach, a względnie dobrych warunkach w porównaniu z tymi, w jakich żyła zwykle ludność robotnicza. W tym jednak wypadku, podobnie jak przy zakładaniu kolonii robotniczych w Zagłębiu Dąbrowskim, w Ostrowcu Świętokrzyskim czy w Warszawie, zamierzenia były skromniejsze i bardziej praktyczne, przyniosły one więc autentyczną poprawę warunków życia pewnej części ludności. W okresie niepodległości (1918-1939) pomysły reformatorsko-budowlane próbowali realizować działacze Polskiego Towarzystwa Reformy Mieszkaniowej i Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej, którym przyświecał cel „wyrównania krzywd społecznych”. W rzeczywistości na akcji WSM skorzystały głównie średnie grupy społeczne, przede wszystkim inteligentkie: nauczyciele, urzędnicy. Zmiany ustrojowe po II wojnie światowej także sprzyjały koncepcjom „wyrównywania społecznego” i budowie osiedli. W planach ekonomicznych zakładano, że co najmniej 75% wszystkich oddawanych do użytku izb będzie w domach osiedlowych, a faktycznie było to niemal 100%.

Miasta stale zmieniają swe oblicze, choć po II wojnie światowej objawiła się tendencja do zachowania czegoś z tradycji: zaczęto restaurować zniszczone dzielnice, a w Warszawie i Gdańsku nawet budować „zabytki”. Pobudki były tyleż sentymentalne, co polityczne. Akcję

taką obserwuje się w Berlinie, gdzie do normalnego życia zaczęto przywracać Kreuzberg, w Toronto i w wielu innych miastach. W ramach polityki „wyrównywania społecznego” próbuje się przywrócić do życia Soho i Harlem. Przekroczenie pewnego progu zagęszczenia ludności może okazać się katastrofalne, choć niektóre metropolie starają się zaradzać złu, jakie niesie przeludnienie; o dziwo, lepiej radzą z tym sobie Amerykanie w Nowym Jorku niż Francuzi w Paryżu, który ostatnio balansuje na krawędzi katastrofy, to znaczy utraty autentycznego życia miejskiego i tego „wszystkiego, co przez kilka stuleci stanowiło o jego wyjątkowości. Trudno przecenić znaczenie zmian gospodarczych ostatnich dwóch stuleci w historii miast; można też powiedzieć, że ilość przechodzi w jakość – życie wielomilionowych metropolii musi być inne niż miasta stutysięcznego. Jaka jest jednak granica zaludnienia, po przekroczeniu której miasto musi stracić swój dotychczasowy charakter?

129

Jakkolwiek trzeba być ostrożnym z operowaniem liczbami, to przecież dane statystyczne są zbyt wymowne, by je pominąć. Na początku XIX wieku maksymalny udział miast w zaludnieniu świata wynosił około 20%, w Prusach było to ponad 25% (1816 r.), w Wielkiej Brytanii 17% (1801 r.), w Stanach Zjednoczonych 3,8% itd. Po stu latach, w 1920 r., w Niemczech, Stanach Zjednoczonych, Belgii i Kanadzie ludność miejska stanowiła ponad 50% ogółu mieszkańców, w Wielkiej Brytanii 80%, we Francji ponad 46%. Między 1920 a 1960 r. nastąpiła gwałtowna urbanizacja Japonii i Rosji. Jeśli przyjmiemy ujednoczone kryteria statystyczne i do ludności miejskiej zaliczymy tylko tę, która żyła w osiedlach o liczbie ponad 5 tys. mieszkańców, to w Europie około 1800 r. jej udział w ogólnym zaludnieniu wynosił zaledwie 12,3%, zaś w

1910 r. – 36%, z tym że w Zjednoczonym Królestwie było to 69%, w Ameryce Północnej 41%, w Europie kontynentalnej 36%. Przeciętnie w całej Europie (bez Rosji) udział ludności miejskiej w ogólnym zaludnieniu wzrósł z 12% w 1800 r. (przy czym uważa się, że tak samo było wiek wcześniej) do 41% w 1910 r., do 51% w 1950 r. i 67% w 1980 r. Dane o ziemiach polskich w czasach rozbiorowych są mało porównywalne, ponieważ stosowano rozmaite kryteria statystyczne. W 1921 r. w Polsce mieszkańcy miast stanowili 24,6% ogółu ludności, w 1995 r. – 61,8%.

Stale wzrasta rola miast wielkich. Na początku XIX wieku w Europie były 24 miasta o liczbie ludności przekraczającej 100 tys. (a doliczając Amerykę Północną – 28) i tylko Londyn był miastem milionowym. W 1850 r. liczba ta podwoiła się (było 38 miast ponad 100-tysięcznych, 58 razem z Ameryką), w 1900 r. wynosiła 142 (lub 195 z Ameryką), a 10 lat później – już 185, w tym 8 miast powyżej 1 mln mieszkańców. Udział ludności miast dużych (powyżej 100 tys.) w zaludnieniu wynosił w 1800 r. w Europie niecałe 3%, sto lat później – w 1900 r. – 12,3%, a po pół wieku – w 1950 r. – prawie 22%. Dziś kilkanaście miast świata ma ludność przekraczającą 10 mln: w mieście Meksyk żyje 15,3 mln mieszkańców, zaś w zespole miejskim – 20,2 mln, w Seulu – 10,9 lub 16,3 mln, jeśli liczyć cały zespół miejski, w Sao Paulo odpowiednio 9,4 mln lub 15,2 mln. Do takich kolosów zaliczamy też Kair, Szanghaj, Bombaj, Tokio, Buenos Aires, Kalkutę i najmniejszy z nich – Pekin, gdzie w zespole miejskim żyje 10,5 mln ludzi, zaś w centrum – ponad 7 mln. Ludność zespołu nowojorskiego w 1980 r. przekroczyła 16 mln, Los Angeles – 10 mln. Ludność Londynu sięga już 10 mln, do tej liczby zbliża się Paryż. W Polsce w 1921 r. miasta ponad 100-tysięczne skupiały niecałe 8% mieszkańców kraju, obecnie (1995 r.)

proporcja ta wynosi 30,1%.

Informacje o ludności miast w Polsce są szczególnie niepewne, a ich porównywalność – problematyczna. Badacze (dawniej Stefan Szulc, ostatnio – Irena Gieysztorowa) włożyli wiele wysiłku w krytyczną analizę materiałów źródłowych i poprawianie danych, ciągle jeszcze przytaczanych w rozmaitych opracowaniach. Poza sprawą kryteriów zaliczania ludności do miejskiej w różnych zaborach, mankamentem jest brak systematycznych notowań, a w Królestwie Polskim biurokracyzm, mający swe źródło w policyjnym systemie nadzoru – mianowicie do mieszkańców zaliczano tylko tych, którzy urodzili się w danym miejscu (i wobec tego byli wpisani do ksiąg ludności), niezależnie od tego, czy w nim przebywali, czy już na stałe odeszli lub emigrowali. Nie liczono przybyszów nie wpisanych do ksiąg, choćby mieli odpowiednie dokumenty umożliwiające podróżowanie i osiedlanie się, gdzie chcieli. Dopiero na przełomie XIX i XX wieku Warszawski Komitet Statystyczny wprowadził rozróżnienie ludności stałej obecnej i nieobecnej oraz ludności niestałej, trzeba jednak samemu obliczać ludność rzeczywistą dla każdej miejscowości z osobna.

Na początku XIX wieku (około 1820 r.) najgęściej zaludnioną prowincją dawnej Polski była Galicja (ponad 52 mieszkańców na 1 km²), w Wielkim Księstwie Poznańskim i w Królestwie Polskim gęstość zaludnienia była mała (37 i około 36 mieszkańców na 1 km²). Przed I wojną światową w dalszym ciągu najludniejsza była Galicja (104 osoby na 1 km²), ale na drugie miejsce wysunęło się Królestwo Polskie z gęstością zaludnienia 97 na 1 km². Wielkie Księstwo Poznańskie miało tylko 73 osoby na 1 km². Po uzyskaniu niepodległości, według spisu z 1921 r. gęstość zaludnienia kraju na skutek strat wojennych i przesunięcia granic wynosiła

70 mieszkańców na 1 km², zaś tuż przed II wojną światową – 90 mieszkańców na 1 km². Było to bardzo dużo w porównaniu ze średnią europejską, wyrażającą się liczbą 47. Jest też charakterystyczne, że najgęściej zaludnione były obszary uprzemysłowione, rejony dużych miast (Warszawy, Krakowa), ale także rolnicze i ubogie obszary centralnej i południowo-wschodniej Polski.

Zdziwienie może budzić duża liczba miejscowości uznawanych za miasta, jakkolwiek już od schyłku XVIII wieku zaborcy odbierali prawa najmniejszym z nich: w Galicji w latach 1780-1807 liczba miast zmniejszyła się w ten sposób o 35%, podobne degradacje nastąpiły w Wielkopolsce w latach 1796-1806 i wreszcie w Królestwie Polskim po powstaniu styczniowym, o czym już była mowa. Jak małe znaczenie miały takie miasteczka, świadczy fakt, że ludność miejska przez półtora wieku (aż do rozbiorów) stanowiła około 15% ogółu ludności Korony, gdy tymczasem te proporcje wynosiły w Prusach 27%, we Francji – 30%, w Anglii – 40%. W XIX wieku na skutek wspomnianych zmian administracyjnych, powstań i emigracji udział mieszkańców miast w ogólnym zaludnieniu początkowo spadał. Dane dla różnych zaborów z okresu między 1860 a 1870 r. pokazują, że udział ten w Królestwie Polskim wynosił 16%, w Wielkim Księstwie Poznańskim – 28%. Ale już po 1870 r. zaczął się szybki i nieprzerwany wzrost liczby ludności miast, którego oficjalne statystyki nie uwzględniają należycie. Kryzys agrarny lat 1877-1885 spowodował falę emigracji ze wsi i gwałtowny napływ ludności do miast, tak że w 1910 r. ludność miejska Królestwa Polskiego stanowiła co najmniej do 33% ogółu ludności, Górnego Śląska - 58% (Niemcy w tym czasie miały 55% ludności miejskiej). Mniejsze tempo obserwujemy w Wielkopolsce, gdzie udział ludności miejskiej wyniósł 28% (według innych danych – do

33,2%), i Galicji – poniżej 20%. W 1921 r. mieszkańcy miast Rzeczypospolitej stanowili zaledwie 24% ogółu ludności i odsetek ten zwiększył się do 1930 r. nieznacznie, bo do 30%. Nawet w najlepiej uprzemysłowionych województwach zachodnich i centralnych wskaźnik maksymalny sięgał tylko 33%, a więc był nieporównanie mniejszy niż w krajach rozwiniętych (w Anglii – 80%, w Niemczech – 79%) lub nawet średnio uprzemysłowionych, jak Czechosłowacja (65%) czy Węgry (48%).

W połowie XIX wieku na terytorium dzisiejszego państwa polskiego było 26 miast z liczbą ponad 10 tys. mieszkańców, z czego 18 miało ich od 10 do 20 tys. W 1900 r. takich miast było już 120, co stanowi 461% stanu sprzed pół wieku, a w 1939 r. – 219. II wojna była katastrofą: liczba większych miast (ponad 10 tys. mieszkańców) spadła do 142 w 1946 r., jeśli zaś wziąć pod uwagę te, w których było powyżej 20 tys. mieszkańców, to zaludnienie zmniejszyło się w ciągu wojny o ponad 80%, gdy tymczasem przeciętne straty ludnościowe kraju szacować można na 32%. Jakkolwiek po II wojnie Polska utraciła wschodnie tereny rolnicze, do 1946 r. obserwujemy nieznaczny tylko wzrost odsetka ludności miast w porównaniu z 1938 r. – do 31,8%. Urbanizacja nastąpiła w latach pięćdziesiątych, w okresie intensywnej industrializacji; w 1997 r. udział ludności miejskiej w ogólnym zaludnieniu kraju wyniósł 61,9%.

Do około 1870 r. Warszawa była rzeczywiście jedynym dużym ośrodkiem Królestwa Polskiego i dopiero po kryzysie spowodowanym powstaniem styczniowym, pod wpływem uprzemysłowienia, szybko zaczęły się rozwijać Łódź, Częstochowa, Lublin, Białystok, osada Sosnowiec (miasto od 1902 r.). W latach 1815-1865 w Warszawie mieszkało 17% ludności miast Królestwa, siedmiokrotnie więcej niż w Łodzi – drugim mieście po

Warszawie pod względem wielkości. „Wszystko skupia się w stolicy”, która nadaje ton i modę – pisał wówczas o Warszawie Kazimierz Wójcicki. Pod koniec XIX wieku w Warszawie było ponad 600 tys. mieszkańców, a przed I wojną światową – 845 tys., ale jeśli doliczyć podwarszawskie gminy Czyste, Bródno, Mokotów, Młociny, które już stawały się dzielnicami miasta, to liczba ludności wynosiła co najmniej 1 mln 40 tys. i po około 40 tys. w dwóch gminach: Grodzisk i Żyrardów. Rozwój Łodzi był najbardziej dynamiczny i ludność jej ze 125 tys. w 1890 r. wzrosła do 510 tys. w przededniu I wojny światowej. Poza tym większymi miastami (powyżej 50 tys. mieszkańców) zaboru rosyjskiego były Wilno i Grodno, Kalisz, Będzin i Włocławek.

Największe miasto zaboru pruskiego – Poznań – miało przed I wojną światową 157 tys. mieszkańców, a więc niewiele więcej niż Sosnowiec (114 tys.) i mniej niż Wrocław, Szczecin, czy Gdańsk. W zaborze austriackim początkowo największy był Lwów (128 tys. w 1890 r.), ale wyprzedził go Kraków, którego liczba mieszkańców wzrosła z 67,5 tys. w 1880 r. do 174,2 tys. w 1910 r. Poza tym większych miast było kilka – Nowy Sącz, Tarnów i Przemyśl, ale tylko w Przemyślu zaludnienie przekroczyło 50 tys. W 1921 r. tylko w trzech miastach całej Rzeczypospolitej było ponad 200 tys. mieszkańców, a w 1931 r. – w pięciu, co dawało najpierw 6%, potem 8,1% całej ludności miejskiej. Największym skupiskiem była Warszawa – miasto blisko milionowe i Łódź, o połowę mniejsza. Najliczniejszą grupę stanowiły miasta o zaludnieniu między 10 a 50 tys. Obecnie (stan na koniec 1996 r.) jest 10 miast z ludnością powyżej 300 tys., wśród których największa jest Warszawa (około 1 mln 600 tys.), za nią plasują się Łódź (818 tys.), Kraków (741 tys.), Wrocław (641 tys.) i Poznań (581 tys.). Ludność pozostałych pięciu miast

(Gdańsk, Szczecin, Katowice, Bydgoszcz i Lublin) zamyka się w granicach 300-500 tys. Gdybyśmy jednak wzięli pod uwagę miejskie konurbacje, to z pewnością najbardziej zurbanizowanym i zaludnionym miejscem jest zespół miast górnośląskich, między którymi granice można zobaczyć tylko na planach, bo nie w rzeczywistości.

Socjologia miast zna kilka modeli rozwoju przestrzennego. Jednym z nich może być wspomniane już wchłanianie przez istniejące od dawna miasto osiedli podmiejskich, co można obserwować w pewnym okresie na przykładzie większości miast europejskich. Inny model polega na powstawaniu nowych ośrodków w niewielkiej odległości od siebie i stopniowym wypełnianiu przestrzeni między nimi. Chicagowska „szkoła ekologiczna” (*Human Ecology*), podparta także badaniami europejskimi, sformułowała teorię stref koncentrycznych, do których należą: 1 – centrum administracyjne i handlowo-usługowe, 2 – strefa przejściowa (*Transit Area* albo *Area of Deterioration*), z drobnym handlem, rzemiosłem, ale i ze slumsami, 3 – strefa domów robotniczych, 4 – strefa mieszkalna warstw zamożnych, 5 – strefa dojeżdżających (*Commuters*). Zauważono, że nowi przybysze ze wsi mieli tendencję do osiedlania się najpierw w centrum lub jak najbliższej centrum, w tanich hotelach i domach czynszowych, zaś po ustabilizowaniu sytuacji życiowej przenosili się do przemieść, w których zachowany był jeszcze rolniczy tryb życia. Strefy przejściowe były i są najbardziej narażone na przestępczość, zwłaszcza nieletnich, prostytutkę, włóczęgostwo (bezdomność), tu też bywa wiele samobójstw.

Nieco zmodyfikowaną wersję przedstawia tzw. teoria sektorów: przemysłowego, położonego w centrum lub wzdłuż linii kolejowej, objętego wycinkowym i

sukcesywnym przesuwaniem się osiadłości w formie stref koncentrycznych, oraz sektora elitarnych rezydencji. Ten ostatni położony był najpierw w pobliżu skupisk handlu detalicznego i biurowo-usługowych, potem lokował się wzdłuż linii komunikacyjnych, by wreszcie przesunąć się w okolice atrakcyjne krajobrazowo. Krytycy obu tych teorii zwracali uwagę na liczne odstępstwa, choćby utrzymywanie się elit w tradycyjnych miejscach prestiżowych (Beacon Hill w Bostonie), a także na rolę transportu samochodowego, który ostatecznie podkopał rolę dawnego centrum. Warto wspomnieć też o modelu wieloośrodkowym (Multiple Nuclei), który daje się zastosować między innymi do Zagłębia Dąbrowskiego i – po II wojnie światowej – Śląsko-Dąbrowskiego.

W XX wieku w rozwijających się terytorialnie europejskich, w tym także i polskich, miastach o średniowiecznej metryce centrum traciło znaczenie prestiżowe, jeśli modernizacja budynków mieszkalnych była zbyt kosztowna. Zaczęto zwracać uwagę na czynniki ekologiczne: zielen, rozleglejszy widok, dobre powietrze; także urzędy przenoszono do nowych siedzib, bo dawne były nieodpowiednie w stosunku do nowych zadań administracji i wzrastającej liczby petentów. Opuszczane i podupadłe domy zajmowała ludność uboższa i „starówki”, z ich ciasnymi uliczkami i mrocznymi zaułkami, stawały się – od Paryża po Moskwę – dzielnicami biedy i występku. Szansa renesansu pojawia się wtedy, gdy wysiłki miłośników sztuki, wspierane przez nostalgię za starzyzną ludzi zmęczonych nowoczesną architekturą, znajdują źródła finansowe w środowisku przedsiębiorców i kasach municypalnych. Okazuje się bowiem, że tzw. rewaloryzacja może być niezłym źródłem dochodów, bo nawet takie sztuczne „stare miasta” przyciągają turystów, co sprawdziło się w Warszawie i Gdańsku, w Toronto i Montrealu, gdzie na

użytek gości powstało nawet teatralne (i w gruncie rzeczy jarmarczne) Chinatown.

Model rozwoju współczesnego miasta północnoamerykańskiego polega na degradacji starego centrum, obok którego wyrasta nowe – *downtown* o architektonicznie i społecznie odmiennym charakterze: nie ma w nim domów mieszkalnych, są natomiast biura, luksusowe sklepy, podziemne zwykle stacje kolejowe (po raz pierwszy kolej wkroczyła do centrum miasta w XIX wieku w Londynie), wielkie hotele, muzea, teatry, restauracje. Tutaj nie mieszka się, tu uprawia się politykę i prowadzi interesy. Centrum ma więc wysokie dochody. W metropoliach system jest „koncentrycznie zdecentralizowany” – życiodajne centrum otaczają formalnie samodzielne, a przecież faktycznie zależne od *downtown* miasta. Im wyższą pozycję zawodową mają ich mieszkańcy w centrum, tym większe płacą podatki na rzecz swego miasta – rezydencji. Podobną, ale nieco odmienną drogą powstawania wielkiego okręgu metropolitalnego jest wchłanianie miast przyległych przez jedno największe lub zlewanie się ze sobą kilku, kilkunastu, a czasem nawet kilkuset miast i miasteczek, które początkowo miały charakter satelitarny, a obecnie nie można zauważyć, kiedy się zaczynają i kończą. Przykładem może być aglomeracja Bostonu czy miasta nadreńskie. Często przytaczany jest przykład Mannheim (pisze o nim m.in. Mariusz Janicki w 37 numerze „Polityki” z 1998 r.), leżącego praktycznie w trzech landach, co nie przeszkadza istnieniu silnej więzi miejskiej i wspólnym interesom, silniejszym od partykularyzmów poszczególnych dzielnic, oddzielnie administrowanych. Jak pisze Janicki, zarządzanie wielkimi aglomeracjami miejskimi stało się wyzwaniem cywilizacyjnym; dawno już stanęło ono

przed aglomeracją górnośląsko-dąbrowiecką, gdzie najwcześniej w historii tej części Europy można było obserwować tworzenie się konurbacji.

Obecne tendencje urbanistyczne wskazują, że ważnymi ośrodkami życia miejskiego stają się dworce kolejowe oraz wielkie centra handlowe. Dzięki systemowi kolei podziemnej dworce kolejowe wkroczyły do centrum miast i obrastają w sklepy, kawiarnie, restauracje, punkty informacji turystycznej itd. Na dworcu każdej niemal stolicy europejskiej jest zwykle biuro podróży, oddział banku, poczta, otwarty stale duży sklep. Tutaj zbiegają się linie komunikacji miejskiej i zamiejskowej, stąd dojeżdża się na lotnisko. Zaczyna się dbać o czystość i bezpieczeństwo, dlatego dworce tracą stopniowo charakter nieprzyjemnego i budzącego obawy miejsca, które przyciąga margines społeczny i ludzi przeprowadzających podejrzaną transakcję. Wielkie centra handlowe, nawet jeśli położone są na peryferiach miasta lub już poza jego obrębem, stały się nie tylko miejscem, w którym w soboty i niedziele cała rodzina może zaopatrzyć się we wszystko na dłuższy czas, ale przede wszystkim wielkim parkiem rozrywki, miejscem spacerów, sposobem na spędzanie wolnego czasu dla osób, których nie stać na bardziej wyszukane rozrywki. Próby przywrócenia pełnego niedzielnego wypoczynku dla wszystkich, mimo autorytetu papieskiego, nie znajdują pozytywnego odzewu nawet wśród katolików. Jest to jednym z najlepszych dowodów na to, jak kształtuje się masowa kultura i jak ona sama zmienia funkcje rozmaitych instytucji miejskich.

Choć więc trudno wyobrazić sobie życie w takich kolosach, jak Nowy Jork czy Toronto, staje się ono możliwe, a nawet wygodne, ba – luksusowe, dzięki rozszerzaniu się technicznych usług. Niemniej jednak istnieje zagrożenie, o którym raz przypomniał sobie Nowy

Jork, kiedy został pogrążony w ciemnościach z powodu awarii elektryczności. Przy takim przeludnieniu świata bez nowoczesnej techniki życie byłoby niemożliwe, nastąpiło więc ogromne uzależnienie od techniki; większa awaria grozi paraliżem życia. Miliony mieszkańców zależą od jednego systemu wodociągowego, od jednego gigantycznego źródła energii elektrycznej. Urządzenia komunalne, jak system nerwowy, stanowią skomplikowaną sieć uzależnionych od siebie nitek. Jak daleko może się posuwać wzrost liczby ludności metropolii, jak daleko może sięgać jej ekspansja, jakie napięcie wytrzyma ów miejski system nerwowy?

Warszawa jest przykładem negatywnym: zaprzepaszczono wszystkie szanse i nie sprostano wyzwaniom cywilizacyjnym, o których była mowa. To, że nie wiemy, gdzie zaczyna się lub kończy miasto, nie jest cechą szczególną, bo kształtowanie się regionu metropolitalnego nieuchronnie do tego prowadzi. Jednakże w samym mieście co chwila można natknąć się na kawałek wsi (tak też jest w innych miastach, na przykład w Białymstoku) lub na pole *slumsów*. Bałagan urbanistyczny jest proporcjonalny do niezwykłego spiętrzenia władz, rozbudowy pseudosamorządu i wysokości zarobków jego przedstawicieli. W marcu 1999 r. wybuchła „afery” z wypowiedzią Odpowiedzialnego Urzędnika na temat Warszawy; chamska publiczna wypowiedź nie przystoi Urzędnikowi, zwłaszcza na Odpowiedzialnym i Wysokim Stanowisku. Tym bardziej przykro, że tak naprawdę miał on rację: Warszawa jest miastem brzydkim, a wzniesione przy ulicy Puławskiej centrum bankowe zepsuło jeden z nielicznych ładnych widoków otwierających się z ulic Belwederskiej i Spacerowej.

VII. Obraz życia miejskiego sto lat temu – czasy obrzydliwe, ale nie straszne

„Na próżno, wielkoduszny Chanie, próbowałbym ci opisać miasto Zairę o wysokich basztach. Mógłbym powiedzieć, ile stopni liczą strome ulice układane w schody, jak są sklepione łuki podcieni i jakie blachy cynkowe pokrywają dachy; ale wiem, że byłoby to tak, jakbym ci nic nie powiedział. Nie z tego składa się miasto, lecz ze stosunków między wymiarami jego przestrzeni a wydarzeniami z jego przeszłości [...] Tą falą, płynącą ze wspomnień, miasto nasycy się jak gąbka i rozszerza. Opis dzisiejszej Zairy powinien obejmować całą przeszłość Zairy. Ale miasto nie opowiada swojej przeszłości, zachowuje ją, jak linie dłoni, wpisaną w narożniki ulic, w kraty okienne, poręcze schodów, druty piorunochronów, drzewca chorągwi, a każdy segment jest poznaczony z kolei własnymi zadrapaniami, rysami, uderzeniami i nacięciami” (Calvino, 9-10)

140

Jak można żyć w zgiełku miejskim? Tym pytaniem został zamknięty poprzedni rozdział, ale nie będę szukała na nie odpowiedzi. Chcę przedstawić, jak żyło się w polskich miastach i miasteczkach na przełomie XIX i XX wieku, kiedy proces modernizacji gospodarczej, z jego różnorodnymi skutkami, był już widoczny i nieodwracalny, niezależnie od stopnia opóźnienia wobec Zachodu. Nie będzie to systematyczny zarys stosunków w mieście i życia miejskiego, lecz parę obrazków, które rzadko zajmują strony monografii poświęconych miastom. Dlatego właśnie, że historiografia dotycząca miast w Polsce jest na ogół dość schematyczna, trudno o systematyczny opis –

trzeba ograniczyć się do paru szkiców. Przeszłość, o której piszę, nie znikła bez śladu; jej elementy tkwią w dzisiejszych stosunkach, w murach miast, w instytucjach, obyczajach. Nie zdajemy sobie sprawy z tego, że znajomość przeszłości może nam pomóc w uchwyceniu ulotnej teraźniejszości, czegoś, przy czym w naszej niefrasobliwości nie zatrzymujemy się, a kiedy to umknie w przeszłość, pozostawia żal, że nie byliśmy zbyt uważni.

Miasto – powtórzmy – to konstrukcja myślowa; ale każde konkretne miasto jest niepowtarzalnym zespołem rzeczy i ludzi. Aby dostrzec, co łączy, a co dzieli różne miasta, trzeba analizować ich historię, ale nie ograniczoną do danych demograficznych, opisu nadań prawnych i rozwoju przestrzennego oraz architektury czy informacji o urodzonych tu Ważnych Osobach, o szczególnych wydarzeniach – oblężeniu, epidemii lub przejeździe króla. Socjologiczne podejście traktuje historię jako fazę ewolucji społecznej; historyk tradycyjny zatrzymuje się nad konkretnymi faktami, rejestruje je i porządkuje. Historyk o zamiłowaniu socjologa nastawi się na śledzenie różnych miast, by dojść do zaproponowania genezy „miasta typowego” lub do typologii miast i procesów społecznych. Szuka on odpowiedzi na następujące pytanie: jakie są źródła napływu ludności, jaka jest proporcja między przyrostem naturalnym a imigracją, czy osiedlanie się w mieście powodowane jest interesem ekonomicznym lub etnicznym czy rasowym, sentymentem czy powołaniem, jak silna jest fluktuacja ludności – ilu ludzi opuszcza miasto i z jakiego powodu, czy w mieście są strefy segregacji ludności, jaki jest model rodziny, ile osób ma własny dom, ile jest hoteli i jakiego typu, ile osób odwiedza miasto i kim są, jak liczne są grupy bezdomnych, włóczęgów, Cyganów, jaki typ

sąsiedztwa wytwarza się w dzielnicy, na ulicy, w kamienicy, jak kształtują się ceny w stosunku do przeciętnych w kraju. Wydawcy przewodników po miastach zauważyli, jak dużą rolę odgrywa informacja o targach, restauracjach i kawiarniach, które należy odwiedzić ze względu na ich stałych bywalców, o rynku kwiatowym czy o parku rozrywki. Badacza interesuje także tzw. cykl kryzysowy – częstotliwość i przyczyny występowania przemocy, strajków, panik, i to, czy mają wymiar lokalny czy szerszy.

Na ziemiach polskich na przełomie XIX i XX wieku w dużych miastach imigracja przeważała nad wychodzeniem i nad przyrostem naturalnym. Lekarze warszawscy zauważyli spopularyzowanie antykoncepcji, prowadzące do zmniejszenia rozrodczości. W Królestwie Polskim wyjątkowym zjawiskiem był napływ Żydów z tzw. guberni zachodnich Cesarstwa Rosyjskiego, objętych zakazem osadnictwa żydowskiego. Przybysze nie znali języka polskiego, mówili tylko w jidysz i po rosyjsku. Zamożniejsi jechali do Warszawy, ubodzy pozostawali na Suwalszczyźnie, w Łomżyńskim i Siedleckim – w miasteczkach tego regionu udział ludności starozakonnej wśród mieszkańców pod koniec XIX wieku wyniósł od 80 do 96%. Między tymi imigrantami, nazywanymi „Litwakami”, a Polakami oraz dawno osiadłą ludnością żydowską szybko wytworzył się konflikt. Wszędzie w Europie pod koniec XIX wieku zaostrzyły się objawy antysemityzmu; w Królestwie Polskim obecność „Litwaków” dolewała jeszcze oliwy do ognia.

Największy był napływ do miast przemysłowych, co nie zawsze uwidoczniło się w statystyce, ponieważ przybysze zatrzymywali się w rozmaitych noclegowniach lub na przedmieściach wchłanianych przez miasto. W niektórych miastach przebywało wielu

gości – osób przyjezdnych, przedsiębiorców prowadzących interesy, uczących się, a także osób żądnych rozrywki. Warszawa stała się ulubionym miejscem pobytu bogatych kupców rosyjskich, którzy uważali, że mogą tu zabawić się tanio i dobrze – w Europie Wschodniej było to miasto o bodaj największej liczbie restauracji, knajp, piwiarni i burdeli. Niektóre okolice podmiejskie, łęgi i nieużytki nadrzeczne służyły jako koczowiska Cyganów, traktowanych nieufnie i zabobonnie. W Warszawie Cyganie rozpraszali się wśród barwnego tłumu rozmaitych obcych przybyszów – Ormian, Greków, Azjatów, Kozaków. Źródłowo potwierdzona wysoka przestępczość Cyganów była nie tylko wynikiem ich trybu życia, ale także stygmatyzacji i nasilonej obserwacji. W zasadzie w polskich miastach nie było wyraźnych stref segregacji ludności. Były tzw. lepsze ulice, ale nie dzielnice: na tyłach posesji położonych przy eleganckiej ulicy gnieździła się często biedota. Wyraźnie odrębny charakter miały ulice zamieszkałe przez Żydów oraz dzielnice podmiejskie, do których władze wyrzucały niepożądaną ludność. Także okolice niektórych targowisk zyskiwały sobie złą sławę.

Na początku lat osiemdziesiątych XIX wieku w miastach panowała drożyzna mieszkaniowa, dotkliwa zwłaszcza w szybko rozwijających się regionach: w Poznaniu, Krakowie, Warszawie i przede wszystkim – w miastach i osadach Zagłębia Dąbrowskiego. W małych miastach większość rodzin mieszkała we własnych domach i domkach, nie różniących się niczym od najuboższej wiejskiej zabudowy. Mimo nieustannych akcji policyjnych, mających na celu usuwanie bezdomnych poza miasto, gnieździli się oni w starych fortach, w zaroślach nad brzegami rzek, w nieczynnych fabryczkach i składach. Zimą znajdowano

zamarzniętych na śmierć. Polski wyrobnik żywił się dwa razy dziennie tanim, razowym, kwaśnym chlebem, popijał kwartą siwuchy, czyli okowity – źle destylowanej, toksycznej wódki o mocy około 70°. Raz na tydzień jadał ciepłą strawę, przeważnie zupę okraszoną skwarkami lub talerz omaszczonej kaszy. Przy tym trybie życia przypadki zamarznięcia musiały być częste.

W dużych miastach podstawowym miejscem kontaktów była kamienica. Pierwsze znajomości nawiązywały bawiące się na podwórku dzieci. Bardzo ważną instytucją był stróż – osoba budząca strach, zwłaszcza u dzieci, ale też integrująca mieszkańców i bardzo jej potrzebna. Wszędzie „ciecia” otaczała atmosfera podszytego lękiem szacunku, a także niechęci, bo w zaborze rosyjskim władze obarczyły stróżów funkcjami wywiadowczymi – mieli obowiązek systematycznego składania żandarmom informacji o lokatorach, a zwłaszcza o gościach i innych pojawiających się na terenie posesji obcych osobach. Mieszkańcy zaopatrywali się w tych samych lokalnych sklepikach; spełniały więc one funkcję punktów obserwacji i informacji, z których korzystała i ludność, i policja. Zajmowany lokal, piętro, na którym był położony, strój, posiadanie służby, miejsce nauki dzieci – wszystko to było zewnętrznym objawem różnicowania społecznego. Stratyfikacja była wyraźna, ale miało to – paradoksalnie – także integracyjną rolę, ponieważ jedni wiedzieli szybko coś o drugich, życie nie było tak ujednoczone, a tym samym wyprane z cech indywidualnych, jak w dzisiejszych blokach, zamieszkałych przez podobnie ubranych, tak samo zachowujących się lokatorów identycznych mieszkań.

W małych miastach więzy uliczne były ważniejsze, bowiem dużo rodzin miało swe oddzielne domy. Mieszkańcy rozpoznawali się bez trudu – obcy nie mógł

przejsć nie zauważony. Miejscem rozrywki i zdobywania informacji dla kobiet były sklepiki, dla mężczyzn – karczmy, dla wszystkich – kościół. Panował tu do dziś widoczny porządek: kobiety zasiadały w ławkach po lewej stronie, mężczyźni – po prawej, młodszy mężczyźni pozostawali na zewnątrz. Ewolucja zwyczaju polegała na tym, że do stojących koło kościoła dołączają teraz dziewczyny. Na ławkach przed domami przesiadywali starzy ludzie, obserwując niezbyt wartki nurt miasteczkowego życia. W straży pożarnej urządzano potańcówki, a w dużych miastach były „tancbody”. Jedną z ulubionych form rozrywki, upowszechnianej też przez partie polityczne (nawet te działające w warunkach konspiracji), były majówki. Jak Paryż miał swój Lasek Buloński, a Wiedeń – Grinzing, Kraków – Błonia, tak Warszawa miała Lasek Bielański, w którym już od XVII wieku odbywały się zabawy warszawiaków¹. Pod koniec XIX wieku w lasku bawił się „lud”, któremu przyglądali się przedstawiciele klasy średniej – właściciele niedużych zakładów, lepsi rękodzielnicy, właściciele sklepów, urzędnicy. W miarę rozwoju środków transportu – omnibusów i statków wiślanych – Bielany odwiedzała coraz uboższa ludność. Na początku XX wieku na Bielanaach królowało już drobnomieszczactwo:

„Znany majster Kopyto
 Wali dryndą zakrytą,
 A w niej jadło, napoje.
 Zaś przejażdżki cel główny
 Ten, by panny majstrówny
 Pokazały swe stroje”².

¹ W.L. Karwacki, *Zabawy na Bielanaach*, Warszawa: PWN, 1978.

² Tamże, s. 83.

Ujazdów był miejscem przejażdżek dla warstw wyższych oraz zabaw na karuzelach i huśtawkach dla spółośstwa, które mogło raczyć się tutaj wódką i kiebasą. Klasa śrędna zaczęła gustować w nowych rozrywkach – urzędnicy, kupcy, subiekci, trochę lepiej oświeceni i zamożni rzemieślnicy stawali się członkami stowarzyszeń sportowych. Ich rozwój nastąpił w latach siedemdziesiątych XIX wieku w Szwajcarii i stąd moda powędrowała do Niemiec, a potem do innych krajów. Pierwsze na ziemiach polskich było Towarzystwo Tatrzańskie, założone w 1873 r. (zatwierdzone w 1877 r.), w 1906 r. powstało Polskie Towarzystwo Krajoznawcze. W 1882 r. zostało założone Warszawskie Towarzystwo Wioślarskie, do którego zapisało się ponad 670 osób, a nowi członkowie przybywali w następnych latach. Potem powstały kolejno Warszawskie Towarzystwo Cyklistów (1886), Towarzystwo Wyścigów Konnych (1891), Warszawskie Towarzystwo Łyżwiarskie (1893), Warszawskie Towarzystwo Myśliwskie (1894). Podobne kluby sportowe rozwinęły się w Krakowie i w miastach przemysłowych, na przykład w Widzewie (Towarzystwo Miłośników Rozwoju Fizycznego, 1910). Miejscem spotkań były renomowane kawiarnie, gdzie można było poczytać gazety. Mieszczañstwo lubiło teatr, publiczność szybko zdobywały kabarety, które na początku XX wieku stały się modną instytucją życia kulturalnego i towarzyskiego. Gdybyśmy chcieli pokazać ewolucję rozrywki w miastach, wskazując miejsce najbardziej charakterystyczne dla poszczególnych epok, to dla czasów od Kongresu Wiedeńskiego do powstania styczniowego byłaby to kawiarnia, dla schyłku XIX wieku – lasek i klub, dla początku XX wieku – kabaret, dla okresu między 1930 a 1970 – kino, zaś dla schyłku XX stulecia – supermarket.

Pod koniec XIX wieku widoczne były ogólne

tendencje zmian urbanizacyjnych, wskazane w poprzednim rozdziale. Podupadło warszawskie Stare Miasto, skupisko drobnego rzemiosła, małych knajp, kawiarni i piwiarni. Kurczył się tutejszy handel, wynieśli się rybacy, rzemiosło cierpiało konkurencję przemysłu i dużych, eleganckich zakładów na Nowym Świecie, Krakowskim Przedmieściu i coraz bardziej ożywionej Marszałkowskiej. Ubogie pozostawało Nowe Miasto, gdzie wieczorami walczyły o klientów prostytutki. Warszawa elegancka była na Nowym Świecie i Krakowskim Przedmieściu (ale i tu pełno było kramów i handlu „z ręki”), „ubrana w świecidełka na Miodowej, poważna na Lesznie” (mieszkało tu sporo protestantów), „kobietka w miejscach publicznego zebrania” – tam, gdzie był *tingel-tangel* lub deptak, handlowa w miejscach osadnictwa żydowskiego³. Na przełomie XIX i XX wieku zaczęto wznosić ładne i wygodne domy nawet na znanym z biedy Powiślu. Dość długo zachowała odrębność Praga, która do czasu budowy kolei terespolskiej w 1865 r. pozostawała uboga i zaniedbana, potem jednak uległa wyraźnemu ożywieniu. O nowych dzielnicach – Woli i Ochocie – pisano jako o proletariackich, ale w rzeczywistości i tu skład mieszkańców był dość heterogeniczny, czemu odpowiadała zróżnicowana zabudowa.

W Krakowie Rynek Główny był ośrodkiem życia, zarówno w sensie kulturalnym, jak i gospodarczym. Najlepsze kamienice należały do arystokracji i bogatych mieszczan, czemu nie przeszkadzało, że na Rynku odbywał się drobny handel kramarski, pełno było bud i straganów, handlowano starzyzną. Gawiedź gromadziła się w małych knajpach i miodosytniach, a przekupki rozgrzewały się w „szynkach kawowych”. W

³ „Gazeta Codzienna” 1857/58, nr 143, s. 4.

Lublinie, według dziennikarza „Gazety Codziennej”, można było wyróżnić pewne „punkta zborne”, gdzie gromadziła się na zabawy ludowe „niższa warstwa społeczna”, ale na podstawie opisów miasta trudno poza tym dostrzec wyraźniejsze zróżnicowanie społeczne dzielnic. Niektóre miasta rozwijały się dzięki jakiejś specyficznej instytucji lub działalności. W jednych był to przemysł włókienniczy, w innych tradycyjnie uprawiane rękodzieło – tak na przykład Brzeziny były miastem krawców-chałupników, „Litwaków” osiedlających się tutaj w latach 1890-1896, którzy z białostockich tkanin szyli odzież na zbył do Rosji. Ludność Brzezin między 1897 a 1914 r. wzrosła o jedną trzecią. Jeśli taka działalność przynosiła dochody, miasto wkrótce obrastało w sklepy, zakłady innych branż, restauracje, hotele i kantory bankowe; w ten sposób miasta okręgu łódzkiego i Zagłębia Dąbrowskiego traciły swój monoprzemysłowy charakter. Miasto mogło prosperować, jeśli było punktem przemytu lub miastem garnizonowym (wtedy było w nim szczególnie dużo prostytucji i knajp).

148

Częstochowa swój dynamiczny rozwój zawdzięczała pielgrzymkom i uprzemysłowieniu. Mimo niechęci władz liczba pielgrzymów była duża i szacowano ją na 266 tys. w 1887 r., a w kolejnych latach – 313, 368 i 389 tys. Pielgrzymki były szansą dla drobnych kupców i rzemieślników. Ożywienie panowało w ważnych miejscach kultu starozakonnych, choć nie było ani jednego ośrodka, z Berdyczowem włącznie, który dorósłby do rangi Częstochowy. Góra Kalwaria była siedzibą cadyka, który czynił cuda, tutaj oraz w Radzyminie i Sochaczewie odbywały się zjazdy chasydzkie, ale handel i rzemiosło miały wąski, lokalny zasięg. Ludność żydowska staczała się na bardzo niskie ekonomicznie i społecznie pozycje, a mimo to prasa

polska biła na alarm z powodu rzekomego zagrożenia Polaków przez żydowską przedsiębiorczość. Tylko Klemens Junosza Szaniawski nie miał wątpliwości, że Żydzi „żyją nędznie”, to „postacie chude, wynędzniałe i głodne, żyjące z tego wiatru, co wieje, goniące za groszem, zdobywające go skąd się da, bez względu na źródło, byle zatkać zgłodniałe usta, napchać pusty żołądek”. Nie należy wierzyć, pisał, że są bogaczami, że są obdarzeni szczególnym sprytem i wyjątkowymi zdolnościami do interesów. Badania nad ludnością miast i miasteczek, jej materialnymi warunkami życia, całkowicie to potwierdzają. Przykładem, jak słabi okazali się Żydzi wobec handlowej ekspansji polskiego chłopca na początku XX wieku, może być całkowite wyparcie ich z targów w Ostrołęce i okolicy. Nawet w znajdującej się pod endeckimi wpływami prasie lokalnej można znaleźć wyznanie, że polski chłop okazał się nadzwyczajną pazerną.

W Warszawie Nalewki były miastem w mieście; dzielnica obejmowała ulice Burakowską, Ciasną, Dzielną, Dziką, Franciszkańską, Gęsią, Karmelicką, Miłą, Muranowską, Nalewki i Nowolipki, Smoczą, Stawki. Prawie wyłącznie mieszkali tu starozakonni – środowisko wewnętrznie silnie zróżnicowane, zwłaszcza od czasu imigracji „Litwaków”. Na Nalewkach kupcy mieszkali obok sklepów, rzemieślnicy pracowali w swych mieszkaniach. Tu powoli zaczął się skupiać cały handel żydowski, obecny przedtem i w innych częściach miasta. „Ktoś nazwał Nalewki «kieszenią Warszawy». Określenie jednostronne. Jest to raczej olbrzymie laboratorium, wytwarzające i pochłaniające pieniądze, targowica na towary dozwolone i zakazane, mrowisko poprzecinane mnóstwem krętych drożyn, chowające w swym łonie milion obok ostatniego steku nędzy i uczciwą pracę obok wszelkich łotrstw, a

zawsze pełne ożywienia, wrące gorączkowym, przyśpieszonym ruchem [...] Takiego tłumu pędzącego na zabój, gestykulującego i rozprawiającego głośno, zaczepiającego się wzajem, obrabiającego interesy na trotuarze, gorączkowego, nie tracącego ani chwili czasu, nie znajdziesz nigdzie indziej w Warszawie [...] Środkiem biegną z głośnymi dzwonekami tramwaje, jadą dorożki, turkoczą ciężkie, ładowne wozy [...] A same domy... Nie spostrzeżesz na nich ani jednego łokcia wolnego muru: wszędzie szyldy. Na parterze sklepy, na piętrach składy – i tak dalej, aż do poddasza [...] Domy mają specjalny charakter i fizjonomię. Brudne i obdarte, ale pakowne. Kilka podwórz, cały labirynt oficyn, jakieś pochylone domki, rodzaj stajenek – to wszystko mieści kilka tysięcy nieraz osób [...] Czego zresztą nie znaleźć na Nalewkach? Są tu i fabryki i składy i kantory i hotele i restauracje. Jest tu i ludność przyjezdna, specjalna, o długich kędzierzawych brodach, twarzach wschodnich, zapachu cebuli i długich chałatach, przedsiębiorcza, robiąca interesy na tysiące, przybyła z Odessy, Tyflisu [...] Ale zawsze z Nalewkami tysiącem węzłów związana, mówiąca ich językiem [...] A co się jeszcze kryje wewnątrz, pod tym mrowiskiem, w suterrenach, na poddaszach [...] Kto wie..."⁴.

Koloryt dzielnic świetnie oddaje literatura dotycząca Londynu, dzięki książkom autorów takich jak Charles Booth, Asa Briggs, Kellow Chesney i oczywiście Karol Dickens. Londyn wiktoriański, a zwłaszcza dawna część miasta położona na północ od Tamizy, tworzył półkole, w którym rozległe centrum stanowiło City. Charles Booth opisał Wschodni Londyn, z siedmioma

⁴ H. Nagiel, *Tajemnice Nalewek*, Warszawa 1926, t. I, s. 3-5; sugestywny opis życia na Nalewkach jest także w znakomitej książce Bernarda Singera *Moje Nalewki*, Warszawa 1959.

dystryktami i parafiami, gdzie w końcu XIX wieku żyło ponad 900 tys. mieszkańców. Bootha interesował zwłaszcza kwadrat położony między Tamizą, Hoxton i Kingsland Road: De Beauvoir Town, Hackney, Victoria Park i Stepney. Cały ten rejon był mocno zdewastowany, choć mieszkała tu nie tylko biedota, ale też robotnicy i rzemieślnicy: producenci artykułów spożywczych, cygar, piekarze, piwowarzy, handlarze rybami – ludzie *very honourable*, o „dobrym charakterze i wielce inteligentni”. W Whitechapel było wielu Żydów: krawców, szewców i robotników fabryk tabaczknych, Benthall Green i Shoreditch znane były z obróbki drewna, Poplar zamieszkiwało wielu niższych urzędników. Booth podzielił mieszkańców na osiem kategorii, z których najniższą była klasa wyrobników bez stałej pracy, próżniaków i marginesu (*semi-criminals*), najwyższa – zamożna klasa średnia.

„Każdy dystrykt miał swój własny charakter – swoisty zapach. Można sobie to uświadomić na ulicach. To mogą być twarze ludzi, albo sposób ich zachowania się, może wrażenie jest wywołane przeważającym tu handlem, albo może to być związane z dźwiękami, jakie się słyszy, albo z wyglądem budynków”; zwłaszcza okolice Petticoat Lane w soboty stawały się osobliwością Londynu. Była tu „mieszanina dziwnych widoków, dziwnych dźwięków, dziwnych zapachów. Ulice tak tłumne, że aż nie do przebycia, wzdłuż nich potrójne rzędy ulicznych handlarzy, szybko wykorzystujących opróżniane skrzynki na niby-kramy targowe”; sprzedawano tu wszystko: „bawełnianą bieliznę, amerykańskie tkaniny dekoracyjne, stare ubrania, zużyte obuwie, popsute lampy, poszczerbione porcelanowe pasteczki, zardzewiałe zamki i klucze i inne rupiecie nie do opisania”. Wszystko to musiało na pierwszy rzut oka nieźle wyglądać, by nabywca mógł

żyć złudzenie, że robi dobry interes, bo wszystko można naprawić i wykorzystać. Oferowano także przysmaki – ryby, warzywa i owoce, cudaczne pieczywo. Sprzedawcami byli przeważnie Żydzi, zaś kupującymi – czcigodni (*gentle*); Petticoat Lane była rynkiem Żydów i świetlicą chrześcijan. Koło Great Eastern Station znajdował się „targ fantazji”: handlowano gołębiami, kanarkami, królikami, papugami, morskimi świnkami, rybkami, a także informacjami o psach biorących udział w wyścigach. Między Middlesex Street i Brick Lane znajdowały się tanie hoteliki o wątpliwej reputacji i domy czynszowe. Na przełomie XIX i XX wieku zaczęły się zmiany na skutek budowy linii kolejowej, która „wyczyściła” część dzielnicy, wzniesiono także nowe zabudowania Izby Pracy.

Kiedy badacz gromadzi źródła z przełomu XIX i XX wieku, może na ich podstawie – w zależności od nastroju – odmalować ciemny obraz życia lub dość optymistyczny. Jak napisał Józef Dąbrowski (Grabiec) we wspomnieniach *Czerwona Warszawa przed ćwierć wiekiem*, okres schyłku XIX i początków XX wieku był wstrętny, ale nie straszny: przeciętnie inteligentny człowiek mógł poradzić sobie i ze stójkowym, i z żandarmem. Czasy były uważane za wstrętne, bo wydawało się, że wszyscy godzą się z brakiem niepodległości, demoralizację szerzyła Ochrana, panowała korupcja, dokonywano na ulicach napadów i rozpraw nożowych, wśród ludzi politycznie zaangażowanych toczyły się kłótnie, które w 1906 r. doprowadziły do walk bratobójczych. Wzrastał się ruch strajkowy i dochodziło do jego pacyfikacji przy użyciu wojska. W dodatku państwa zachodnie miały wiele innych kłopotów na głowie i przestały się zajmować polskimi problemami. Czasy nie były straszne, bo następował stopniowy rozkład despotycznych form

rządzenia, bo – właśnie – panowała korupcja i można było sobie wszystko kupić: i zesłanie na Sybir w trybie administracyjnym (chroniło ono przed śledztwem i skazaniem na gorsze kary, a powrót był zagwarantowany po trzech latach przebywania praktycznie na wolności), i papiery umożliwiające poruszanie się po kraju i wyjazd poza granice, Żydzi mogli sobie kupić miejsce w gimnazjum (istniał *numerus clausus*), a przekupki na bazarze – spokój.

Nie ulega wątpliwości, że ewolucja materialnych warunków życia w miastach w XX wieku – jeśli pominiemy okres wojen i powstania warszawskiego – szła w korzystnym kierunku. Technika sprawiała jednak, że pogłębiły się różnice między wielkomiejskim życiem i życiem w małych miasteczkach, choćby dlatego, że do 1918 r. nie było w nich w ogóle elektryczności. Z małych miasteczek młodzież uciekała – pozostawały one brudne, błotniste, z odrapanymi domami; duże były wybrukowane, oświetlone, skanalizowane, dbano w nich o czystość – zupełnie odwrotnie niż obecnie. W dwudziestoleciu międzywojennym wystąpiły też wyraźniej tendencje do separowania się społecznie odmiennych grup ludności – wyrastały dzielnice willowe lub takie jak na Żoliborzu, budowane przez Warszawską Spółdzielnię Mieszkaniową dla „białych kołnierzyków”. Bernard Singer pisał, że tworząca się inteligencja żydowska wynosiła się z żydowskich dzielnic miast, zakładała własne stowarzyszenia, nie chcąc przestawać z biedotą, nie mogąc zasymilować się z Polakami – chrześcijanami. O dystansie między katolikami a protestantami pisał Tadeusz Stegner.

W XIX wieku nie było lokalnego czasopisma, w którym nie można by znaleźć artykułów pełnych utyskiwań z powodu „apatii”, „marazmu”, „jałowości życia umysłowego” miast i miasteczek w Królestwie

154

Polskim i w Galicji. Zarówno „mieszczanie”, jak i „miejszcowa inteligencja” na prowincji (także w dworach szlacheckich) trwonili czas na gry w karty, podtrzymywali klasowe przesady, odwoływali się do przeszłości nie idąc „z duchem czasów” itd. Trzymali się z dala od działalności społecznej. Badania nad czytelnictwem książek nie dają budującego przykładu zainteresowań mieszczańskich. W świetnych, choć rzadko wykorzystywanych pracach o księgarzach i wydawcach Marian Lech przyjrzał się księgozbiorom warszawskiego mieszczaństwa. 77% kupców żydowskich miało wyłącznie książki nabożne w jidysz, tylko najbogatsi mieli po parę książek w innych językach. U pozostałego bogatego mieszczaństwa można było znaleźć książki historyczne i popularne naukowe – zwłaszcza u Niemców, bo u Polaków przeważały rodzime wiersze i opowiadania. Poza tym nawet dość obfite księgozbiory składały się z książek o nikłej wartości: uproszczonych broszur religijnych, poradników, jak się bawić, pisemek na temat mody i biografii królów. Jeśli rzemieślnicy mieli książki, były to prawie wyłącznie żywoty świętych, książki do nabożeństwa i kalendarze. Były wszakże i mniejsze miasta, w których starano się podtrzymać życie kulturalne – działały biblioteki, organizowane były koncerty i przedstawienia teatralne. Takie wysiłki ożywiania atmosfery podejmowali kielczanie i kaliszanie, mieszkańcy Łomży, Suwałk czy Ostrowa Wielkopolskiego. Czy jednak była to działalność mieszczańska? Jak świadczą badania regionalne, nie można na to dać twierdzącej odpowiedzi.

Kiedy porównujemy życie w miastach i miasteczkach obecnie i przed stu laty, najbardziej pesymistycznie nastroja obserwacja warunków bezpieczeństwa osobistego. Potrzeba bezpieczeństwa

jest jedną z najsilniejszych ludzkich potrzeb. Edward Mishan zalicza bezpieczeństwo do składników dobrego życia – bez poczucia bezpieczeństwa ludzie nie mogą być szczęśliwi. Różne mogą być ludzkie dążenia, ale na pewno jest wśród nich chęć spotkania się z odwzajemnieniem pozytywnych emocji, społecznego uznania, nowych doświadczeń (zaspokojenia ciekawości) oraz bezpieczeństwa. Jeśli nawet statystyka przestępczości nie potwierdza alarmistycznych opinii, to rosnące poczucie zagrożenia jest faktem społecznym, „choćby było nieadekwatne do rzeczywistości. „Nie trzeba bowiem wielu przypadków napadów na ulicach, by podważyć zaufanie do ludzi i w ten sposób, z biegiem czasu, zniszczyć tradycyjne formy właściwego zachowania, uprzejmości i gościnności, będące najprzedniejszym owocem cywilizacji. Gdy się uważa, iż zaufanie do obcych jest postawą, która się rozwija powoli i tylko wtedy, gdy się ona utwali, ludzie mogą korzystać z powabów cywilizacji – błądzić swobodnie po ulicach i parkach bez obawy przed napaścią, wymieniać ze wszystkimi pozdrowienia, udzielać wszystkim gościnności bez obawy przed jej nadużyciem – gdy się rozmyśla nad wpływem atmosfery ciepła społecznego i uczucia bezpieczeństwa na nasze dobre samopoczucie, to wtedy i tylko wtedy można właściwie ocenić niegodziwość przestępstw polegających na przemocy” – pisał Mishan⁵.

Obniżenie się standardu życia w jakiejś dzielnicy lub pojawienie się w jej obrębie slumsów oznaczało zwykle nieuchronną, stopniową degradację i powstanie *Criminal Area*, w której życie pociągało za sobą stygmatyzację: nadzór policyjny był bardziej brutalny, a represje karne szybciej wymierzane i surowsze.

⁵ E. Mishan, *Spór o wzrost gospodarczy*, Warszawa 1986, s. 167.

Zaczynało się błędne koło: ludzie popełniali przestępstwa, więc byli karani, z tego powodu trudniej było im o pracę i popadali w biedę, która popychała do kradzieży i wyladowywania frustracji itd. Znane to jest zwłaszcza na kontynencie amerykańskim. W czasie kongresu kryminologicznego w Bostonie w 1995 r. wyżsi funkcjonariusze opowiadali, że najbardziej niebezpieczna jest interwencja w spory rodzinne, a te zdarzają się nagminnie w dzielnicach biedy. W ostatnim ćwierćwieczu XIX wieku w nowojorskiej dzielnicy slumsów było wiele bójek, okrutnych zabójstw, panował brud i szerzyły się choroby. Śmiertelność dzieci szacowano nawet na 68% (choć liczba ta wydaje się wyolbrzymiona). W 1882 r. wykryto tu zwłoki 155 zabitych dzieci poniżej 5. roku życia.

Dla współczesnych dużych miast amerykańskich charakterystyczne jest wyludnianie się centrum, nawet jeśli mieszczą się w nim wszystkie biurowce, banki i eleganckie sklepy: na przykład centrum Baltimore staje się puste po zakończeniu pracy i z pobliskich zdegradowanych części miasta wkraczają agresywni czarni. W Bostonie niewidoczna, lecz wyczuwalna linia przebiega nieraz w skos ulicy i nie jest wskazane jej przekraczanie, zwłaszcza po zmroku. Uniwersytet w Chicago jest wyspą w morzu agresji, brudu i zaniedbania, do której można tylko dojechać – iść na piechotę nie należy. Rozwijane od początku lat sześćdziesiątych i ciągle intensyfikowane programy pomocy i wyrównywania szans okazały się nieskuteczne, a zdaniem obserwatorów zbliżonych do kręgów konserwatywnych mają nawet negatywny skutek: pogłębiają przepaść dzielącą *Criminal Areas* i pozostałe dzielnice. Tworzą się zamknięte getta, których ludność ma trzy cechy: jest chronicznie bezrobotna, nawet jeśli jest popyt na ręce do pracy,

korzysta stale i „dziedzicznie” z pomocy socjalnej oraz każda rodzina ma kogoś, kto systematycznie wchodzi w konflikt z prawem.

Znakomity opis socjologiczny dzielnicy biedy i przestępczości znajdujemy w pracach Oscara Louisa, który swymi badaniami objął *Casa Grande* – duży dom w biednej, gęsto zaludnionej dzielnicy Mexico City. Choć dzielnica ta położona była w centrum, przylegała do miejsca kultu i pielgrzymek – kościoła Najświętszej Marii Panny z Guadalupe oraz katedry, a także do rezydencji administracyjnych – pałacu prezydenta, stanowiła świat szczególny. Znajdował się tu największy targ starzyzną, zwany „łódziejskim rynkiem”, nasilone były zjawiska morderstw, pijaństwa, a wspomniany dom określano jako „prawdziwe gniazdo rozbójników”. Pod koniec lat pięćdziesiątych sytuacja nieco się poprawiła, ale zło tylko się przesunęło nad przebiegający nieco dalej kanał. W tym miejscu ulice nie były oświetlone i ludzie bali się chodzić po zmroku. Jedna z dziewcząt zwierzała się ze swego przerażenia, gdy musiała tamtędy wracać z pracy: „Docierałam wreszcie do domu, odmówiwszy wszystkie znane sobie modlitwy, z duszą na ramieniu i oczyma, które mi ledwo z orbit nie wyskoczyły, tak się wpatrywałam w ciemność”.

Nie jest to przecież zjawisko nowe; w Londynie Dickensa (czyli mniej więcej między 1820 a 1870 r.) najbardziej ponure były miejsca położone na prawym brzegu Tamizy, między Tower Bridge Road a Rotherhithe i Southwark Park, szczególnie zaś w okolicach Dockhead, gdzie znajdowała się odnoga rzeki nazywana wówczas Fosą Szaleńców, Mill Lane i „Wyspa Jakuba”, dziś Jacob Street. Nieco później, w Londynie Bootha, ubóstwo i niebezpieczeństwo gnieździło się ciągle blisko centrum miasta, na ulicach

okalających City, ale dystrykt St. George-in-the East był najbardziej zdegradowanym miejscem. „Inne dystrykty mają swój urok lub inne zalety nie stłumione przez ubóstwo i brud, przez występki i nawet zbrodnię, a nawet im właściwe – tu scierają się przeciwieństwa, człowiek z człowiekiem, ludzie ze swym przeznaczeniem, są interesującym polem walki, spletem losów ludzkich tak fascynującym jak oglądanie nurtu rzeki, z którą życie jest tak często związane [...] to podniecenie życiem, które może zgodzić się na morderstwo jako na dramatyczny wypadek i pijaństwo jako przejściową błazenadę, jest szczególnie charakterystyczne dla Whitechapel. Patrząc nań w ten sposób – co to za teatr dramatyczny!”⁶. Po II wojnie światowej „złymi dzielnicami” Londynu stały się jego północne rejony, dawne przedmieścia, jak również osiedla podmiejskie ciągnące się w dół Tamizy. Dzielnice proletariackie miast przemysłowych stawały się niebezpieczne na skutek lichej zabudowy szybko popadającej w ruinę, stłoczenia zabudowy tak, że tworzyły się zaułki, wąskie pasáže, liczne podwórka. Ludność miejscowa używała różnych skrótów i przejść. W Leeds domy wciskały się na zaplecza wielkich zakładów przemysłowych, między tory dla pociągów towarowych, łączące składy z głównymi liniami, hałas panował więc nawet nocą. Zieleń tu była cherlawa, place stanowiły klepiska i wysypiska śmieci. Mieszkańcy traktowali swą dzielnicę „jako sieć osad plemiennych”, między którymi toczyły się nieustanne waśnie, więc Prince Consort Street była w stanie wojny z Pitt Street, co powodowało regularnie – przeważnie w soboty – staczane bójki.

⁶ *Charles Booth's London*, ed. A. Fried and R.M. Elman, London 1969, s. 19.

Na antypodach Europy znajdowała się Moskwa, jedno z barwniejszych i ciekawszych miast, o niepowtarzalnym charakterze. W okresie największych przemian ustrojowych i gospodarczych, w końcu XIX wieku, Moskwa składała się niejako z kilku oddzielnych miasteczek lub wsi, z rezydencji, i miała nie jedno centrum, ale kilka, przeważnie położonych w pobliżu dworców kolejowych. We właściwym centrum – w pobliżu Kremla – następowała ewolucja handlu, od *ławki* (straganu), poprzez *magazin* (lepszy sklep) do *pasaża*. W Moskwie Azja mieszała się z Europą, zewnętrzne oznaki despotyzmu z samowolą i niezależnością przybyszów ze stepów. Zdziwiającym efektem rozwoju kapitalizmu i urbanizacji była przez około pięćdziesięciu lat – między 1870 a 1925 r. – Chitrowka, po której dziś już nie zostało śladu. Zanim stała się miejską dżunglą, w połowie XIX wieku męty społeczne ścigały do miejsc targowych, do Kitaj-Goroda i na Tołkuczij Rynok („targ złodziejski”), na którym kwitł handel starą odzieżą. W drugiej połowie XIX wieku targi starzyzną stopniowo oddalały się od centrum, ale ciągle prosperowały i były tłumnie odwiedzane przez ubogich przybyszów ze wsi, którzy osiadali na peryferiach miasta. To peryferie – Bogorolskie, za rogatkami Dragomirowskimi, na Worobiowskich Górkach – były nadzwyczaj niebezpieczne, tu gnieździli się przestępcy pochodzący z rozmaitych guberni.

Nazwa „Chitrowka” pochodziła stąd, że w pierwszej połowie XIX wieku teren między bulwarem Jamskim i Pokrowskim (tzw. Wolne Miejsce) oraz dwa domy należały do majora Mikołaja Chitrowa. Domy zostały sprzedane; najpierw był tu Dom Podrzutków, potem nabył go inżynier Romejko, a Wolne Miejsce

kupiło miasto z przeznaczeniem na targowisko. Dom Romejki stał się domem noclegowym. Obok, w dzielnicy Miasnickiej, na rogu zaułka Piewczewskiego i Solianki, właścicielem domu w 1824 r. został radca stanu i kolekcjoner Paweł Swinin. W 1837 r. Swinin zmarł, a właścicielami jego nieruchomości stali się (do 1917 r.) kupcy Rastorgujewowie. Zaułek Piewczewski zaczęto nazywać Swininskim, potem też Swińskim. Do Chitrowki można też zaliczyć tzw. Kułakowkę oraz zaułki i ulice między Pokrowką i Solianką z tzw. Suchym Jarem. Do niedawna ulice wyznaczające ten rejon miały inne nazwy: Chmielnickiego, Czernyszewskiego i plac Nogina. Charakterystyczne było to, że jedną z granic tej „złej dzielnicy”, jaką Chitrowka stała się po reformach włościańskich, a zwłaszcza od około 1880 r., był Bulwar Pokrowski, gdzie mieszkało najzamożniejsze obce i rosyjskie kupiectwo; tu były domy Sawwy Morozowa, Korzinkinów, Chlebowników, Rastorgujewów, Bachruszynów.

160

Ulice były wąskie, pełno było zaułków, znanych tylko bywalcom przejść, korytarzy w starych, podupadłych domach. Na Chitrowskim Rynku niezależnie od pogody unosiła się mgielka, panował smród moczu, wódki, machorki i potu. Siedziały tu przekupki z garami i kociołkami, sprzedawały duszone lub gotowane mięso, smażoną, stęchlą kiełbasę, niedomyte wołowe żołądki zwane „jarząbkami”, a także tzw. psią radość – duszone ziemniaki ze zjełczałą słoniną. Odbywał się oryginalny handel odzieżą: po dokonaniu transakcji sprzedający rozbierał się, oddawał swe ubranie i zakładał kupione od razu gorsze łachy. Do placu przylegały tanie domy noclegowe – za 20 kopiejek można było mieć „numer”, a za „piątaka” (5 kopiejek)

legowisko pod pryczą. Nieco lepsze były Dom Bunina i Dom Orłowa, w których przebywali robotnicy dniówkowi, kobiety wynajmujące się do posług, rzemieślnicy, wypędzeni ze służby oficerowie i urzędnicy, pozbawieni święceń popi i zawodowi żebracy. W ogóle Chitrowka pełna była oberwańców, żebraków zawodowych i przypadkowych, „wędrowców” – brodatych rostrych mężczyzn z długimi włosami, mnichów z nieistniejących nigdy klasztorów, handlujących „relikwiami”. Byli też żebracy, którzy w dzień systematycznie chodzili po knajpach: prawdziwi i „podrabiani” ślepcy i beznodzy, kobiety noszące pożyczone dziecko lub po prostu polano, z ręcznie omotane w chusty. Panował tu ogromny ruch; przez noclegownie przez jedną noc przewijało się kilka tysięcy osób, ponieważ z dworców kolejowych napływały fale poszukujących pracy chłopów oraz przyjezdnych robotników, zorganizowanych w tzw. artele. Szopa pełniła funkcję giełdy pracy: rano przychodzili przedsiębiorcy wszelkiego kalibru, by wyszukać pracowników.

Pełno tu było knajp z wymownymi, choć nieoficjalnymi nazwami: „Sybir”, „Katorga”, „Etapowa”. W tej ostatniej pokrzepiali się okowitą przekupnie, żebracy i bezdomni. Zawsze tu zaszedł „powrotny” – zbiegły z zesłania doświadczony przestępca-włóczęga. Rynkiem rządziło dwóch stójkowych, do których meldowali się „powrotni”, zapewniając sobie na parę godzin spokój; potem policja i wojsko wylapywały ich. Ani łapówka, ani przyjaźń, ani żadne zobowiązania nie chroniły przed donosem – tak powszednim jak oddychanie. Policjanci potrafili znaleźć każdą skradzioną rzecz, jeśli im na tym zależało, współżyli bowiem z miejscowym

środowiskiem na zasadzie paru prostych reguł. Co pewien czas urządzano oblawy, po czym pojmanyh ludzi prowadzono do Swińskiego Domu, gdzie ich sortowano i odsyłano „porządkiem etapowym” do miejsca stałego zameldowania lub na Syberię. Po dwóch tygodniach znaczna część odesłanych znów pojawiała się na Chitrowce. W zaułkach Chitrowki niemal codziennie znajdowano ciała zabitych, często nagie, ograbione ze wszystkiego. Miejscowi stróże wykazywali się lepszym doświadczeniem w szybkim określaniu przyczyn zgonu niż lekarze sądowi. Niektóre zabójstwa, np. z zemsty, popełniano przy milczących świadkach. O sytuacji może coś powiedzieć następujące zdarzenie: kiedy policja i lekarz przyjechali wezwani z powodu zabójstwa, w zamieszaniu ktoś przy nich wyciągnął nóż z pleców zabitego i za pół butelki wódki zastawił go w najbliższej knajpie.

Chitrowka zdobyła sławę nie tylko wśród marginesu społecznego i policji, ale także wśród dziennikarzy, pisarzy, malarzy, których epatowały – zwłaszcza na początku XX wieku – najgorsze, kloaczne strony życia; taka była bowiem moda, zgodna z narastającym zachycaniem się proletariatem i rewolucją, której smak dopiero miał być poznany. W domu noclegowym na Kulakowce, stanowiącym najgorszą spelunkę Moskwy, tzw. mordownię, malarz Simow robił szkice do dekoracji sztuki Gorkiego *Na dnie*. Podejmowane były – bez powodzenia – próby zniszczenia Chitrowki: mieszkańcy Bulwaru Pokrowskiego walczyli o to w administracji miasta i w Dumie, kiedy ją powołano. Okazało się jednak, że właściciele spelunek i noclegowni także mieli swych ludzi w Dumie, w kancelarii generał-gubernatora i w instytucjach filantropijnych. Zła sława Chitrowki przetrwała rewolucję i NEP; poradzono sobie z nią w

okresie stalinowskim: znikły dawne domy, zmieniono bieg niektórych uliczek i zaułków, zabudowano place, a znaczna część mieszkańców znalazła się tysiące kilometrów od Moskwy, na zesłaniu i w łagrach.

W Królestwie Polskim na dobrą sprawę tylko w dwóch miastach możemy zaobserwować *Criminal Areas*, a mianowicie w Łodzi i w Warszawie. Inne miasta były zbyt małe i nie ulegały takim przemianom urbanizacyjnym, które mogłyby spowodować powstanie odrębnych „złych dzielnic”. W Lublinie, Częstochowie, Piotrkowie, Ostrowcu czy w Kielcach skupiska nędzy były jak grzyby, wciskające się między lepsze domy, w stare i opuszczane budynki, obrastające resztki murów lub skrawki wolnych miejsc. Także w Łodzi i w Warszawie interesujące nas zjawisko można zaobserwować dość późno, dopiero w ostatniej ćwierci XIX wieku. Na gruncie wsi pańszczyźnianej Stare Bałuty i założonej w pierwszej połowie XIX wieku kolonii przy folwarku Bałuty wyrosła dzielnica łódzka. W 1857 r. właściciel folwarku z części wykarczowanego lasu i z kolonii utworzył osadę Nowe Bałuty, z zamiarem wprowadzenia tu przemysłu. Nowa osada miała mieć rynek, co najmniej 130 domów, pompę i park. Obok zaczęła też wyrastać osada Żubardź. Po uwłaszczeniu nastąpił szybki ruch budowlany i napłynęli rzemieślnicy, nie obawiając się już świadczeń na rzecz właściciela. W końcu lat osiemdziesiątych XIX wieku granice między osadami zatarty się, a pod koniec stulecia Bałuty wtopiły się w Łódź. Nie było jednak żadnych regulacji prawnych, w związku z czym dzielnica pozostawała zaniedbana, chaotycznie zabudowana i pozbawiona miejskich instytucji, np. szpitala. Tymczasem trwał napływ ludności, także żydowskiej (stanowiła ona około 40%, ewangelików było 26%), i na początku XX wieku Bałuty miały więcej mieszkańców niż

Chojny i Widzew.

W Warszawie koloryt lokalny miały Powiśle, Szmulowizna, Bródno i Nalewki, ale jako siedlisko przestępczości najczęściej i najwcześniej opisywane było Powiśle. Była to nie tylko dzielnica biedy, znana z *Lałki Prusa*, ale też dzielnica rozmaitych nielegalnych interesów i występku, prostytucji, której oddawały się córki i żony wyrobników oraz przybywające w poszukiwaniu zarobku wieśniaczki. W połowie XIX wieku stały tu drewniane chaty; ich mieszkańcy coraz rzadziej trudnili się rolnictwem i rybołówstwem, a coraz częściej dorywczymi pracami, wyszynkiem i stręczycielstwem. Na skraju Starego i Nowego Miasta oraz Powiśla, u zbiegu Mostowej i Brzozowej, znajdowały się „kawiarnie”, pełniące funkcje domów publicznych. Jeden z najstarszych, bo jeszcze z czasów stanisławowskich, wówczas „najwytworniejszy” dom publiczny, mieścił się w łaźni nad Wisłą, u wylotu Bednarskiej. Na Powiślu zdarzały się rozboje, gnieździli się tu włamywacze, rekrutujący się spośród stróżów i służących, którzy utracili pracę i wykorzystywali swoją znajomość domów, podwórek i mieszkań, a także spośród wysłużonych żołnierzy. Prostytutki trudniły się też kieszonkowymi kradzieżami. Niektórzy złodzieje specjalizowali się w okradaniu pozostawionych bez opieki dzieci. W końcu XIX wieku na Powiślu pojawiły się ładne domy, projektowano budowę bulwarów nadrzecznych. Mimo to pozostało jeszcze sporo niezabudowanych placów, na których wypasało się bydło. W zaroślach i składach drewna urządzali sobie noclegownie „próżniacy”, „andrusy”, „nadwiślańskie łobuzy”. Na terenie zwanym Karpatami, koło Agrykoli i tam, gdzie dzisiaj są stadiony sportowe

przy Myśliwieckiej, „ferajna” urządziła biesiady i układała swe bojowe „hymny”:

„Dalej chłopcy, w górę kosy!
Niech się frajer nie unosi,
Ja frajera nożem w oko,
Nie patrz, frajer, tak wysoko.
Ja frajera kosą w szyję,
Frajer woła – łobuz bije”.

W ostatnim ćwierćwieczu XIX wieku miejscem zabaw proletariatu i marginesu społecznego oraz schronieniem rzeźmieszków była Saska Kępa. Na przełomie XIX i XX wieku rzemieślnicy i robotnicy z Parysowa (było tam targowisko starzyzny) żyli z prostytutkami córek i przyjmowania na sublokatorów złodziei. Tych ostatnich pełno było na Kercelaku – targu położonym między Lesznem i Chłodną. Bójki i napady zdarzały się często na Okopowej, Niskiej, Smocznej, Gęsiej, Pawiej i Dzielnej, czyli na pograniczu Nalewek, a za najbrudniejsze ulice uważano Grzybowską i Krochmalną. Andrzej Strug opisywał żebraka, rzekomo sparaliżowanego, który poruszał się na zbitych ze sobą i zaopatrzonych w koła skrzynkach i żebrał oraz świadczył różne usługi w zamian za nocleg: „...jak do córek gospodyni przyjdzie jaki gość znakomity, jaki giser albo inny metalowiec, którzy na dziewczki pieniędzy nie żałują, to świt nie północek ma stary wstawać i grać za darmo”. W połowie XIX wieku „lepsze” lupanary były na Mostowej, na Krzywym Kole i Podwalu, średniej jakości na Rycerskiej i Brzozowej, zaś najgorsze skupiały się na przedmieściach i na Powiślu.

Na początku XX wieku rejonem domów publicznych była Towarowa, a podejrzanych pensjonatów – Widok. Te ostatnie rozlokowane były

głównie w zachodniej części miasta. Na Towarowej na początku XX wieku po jednej stronie ulicy znajdowały się „eleganckie” domy publiczne dla oficerów i utracjuszy „z towarzystwa”, po drugiej stronie – domy dla klientów gorszej kategorii, którzy mieli mało pieniędzy. W tych pierwszych dziewczęta były pod stałą kontrolą lekarską, a w wejściach stali szwajcarzy. Opłacano też stójkowego; jeśli gość był w mundurze, a prowokował awantury, stójkowy zawiadamiał komendanturę wojskową. Był też podział na lokale dla Żydów i dla chrześcijan. Kiedy w 1905 r. partie socjalistyczne ogarnęła gorączka puryfikacyjna, to oprócz rozbijania sklepów monopolowych i wylewania wódki do rynsztoka wzięto się za prostytutki, przy czym bojówkarze-Żydzi przeganiali dziewczyny z lokali żydowskich i sprawiali lanie alfonsom-Żydom, zaś inni bojówkarze zajmowali się prostytutką dla chrześcijan.

166

W tym też czasie zasłynęły przedmieścia – okolice dzisiejszej elektrociepłowni żerańskiej zwane Żydowskimi Bielanami oraz rejon ulic Targowej i Blaszaney. W restauracji Cioci Prokulskiej co noc staczano bójki, a stałymi bywalcami byli złodzieje. Nawet żydowska dzielnica nalewkowska miała swoją małą Criminal Area: był nią plac zwany Wołówką, na którym odbywał się handel starociami, zanim przeniósł się na Kercelak. Tu grało się w „trzy karty”, a oszuści bili naiwnych, jeśli się upomnieli o swoje. Wołówka rozbrzmiewała okrzykami „O Jezu” i „Aj waj”. „Koło straganów kręcili się amatorzy różnych lekkich zarobków, przygodni sprzedawcy ubrań zachwalali swój towar. Albo sami go kradli, albo pośredniczyli w sprzedaży kradzionego za bezcen. W obawie przed zjawieniem się poszkodowanego w towarzystwie policjanta starali się szybko wyzbyć

towaru. Można tu było zobaczyć również nauczycieli i uczniów szkoły złodziejskiej północnej dzielnicy miasta [...] Na Wołówce nie kręciły się nawet awanturujące się, bezrobotne służące. Co najwyżej wałęsały się «kościarki» z zeszpeconymi twarzami i czerwonymi nosami. Stojący na rogu policjant, bojąc się awantur, usiłował nie wpuszczać na plac żołnierzy. Rzadko mu się to udawało. Niemal co dzień wieczorami dochodziło do bijatyki między żołnierzami a stałymi bywalcami. Oszust i złodziej byli panami targowiska. Policjant wołał zbyć milczeniem okradzonego przechodnia, który wskazywał palcem złodzieja. Mimo to, a może właśnie dlatego, pełnienie służby na Wołówce należało do dochodowych”⁷.

Szczególnym problemem stały się wały ochronne i fortyfikacje. Wały miały chronić przed zarazą i usypano je w 1770 r. od Wisły wzdłuż Łazienek do Belwederu, potem biegly dzisiejszymi ulicami Polną, Towarową i Okopową przez Żoliborz do miejsca, na którym w 1832 r. zbudowano Cytadelę; po prawej stronie Wisły otoczono nimi Golędzinów, Pragę i Skaryszew. Wały faktycznie pełniły funkcję okopów wojskowych, poza tym w latach osiemdziesiątych XIX wieku zaczęto wznosić fortyfikacje. Wszystko to nigdy nie przydało się z czysto militarnego punktu widzenia, ale stanowiło demonstrację siły i ułatwiała kontrolę nad ruchem ludności, utrudniało natomiast znacznie rozwój miasta. Za tę linię wysiedlano tzw. pobytovców: rosyjski system karny przewidywał kary przymusowego pobytu w miejscu wskazanym przez władze. Tacy świeżo wypuszczeni więźniowie nie mogli osiedlać się w Warszawie czy w Łodzi.

⁷ B. Singer, *Moje Nalewki*, s. 55-56.

„Pobytowcy” i inni usuwani z miasta ludzie pozbawieni odpowiednich dokumentów osiadali tuż pod miastem, a niektóre gminy stały się miejscem przymusowego paroletniego osiedlenia.

Wraz ze wzrostem nastrojów rewolucyjnych ludzie nabierali odwagi do przeciwstawiania się władzom, między innymi nie chcieli mieć koło siebie „pobytowców”. W 1905 r. tworzyły się nawet „związki wioskowe” i grupy złożone z sołtysa i dwóch gospodarzy, którzy ich przepędzali. W listopadzie w 1905 r. na zebraniu gminnym w Belsku (powiat grójecki) mieszkańcy przyjęli „Uchwałę gminną dotyczącą złodziei” (opublikowaną w „Niepodległości” w 1929/30 r.), w której można przeczytać między innymi: „Złodziejom, ogólną opinią za takowych uznanym, w obrębie gminy zamieszkałym, z dniem dzisiejszym prawo głosu i uczestnictwa na zebraniach odbieramy, takowych postanawiamy bojkotować, czyniąc ich solidarnie odpowiedzialnymi za wszelkie kradzieże, w obrębie gminy dokonane [...] 1. Zważywszy, że coraz częściej ujawniają się czyny zbrodnicze, świadczące o istnieniu zorganizowanych band złodziejskich; 2. O zupełnej tych band bezkarności, z czego wynika, że bezpieczeństwo mienia i życia, czyli że zasadnicze pojęcie o bezpieczeństwie publicznym stało się w okolicy naszej pustym dźwiękiem, czczym frazesem, słowem łachmanem jakimś, z którego nikt sobie nic nie robi, i w którego istnienie praktycznie nikt nie wierzy; 3. Zważywszy że istniejąca policja, na której utrzymanie społeczeństwo składa pieniądze, z karygodnym niedbalstwem nie zapobiega kradzieżom, że żyć w takich warunkach jest rzeczą niemożliwą..” – zważywszy na to wszystko mieszkańcy postanowili sami wziąć sprawiedliwość

i nadzór w swoje ręce... Wprawdzie złapanego pasera lub złodzieja belszczanie chcieli oddawać pod sąd, ale zastrzegali, że jeśli władze go zwolnią, „to tym samym skazałyby go na sąd ludowy doraźny”. Kroki miały być także przeciwko „niegodziwcom krzywoprzysięzcom”.

Fale zagrożeń ogarniały przejściowo poszczególne miasta; na Suwalszczyźnie w latach siedemdziesiątych XIX wieku groźne były litewskie bandy, złożone z synów gospodarzy, którzy nie dziedziczyli majątków (na ogół ich nie dzielono); w Warszawie, Lublinie, Lwowie i innych miastach na przełomie XIX i XX wieku strach siali „nożownicy”; w Paryżu, który w połowie XIX wieku był bardzo niebezpieczny, a potem stał się miastem przyjaznym, przed I wojną światową szaleli apasze – młodociani przestępcy o swoistej podkulturze. W miastach i miasteczkach pełno było pijaków; nie tylko w Ameryce przodkowie niektórych szanowanych rodzin byli rzezimieszkami. Jak napisał jeden z dziennikarzy „Gazety Codziennej”, łobuz od dziecka pił wódkę i piwo; robił karierę, jeśli umiał czytać i pisać, jeśli był niepiśmienny – staczał się na margines społeczny.

W Polsce niepodległej nie nastąpiły praktycznie większe zmiany w społecznej strukturze przestrzennej miast. Pogłębiało się dotychczasowe zróżnicowanie dzielnic. Są jednak wyjątki: w Warszawie zabudowywano puste tereny Powiśla, Woli i Ochoty, na których dotychczas mógł niepodzielnie panować margines społeczny, a od czasu budowy osiedli mieszkaniowych i willowych na Żoliborzu zaczęły się też zmiany w dzielnicy nalewkowskiej. Coraz wyraźniej miejscem niebezpiecznym stawał się rejon Pragi położony na wschód od Targowej, między

dworcami Wschodnim i Wileńskim. Wydawało się, że II wojna światowa, powstanie warszawskie, zrównanie z ziemią getta zarówno w Warszawie, jak i w innych miastach, ogromne przemieszczenia ludności i wszystkie temu towarzyszące procesy sprawiają, że z dawnej rejonizacji nic nie zostanie; tymczasem w pierwszych latach powojennych możemy obserwować siłę tradycji i szybkie odradzanie się charakteru poszczególnych dzielnic, nawet jeśli domy leżały w gruzach. Tak na przykład w Łodzi nędza, choroby – zwłaszcza gruźlica – i występki gnieździły się znów na Bałutach i w Rudzie „przed torem”. W Lublinie podobny charakter (złe warunki mieszkaniowe, duża śmiertelność noworodków, dużo ludności ze wsi i dużo chuliganów, pijaństwo itp.) miał pas ciągnący się od dworca kolejowego przez Stare Miasto, wzdłuż ulicy Lubartowskiej. We Wrocławiu od początku lat pięćdziesiątych aż do około 1970 r. skupiskiem nieletnich przestępców było centrum miasta, podobnie w Toruniu (tu jeszcze złą sławę zyskały dzielnice Pogórz i Stawki).

170

W Warszawie wspomniany już wyżej rejon ulic między Towarową a Solną na wiele lat zyskał miano „Dzikiego Zachodu”; siedzibą nędzy były kamienice w niektórych częściach Powiśla, niebezpiecznie było się zapuszczać nad rzekę oraz w pobliże torów i mostu kolejowego. Niebezpieczny pozostał Targówek. Jeśli pamięć o tym zaginęła, to dlatego, że w reżimie socjalistycznym nie można było dopuścić do publikowania informacji o przestępstwach, którymi dzisiaj prasa straszy nas bez ograniczeń. Realizacja pomysłów osiedlowych przynosiła dość nieoczekiwane efekty ze względu na skład mieszkańców: przeważnie byli to ludzie

urodzeni na wsi i kiedy na świat przychodziły i dorastały ich dzieci – pierwsze miejskie pokolenie – w osiedlach wzrastała przestępczość. Obserwujemy to po raz pierwszy w latach sześćdziesiątych XX wieku, przy czym strefy najbardziej niebezpieczne stopniowo przesuwają się: przez pewien czas była to część Mokotowa, potem Wola, osiedle Piaski i do dziś „zła dzielnica” – Bródno, a wreszcie Praga-Południe (z maksymalnymi współczynnikami przestępczości w Rembertowie i Kawęczynie, minimalnymi – na Saskiej Kępie). Przemieszczenia ludności spowodowały podobne zjawiska w Krakowie: Nowa Huta stała się niebezpieczna dopiero po około dziesięciu latach od jej wybudowania. Według danych policyjnych z połowy lat dziewięćdziesiątych XX wieku najniebezpieczniejsze w mieście są Praga-Południe, następnie Mokotów i Śródmieście, zaś pod Warszawą – Otwock i Wołomin. Ale takie spostrzeżenia są zbyt ogólne; trzeba badać dane z poszczególnych komisariatów i uwzględnić zróżnicowanie przestępstw. Wiemy na przykład, że na Mokotowie dominują kradzieże aut, w Śródmieściu – napady, rozboje, gwałty.

Można bez końca przytaczać opinie z najróżniejszych epok o psuciu się obyczajów i o rosnącej przestępczości, którym towarzyszyły żale za wyidealizowaną przeszłością. Może więc i teraz rozwijają się najgorsze zagrożenia naszego życia miejskiego? Historia na szczęście dostarcza trochę przykładów zmian korzystnych, choć na pewno nie trwałych. Pod koniec lat pięćdziesiątych XX wieku sformułowane zostało takie oto spostrzeżenie: „Często słyszymy, że masy angielskie są łagodne, łagodniejsze niż masy w jakimkolwiek chyba innym kraju, łagodniejsze od swych własnych ojców i dziadów. Niewątpliwie w ciągu ostatnich

pięćdziesięciu lat znacznie zmniejszyła się ilość brutalnych ekscesów w miastach i groźba oberwania po głowie w ciemnym zaułku – co wieczorami, a szczególnie podczas weekendu, skłaniało ludzi do unikania pewnych ulic. Chuligaństwo i awantury, zmuszające policjantów do patrolowania dwójkami niejednej dzielnicy, niejednego miasta, znikło niemal zupełnie. Nie słyszy się obecnie, poza rzadkimi wyjątkami, o walkach na pięści odbywających się na hałdach, o puszczaniu w ruch rozbitych butelek w barach, o regularnych napaściach gangów na dziewczyny na festynach, o upijaniu się do nieprzytomności [...] Przychodzi mi na myśl moja babka, która widziała bestialstwa, jakie dzisiaj zaszokowałyby kobietę z każdej chyba klasy, i która sama bywała często brutalna”⁸.

172 Choć dziś znów trudno by nazwać masy angielskie łagodnymi, podany przykład wskazuje przynajmniej na możliwość dokonania się zmiany. Można wspomnieć w tym miejscu, że w latach sześćdziesiątych i pierwszej połowie lat siedemdziesiątych XX wieku w Warszawie było bardzo niebezpiecznie – był to okres „git-ludzi”, dziś już wygasłego „folkloru”. Czy to pocieszające? Ich miejsce zajmują jeszcze groźniejsi ludzie. Życie społeczne w miastach przybierało i dawniej formy gwałtowne, jednak nawet w największym mieście trudno doszukać się całkowitej anonimowości, alienacji wszystkich mieszkańców, zaniku mechanizmów kontroli społecznej. Czy grozi to nam obecnie? Niektórzy prorocy koncepcji ponowoczesności, jak Zygmunt Bauman, pisząc o

⁸ R. Hoggart, *Spojrzenie na kulturę robotniczą w Anglii*, Warszawa 1976, s. 118.

obecnej „adiaforyzacji”, czyli o moralnym zubożeniu, idealizują przeszłość, sądząc, że gwałt dopiero teraz wkracza w życie codzienne, do sypialni, wobec dzieci, wobec kobiet. Gwałt jest teraz lepiej widoczny, obnażony, mniej wstydlivy; występował on jednak i dawniej, także na przełomie XIX i XX wieku, choć może częściej na wsi niż w mieście.

VIII. Zaścianek

„...To, czego szuka, jest zawsze przed nim i nawet jeśli chodzi o przeszłość, jest to przeszłość ulegająca stopniowym przemianom, w miarę jak posuwa się naprzód jego podróż, bo przeszłość podróżnika zmienia się w zależności od przebytej drogi, nie przeszłość niedawna, która wzrasta o jeden dzień z upływem każdego dnia, lecz przeszłość najodleglejsza. Przybywając do każdego nowego miasta, podróżny odnajduje własną przeszłość, o której posiadaniu już nie pamiętał: obcość tego, czym już nie jesteś lub czego nie posiadasz, oczekuje cię przy przejściu przez miejsca obce i nigdy nie wzięte w posiadanie” (Calvino, 23).

174

W 1946 r. ukazała się *Spoleczna genealogia inteligencji* Józefa Chałasińskiego, która spowodowała niezwykle ożywioną dyskusję nad zawartymi tam tezami. Polemiki ukazywały się na łamach popularnych i naukowych czasopism przez wiele lat, zachęcając historyków do badań, powstało więc wiele cennych publikacji, w tym znana książka Ryszarda Czepulis-Rastenis czy nieco mniej znana, ale świetnie oddająca istotę sporu i porządkująca wypowiedzi książka Marty Zahorskiej¹. Co pewien czas ktoś ponownie prowokuje dyskusję, ale spór nie ma już takiego impetu jak dawniej. Nie ma potrzeby streszczać wszystkich tez Chałasińskiego; w tym miejscu istotne jest jego twierdzenie o szlacheckim pochodzeniu inteligencji, co zresztą wielu badaczy starało się obalić. Takie pochodzenie spowodowało – zdaniem Chałasińskiego – określone cechy mentalności i

¹ Zob.: Bibliografia.

postępowania polskiej inteligencji, oceniane przezeń bardzo surowo. Można dodać, że poprzednikiem Chałasińskiego w ataku na inteligencję był Stanisław Brzozowski, choć źródeł cech, uznanych przez niego za negatywne, nie upatrywał – jak Chałasiński – w szlacheckim pochodzeniu inteligentów. Polemika o inteligencji jest dobrym przykładem, jak te same fakty mogą być odmiennie interpretowane i oceniane przez różnych autorów.

Mniej kontrowersyjna jest hipoteza, że polska kultura i mentalność były zdominowane przez kulturę szlachecką, co wcale nie musi oznaczać szlacheckiego pochodzenia społecznego twórców i nosicieli kultury (co prawda aż 50% – dla Ryszardy Czepulis tylko 50% – inteligencji pochodziło ze szlachty). Dla charakterystyki klasy średniej ważne jest to, że była ona na wskroś przepojona wpływami szlacheckimi. Jeśli ta hipoteza jest uprawniona, to dla zrozumienia skutków zjawiska ważna jest charakterystyka domniemanego twórcy tradycji kulturowej, czyli szlachty, jak i nosiciela – czyli inteligencji. I jedna, i druga grupa społeczna odznaczała się w Polsce silną specyfiką, większą bodaj niż pozostałe, gdy porównuje się je z analogicznymi warstwami na Zachodzie. W każdym kraju nimb arystokracji dość długo spowijał demokratyzujące się społeczeństwo, ale polska szlachta w XIX wieku to nie arystokracja w innych krajach (historycy powołują się na jej podobieństwo jedynie do szlachty węgierskiej), zaś „inteligencja” to także zjawisko szczególne, rosyjskie i polskie (i to raczej polskie, ale tylko pod rosyjskim panowaniem). Przynależności klasowej do szlachty niektórzy bohaterowie powieści Józefa Blizińskiego zawdzięczali „ów niefrasobliwy, złoty humor, ową prawdziwie polską, niczym nie zmaconą, pogodę ducha”, swojskość, honor, „szczerę serce” itd.

Dlaczego problematyka inteligencji i kultury szlacheckiej jest ważna przy analizie sytuacji miast i ról warstw średnich? Już w poprzednich rozdziałach starałam się pokazać, że na ziemiach polskich przedsiębiorcy nie stanowili grupy dostatecznie dużej i silnej ekonomicznie, by czuć się pewnie w społeczeństwie zdominowanym przez szlachtę. Nawet w XX wieku struktura narodowo-wyznaniowa uniemożliwiła burżuazji ziem polskich podejmowanie wyzwań politycznych czy ustanawianie wzorców moralnych i kulturalnych. Nie było rozwiniętej rodzimej biurokracji ani licznej i zamożnej grupy ludzi uprawiających wolne zawody. Polscy liberałowie ubolewali, że w Polsce nie ma mieszczaństwa, zaś burżuazja (przemysłowcy) nie rozumie swej życiowej roli, co uważali za „narodowe kalectwo”². Przez pewien czas i liberałowie, i konserwatyści pokładali nadzieję w odrodzeniu starego, „dobrego” polskiego mieszczaństwa, jeśli wyeliminuje się rzekome zagrożenie ze strony „obcych żywiołów” – Żydów i Niemców. Jak powiada Jerzy Jedlicki, „dopiero pozytywiści będą próbowali stworzyć jej [klasy średniej] spóźniony i przecież inteligencki, a nie burżuazyjny surogat”³. W ten sposób inteligencja w warunkach panujących w Europie Wschodniej stała się odpowiednikiem – lub substytutem – zachodniej klasy średniej: francuskiej *bourgeoisie*, niemieckiego *Bürgertum*, angielskich *Gentlemanów* lub *Middle Class*, miała spełnić analogiczną misję. Od schyłku XIX wieku nadzieje kierowano ku proletariatowi – nowemu

² T. Stegner, *Liberałowie Królestwa Polskiego 1904 - 1915*, Gdańsk 1990, s. 71-72.

³ J. Jedlicki, *Polskie nurty ideowe lat 1790-1863 wobec cywilizacji Zachodu*, [w:] *Swojskość i cudzoziemszczyzna w kulturze polskiej*, pod red. Z. Stefanowskiej, Warszawa 1973, s. 186-231.

Heraklesowi, który oczyści augiaszową stajnię, jaką stała się Europa, ale po rewolucjach 1905-1907 i 1917 r. ponownie rozwinął się mit inteligencji i odrodził się po 1956 r., kiedy dopuszczono, że nie tylko proletariats przemysłowy może coś zrobić dla narodu.

Pojęcie inteligencji narodziło się w Rosji i nigdy nie oznaczało grupy społeczno-zawodowej (czy też – „klasy umysłowej”, o której pisała Ryszarda Czepulis, albo „klasy ludzi pracujących głową”, według określenia Karola Kautsky'ego), ale środowiska płynne, sfrustrowane otaczającą je rzeczywistością, pełne poczucia winy i chęci spełnienia prometejskiej roli. Inteligentem mógł być naukowiec i mógł nim być młody dziedzic majątku, o ile hołdował określonym poglądom, prowadził odpowiedni tryb życia (m.in. musiał przynajmniej otrzeć się o uniwersytet), ba – nawet ubierał się w wyróżniający sposób. Był to pewien wzór osobowy z określonym katalogiem cnót, takich jakich jak patriotyzm, ciężka praca dla pożytku ogółu, zachowywanie tradycji, skromność, godne znoszenie ubóstwa, fachowość. Inteligencja miała spełnić misję, a może wiele misji: sprawować moralne i polityczne przywództwo, pobudzić naród do walki o niepodległość, szerzyć cywilizację, „wytwarzać nowe ideały”, organizować i kierować, nauczać i leczyć lud, a nawet otoczyć miłością i opieką proletariats, przyłączając się do rewolucji. W ludziach wykształconych, niezależnie od tego, czym się trudnili i z czego żyli, widziano grupę wypełniającą funkcje inicjatywy, kierownictwa, moralnego osądu.

Tożsamość ról zachodniego mieszczaństwa (burżuazji) i wschodnioeuropejskiej inteligencji analizowała Maria Ossowska, powołując się często na francuskiego socjologa Edmonda Goblot, który mówiąc o człowieku przynależnym do elity mieszczańskiej (lub

mieszczaństwa poczytującego się za elitę), używał słów *le bourgeois*, czasem *homme mondain*. „Mógłby na pewno powiedzieć inteligent – uważa Ossowska – gdyby rozporządzał tym słowem w swoim repertuarze językowym”. We Francji lub w innych krajach *bourgeois* nie był przecież szlacheckiego pochodzenia i znajdował się wobec arystokracji w opozycji. „Inteligencja narodu – pisał Karol Libelt – to ci wszyscy, co troskliwsze i rozleglejsze odebrawszy po szkołach wyższych i instytucjach wychowanie, stoją na czele narodu jako uczeni, urzędnicy, nauczyciele, duchowni, przemysłowci, zgoła którzy mu przewodzą wskutek wyższej swojej oświaty”, zaś autor hasła w *Encyklopedii* Orgelbranda uważał człowieka inteligentnego za pana obszaru wiedzy, męża stanu, architekta⁴. Podstawowym więc, ale nie jedynym kryterium było wykształcenie, tak jak było ono na Zachodzie warunkiem zaliczenia kogoś do klasy średniej lub burżuazji.

178

W „Bibliotece Warszawskiej” z 1890 r. możemy znaleźć taką klasyfikację miejskiej inteligencji: po pierwsze, jest to inteligencja „prawdziwa” – absolwenci szkół wyższych i „najwyższa inteligencja w dworach szlacheckich”; po drugie, jest to „półinteligencja”, czyli ludzie, którzy ukończyli kilka klas gimnazjum lub szkołę zawodową: felczerzy, majstrzy w fabrykach, podrzędni urzędnicy administracyjni i sędziwi. Wszystkie źródła zaliczały do inteligencji nie tylko osoby żyjące z pracy umysłowej, ale także duchownych, ziemian, całą

⁴ M. Ossowska, *Socjologia moralności. Zarys zagadnień*, Warszawa: PWN, 1963, s. 200-201; Ossowska wykazuje, że Józef Chałasiński w 1946 r. powtórzył całą charakterystykę burżuazji zachodniej, jaką w 1925 r. przedstawił Goblot, mówiąc o burżuazji, ale przypisał ją inteligencji i nadał jej negatywne zabarwienie (J. Chałasiński, *Spoleczna genealogia inteligencji polskiej*, Warszawa: „Czytelnik”, 1946). K. Libelt, *O miłości Ojczyzny. Rok 1844 pod względem oświaty, przemysłu i wypadków czasowych*, Poznań 1844, s. 53

szlachtę. Heterogeniczność grupy dobrze oddaje rosyjskie słowo *raznoczincy* (albo *raznoczinnaja intelligentsja*), przy czym *czin* był pozycją w tabeli rang, czymś w rodzaju „podstanu”. Na początku XX wieku zaprzestano w zasadzie włączania do „inteligencji krajowej” duchowieństwa i ziemiaństwa; pozostały w niej „klasa urzędnicza” i „gwiazdy” prowincjonalnej inteligencji – lekarze i prawnicy. Sądy o poziomie tych „gwiazd” były zresztą zróżnicowane, a oceny pesymistyczne; narzekania na marazm mieszały się z entuzjazmem z powodu – jak powiada Andrzej Szwarc – byle straży pożarnej⁵.

W okresie międzywojennym wystąpiła tendencja do utożsamiania inteligencji z pracownikami umysłowymi; mimo to inteligencja chyba bardziej niż inne grupy spełniała rolę opiniotwórczą. W sąsiedniej, bardziej mieszczańskiej Czechosłowacji rola inteligencji w dwudziestoleciu międzywojennym była mniejsza: tam, gdzie grupa ta stawała się liczna na skutek rozwoju instytucji edukacyjnych i miejsc pracy wymagających wysiłku umysłowego, tam po trochu traciła znaczenie w tworzeniu norm społecznych. Następowala dywersyfikacja tej warstwy i zanikała spójność między poszczególnymi podgrupami, tak że wkrótce słowo „inteligencja” zaczęło określać już tylko poziom kultury. Proces ten następował szybciej w krajach zachodnich (lub rozwiniętych prowincjach Czechosłowacji) niż tam, gdzie struktura społeczno-gospodarcza pozostała zdominowana przez wieś i rolnictwo.

W okresie PRL zadekretowano służebne funkcje inteligencji, a ponadto sprowadzono ją do kategorii statystycznej: pracowników najemnych wykonujących

⁵ A. Szwarc, *Inteligencja warszawska i prowincjonalna w świetle własnych opinii z lat powstaniowych*, [w:] *Inteligencja polska XIX i XX wieku*, t. 3, s. 187-214.

pracę umysłową (niezależnie od stopnia wykształcenia). Jeśli w jednym sklepiu pracowały dwie osoby, to jedna była „kierownikiem” (ponosiła odpowiedzialność finansową – rozróżnienie jest więc ważne dla fiskusa) i uważano ją za „pracownika umysłowego” – czyli „inteligencję pracującą”, druga była kwalifikowana jako pracownik fizyczny. Wykonywały one w praktyce tę samą pracę, należały do identycznego środowiska. W każdym razie nie ma to już nic wspólnego z inteligencją definiowaną jako grupa o szczególnym etosie, wysokiej wiedzy, poczuciu odpowiedzialności, dbająca o zgodność zachowań z przekonaniami, cechująca się odwagą cywilną, nonkonformizmem, solidarna z cierpiącymi i sprawująca kulturalne przywództwo⁶. Choć właśnie w inteligencji socjologia i politycy widzą rdzeń pożądanej klasy średniej, to wielu socjografów zalicza do niej ledwo umiejącą czytać, pisać i rachować urzędniczkę na poczcie lub sprzedawczynię, nauczyciela szkółki początkowej, a pomija wykształconego, muzykującego, otaczającego się dziełami sztuki właściciela sklepu lub fabryki. Dziś treść pojęcia inteligencja jest wyblakła, bowiem nastąpiło cywilizacyjne i kulturowe zrównanie w dół, jej plebeizacja, jak to określił Krzysztof Pomian⁷. Nic więc dziwnego, że socjologowie podzielili się i jedni liczą inteligentów, a inni ogłosili „śmierć inteligencji”, co wzbudza dość gwałtowne protesty tych, którzy cierpią na skutek braku przyporządkowania „godnościowego”.

⁶ J. Kurczewska, *The Polish Intelligentsia: Retiring from the Stage*, [in:] *Democracy, Civil Society and Pluralism*, ed. C.G.A. Bryant, E. Mokrzycki, Warszawa 1995, s. 239-254.

⁷ K. Pomian, *Inteligencja Trzeciej Rzeczypospolitej*, „Rzeczpospolita” z 28-29 kwietnia 1990 r., s. 4 i n.; Jan Pieszczachowicz nazywa to jeszcze dosadniej – chamieniem; por.: J. Pieszczachowicz, *Mit wielkiego Chama*, „Polityka” 1995, nr 17, dodatek „Kultura”, s. 1 i 4.

Przez cały czas ideowe, kulturalne i polityczne wzory narzucane były przez szlachtę; co prawda, pod koniec XIX wieku już nie był to sarmatyzm. - Analiza czasopism, powieści i podręczników z lat 1878-1879 pokazała, że pośród korowodu dorobkiewiczów, jaki tam znajdujemy, znalazł się jeden szlachetny, a i ten był „herbowy”. Wokulski, jak wiadomo, też odnalazł szlacheckich przodków. We wcześniejszych powieściach tylko jeden fabrykant, syn kowala i w dodatku protestant, był postacią pozytywną (w powieści *O kawał ziemi* Bałuckiego, którą w odcinkach drukował krakowski „Czas”). Można przejrzeć około 600 biografii zawartych w tomie *Cmentarz Powązkowski* i nie natknąć się na zdanie, które by świadczyło o odrębnej mentalności mieszczańskiej, o dumie z przynależności do tego stanu – w biografjach podkreśla się pochodzenie i zawód jedynie wtedy, gdy jest to związane z posiadaniem dóbr lub choćby małego mająteczku. Tylko przy opisie grobu Jana Kilińskiego możemy przeczytać dość znamienne słowa: „Żaden z synów Kilińskiego nie trzymał się ojcowskiego rzemiosła, które mu dało dostatek i dobre imię. Troskliwa familia wszędzie chciała zatrzeć nawet ślad, że był majstrem kunsztu szewskiego. Na karcie pogrzebowej [...] podano tylko stopień wojskowy; na grobach synów troskliwie wypisano, że byli to urzędnicy. To zaparcie się uczciwego zawodu, w którym Kiliński cały żywot przepędził, zasługuje na uwagę”.

Mieszczanie wielkopolscy dla swych dzieci widzieli jedyną szansę w kierowaniu ich na lekarzy, księży, nauczycieli gimnazjalnych i urzędników⁸. W *Złotej Księdze pracy i zasługi*, wydanej w 1900 r., wśród zamieszczonych tam nazwisk znajdujemy Jędrzeja

⁸ Badania W. Molika, zob.: Bibliografia.

Radwańskiego – nauczyciela i naukowca, Wilhelma Malcza – lekarza (ewangelika), Michała Konarskiego, Karola Antonowicza i Karola Brzostowskiego, Hieronima Łabędzkiego i syna plenipotentą u Tarnowskich – Stanisława Jachowicza. Wszyscy oni odznaczyli się wykształceniem i uprawianiem inteligentkich zawodów (magister praw i wykwalifikowany urzędnik Łabędzki zasłużył się dla górnictwa), i tylko dla jednego przemysłowca znalazło się tam miejsce – dla Steinkellera. Wśród wpływowych osobistości przed powstaniem styczniowym nie ma ani jednej, która byłaby czysto mieszczańskiego pochodzenia. Zbliżenie mieszczańsko-szlacheckie oraz chrześcijańsko-żydowskie było widoczne w przededniu powstania kościuszkowskiego, to ostatnie – także przed powstaniem listopadowym, zaś w czasie manifestacji patriotycznych w 1861 r. „wcielały się powoli w czyn hasła mieszczaństwa wszystkich krajów – hasła postępu i wolności – drogą wręcz niezwykłą i za pomocą religijnego nastroju ogółu”⁹. Potoccy, Zamoyscy, Szlenkierowie, Epsteinowie, Kronenberg, pastor Otto i rabin Majzels współdziałali ze sobą, zaś demonstracje na rzecz równouprawnienia Żydów i akty bratania się miały miejsce także w wielu miastach prowincjonalnych. Upadek powstania 1863 r. i represje spowodowały rozpad tych kruchych więzi, zamykanie się poszczególnych grup, wzrost niechęci i wzajemnych oskarżeń. W latach 1870-1903 konserwatyści odwoływali się do ziemian, ludowcy – do chłopów, socjaliści do robotników, wszyscy po trosze liczyli na inteligencję, zaś za mieszczan uważali tylko Polaków chrześcijan. Jednakże owi mieszczanie bardziej pasują do drobnomieszczaństwa niż do klasy średniej.

⁹ J. Dąbrowski (Grabiec), *Rok 1863*, Poznań 1922, s. 74.

W latach 1793-1890 kilkakrotnie wydane były prace Benjamina Franklina, przystosowywane przez redaktorów do gustów najmniej świątliwych odbiorców; czerpano z nich różne maksymy, zwłaszcza pochwałę pracowitości, rozsądku i użyteczności. Ale polski franklinizm przyprawiony był – jak powiada Maria Żmigrodzka – sarmackim sosem i wprowadzony w ściany drobnoszlacheckiego dworku¹⁰. Nawet jeśli pisano o mieszczańach, to prawdziwym bohaterem był szlachcic żyjący po mieszczańsku – cichy i skrzętny pracownik, ostoją rodziny, „błogostawieństwo całej okolicy”. „Praca organiczna” była w gruncie rzeczy ruchem umiarkowanie liberalnej szlachty, a nie mieszczaństwa. Pewna część opinii szlacheckiej w ogóle zresztą nie dostrzegała w mieszczaństwie wartościowej grupy społecznej, a postulowany stan trzeci miała stanowić drobna szlachta. Szło to w parze z kultem tragicznego herosa i literackim cierpiętnictwem. Także w okresie międzywojennym pisarze hołdowali dziewiętnastowiecznemu stereotypowi, zgodnie z którym sukces kojarzył się z nieczystymi interesami i był podejrzany. W ten sposób pisali Tadeusz Dołęga-Mostowicz, Pola Gojawicyńska, Maria Dąbrowska, Zofia Nałkowska. Refleksem tej mentalności byli radiowi Matysiakowie, których cechowała bierność, niskie aspiracje, „poprzestawanie na małym”¹¹. Charakterystyczny jest wierszyk, umieszczony w książeczce fanatycznego obrońcy tradycji i szlachetczyzny, *Szlachcica na zagrodzie*:

183

¹⁰ Praca Żmigrodzkiej: zob. Bibliografia.

¹¹ J. Tazbir, *Pochwała nieszczęśliwca i nagana kariery w literaturze polskiej*, „Kultura”, 1973, nr 12, s. 1, 4-5, nr 26, s. 1, 11 (i polemika z artykułem: n-ry 13, 25).

„Ani kupcy, ni Żydowie,
Ani mieszczan też synowie,
Jeden, jeden tylko cud:
Z polską szlachtą – polski lud!
Polska szlachta z Bogiem, z ludem,
Kraj z niewoli dźwignie cudem:
Gdy przez kościół, przez duch boży,
Ducha Polski rozwiemoży.
Jeden, jeden tylko cud:
Z polską szlachtą – ksiądz i lud!”

Nasuwa się pytanie, czy poczucie niższości mieszczaństwa nie było jednostronne i czy sami przedstawiciele tej grupy czuli się niżsi od szlachty. Zbyt mało jest przekazów źródłowych pochodzących od samego mieszczaństwa, trudno więc sformułować na ten temat opinię dostatecznie udokumentowaną. Możemy tylko powołać się na bystrego obserwatora stosunków społecznych, do tego o przekonaniach demokratycznych – Henryka Kamieńskiego, który w swych pamiętnikach pisał: „Wyobrażenia bowiem szlachetczyzny rządziły wszechwładnie stosunkami potocznymi, posiadanie dóbr ziemskich nadawało pewne znaczenie, poważanie, które się wzmagaly w miarę ich wielkości, w miarę wyświadczonej gościnności, kuchni wykwintnej itp., także w miarę stosunków światowych i trochę, ale zawsze cokolwiek, w miarę osobistej wartości. To wszystko nie tak sama szlachta sobie przypisywała, jak jej raczej przypisywali mieszkańcy miejscy, urzędnicy, sądownictwo itd.” Zwłaszcza to ostatnie zdanie jest wielce symptomatyczne i nasuwa przypuszczenie, że schemat hierarchii społecznej, której górny szczebel stanowiła szlachta, funkcjonował nie tylko wśród niej samej, ale i w pozostałej części społeczeństwa. W

swoich dydaktycznych opowiastkach Paulina Krakowowa natrętnie usiłowała zachęcać do sielankowego, bezkonfliktowego współżycia różnych warstw, wzajemnie szanujących się i pomagających sobie. Rzeczywistość przedstawiała się inaczej, skoro publicyści i pisarze napomykali często o „uprzedzeniach do szlachty”, a Edward Dembowski nie mógł nawiązać kontaktu z grupą spiskujących rzemieślników, byli oni bowiem „ultrademo” i „niechętnie człowieka nie swego stanu, tym bardziej szlachcica, widzieli”. Kamieński ze swym przyjacielem, adwokatem sądu cywilnego w Lublinie, mógł spotykać się tylko pod pozorem gry w szachy, gdyż w innym przypadku kontakty ziemianina z człowiekiem mieszczańskiego pochodzenia mogły się wydać podejrzone i ściągnąć uwagę policji.

Prawdziwym bohaterem *biedermeierowskiej* powieści był więc szlachcic żyjący po mieszczańsku. Co więcej, warto zwrócić uwagę na najistotniejsze, moim zdaniem, spostrzeżenie Żmigrodzkiej (a także Ossowskiej): literaci kierowali ukłony w stronę szlachty zubożalej. Kultywowano przede wszystkim szlachectwo, przeto zajmowanie się ziemią i gospodarowanie wieńczzone sukcesem były cechami wtórnymi. Białolenia nad niedolą polskiej drobnej szlachty były głośnie, bo to ta grupa ucieleśniała ideał hybrydy – tradycyjnego i „demokratycznego” myślenia: to pierwsze sławiło kult przodków, przywiązanie do tradycji, stanie na straży szlacheckiego honoru, cokolwiek miałby on znaczyć, to drugie zaś kazało pochylać się z troską nad ubogimi i prostaczkami. W rezultacie zalecano ludowi pracowitość, pozostawanie na swoim miejscu, poprzestawanie na małym, a drobna

szlachta najlepiej nadawała się na taki zlepek ludowości ze szlachetnością.

W drobnoszlacheckości – nawet nie szlacheckości – dostrzegam pewne cechy współczesnej polskiej kultury masowej. Ulegną one zapewne zanikowi pod wpływem ekspansji „globalnej wioski”, ale ciągle są widoczne, nieraz jaskrawo – kiedy kontrastują z modernizacją gospodarczą oraz instytucjonalną i hamują ją. Jak bardzo żywotna jest drobnoszlachecka mentalność, mogłam odczuć po opublikowaniu w latach 1974 i 1977 prac, w których analizowałam źródła dotyczące tej grupy społecznej; spotkały mnie tyleż gwałtowne, co zabawne i ciekawe – z punktu widzenia trwałości rozmaitych przesądów – ataki. Czym więc była ta grupa, której do dziś z wielkim zaangażowaniem broni wielu ludzi?

Szacuje się, że w drugiej połowie XVIII wieku w Rzeczypospolitej 10% ludności szczytyło się autentycznym lub podrabianym szlachectwem. Jeśli weźmiemy tylko ludność mówiącą po polsku, to do szlachty zaliczała się 1/4 tej ludności. Jest to coś zupełnie wyjątkowego – nawet tak arystokratyczny kraj jak Francja nie miał więcej niż 1% osób zaliczanych do Stanu Pierwszego. Szlachta monopolizowała własność ziemi i polityczną władzę, a o ostatecznym zniesieniu jej formalnoprawnych przywilejów można mówić dopiero po odzyskaniu przez Polskę niepodległości w 1918 r.; do końca panowania rosyjskiego jej przywilejem było zwolnienie od kar cielesnych, ulgi w czasie odbywania kary więzienia i zesłania, ułatwienia paszportowe i edukacyjne. Ważne jest to, że polska szlachta wywalczyła sobie równość niezależnie od stanu posiadania. Od XVI wieku prawo nobilitacji miał Sejm, czyli „naród”, nie król. W Rzeczypospolitej

istniał zakaz ubiegania się o tytuły książąt, hrabiów i baronów (tytuły pojawiły się późno, w XVIII i XIX wieku), jako nadawane przez obcych monarchów – król polski nie mógł nadawać tytułów polskiej szlachcie. Ustawa z 1673 r. powiadała, że kara dozgonnej infamii spadnie na tego, kto przyjmie tytuł od obcego króla. Wyjątkiem były rody litewskie i ruskie, wywodzące się od dawnych władców, podpisanych na aktach unii (zachowywały tytuł kniaziowski). Nie było większego zaszczytu – mawiała szlachta – jak być obywatelem wolnej Rzeczypospolitej. Owa demokracja szlachecka, utożsamiana niesłusznie z demokracją w ogóle, jak również liczebność szlachty, przyczyniała się do silnej mitologizacji szlachty jako stanu.

Tak liczna grupa musiała być wewnętrznie zróżnicowana. Osobliwością polską była możliwość posiadania szlactwa (z konsekwencjami tego, a więc – przywilejami) bez posiadania jakiegokolwiek własności. Wyróżniano więc w Polsce magnaterię, szlachtę bogatą (posiadającą od 6 do 20 folwarków), zamożną (od 2 do 5 folwarków), średnią (jednofolwarczną), cząstkową (właściciele części wsi), zagrodową (miała trochę ziemi i czasem czeladź, ale nie miała chłopów poddanych), czynszową (dzierżawców ziemi), służbową (utrzymującą się z pracy, przeważnie w majątkach ziemskich) i wreszcie – brukową (nie posiadającą nic prawie, utrzymującą się z różnych zajęć w mieście). Ta ostatnia grupa najwcześniej zasilila inteligencję i czasem wsiąkała w drobnomieszczactwo.

Zajmijmy się szlachtą zagrodową, którą wraz z właścicielami części wsi można ująć w jedną kategorię drobnej szlachty. Nazywano ją także szlachtą zagonową lub zaściankową, „szarakami”,

zagrodowcami. Nie odgrywała ona nigdy ważniejszej roli gospodarczej; areal uprawianej przez nią ziemi był taki jak w przeciętnym gospodarstwie chłopskim, prowadziła mało wydajną i w dużym stopniu naturalną gospodarkę i nie zasługiwałaby na uwagę, gdyby nie zadziwiająca trwałość tradycji i przesądów społecznych. Siedziała ona zwartymi grupami głównie na kresach wschodnich dawnej Rzeczypospolitej, w Galicji południowo-wschodniej i w Królestwie Polskim na Mazowszu i Podlasiu, ze szczególnym zagęszczeniem w łomżyńskim, gdzie większa własność ziemiska (prywatna) należała do rzadkości. Mimo reform 1807 i 1864 r., mimo iż akcja legitymizacji szlachty prowadzona przez władze carskie nie objęła tej grupy, co oznaczało ostateczne pozbawienie jej przywileju, zagrodowcy uważali się za „herbowych”. Ogólną liczbę ludności drobnoszlacheckiej w 1827 r. w Królestwie Polskim oblicza się na 32,5 tys. rodzin (w stosunku do 239 tys. szlachty), a w przededniu reformy uwłaszczeniowej na 280 tys. osób, co stanowiło 4,7% ogółu ludności wsi prywatnych. Liczna była też drobna szlachta na obszarach wcielonych bezpośrednio do Rosji, nieliczna natomiast w Galicji i w Wielkopolsce.

Czym można tłumaczyć trwałość drobnoszlacheckiej tradycji? W 1807 r. ustawodawstwo Księstwa Warszawskiego zrównało drobną szlachtę i chłopów, ale w latach 1815-1830 mogła ona ujawnić swą obecność na sejmikach. W Rosji w 1831 r. zostało wydane prawo o szlachectwie, zrównujące szlachtę polską i rosyjską, choć polska zachowała nawet większe przywileje (na przykład mogła osobiście nie służyć w wojsku). Od tej pory istniał podział na szlachtę wylegitymowaną

(*dworian*) i nie wylegitymowaną, *raznoczincew*, którzy trafiali zwykle do kategorii *grażdan*, byli to lekarze, nauczyciele, adwokaci, artyści itp. Wyróżniano też *odnodworcew* osiadłych na własnych gruntach lub czynszowników, a także wyposażoną w dom i ziemię służbę dworską. Odrębność *grażdan* i *odnodworcew* została formalnie zniwelowana w 1868 r. Prawo o szlachectwie z 1836 r. i utworzenie Heroldii było ze strony caratu próbą odbudowy – na nowych podstawach – stanu szlacheckiego, ale wobec drobnej szlachty mogło to mieć tylko jeden skutek: sprowadziło ją do sytuacji ludności chłopskiej. Wśród 17 tys. osób, które do 1856 r. przeprowadziły dowód szlachectwa i je zatrzymały, prawdopodobnie nie było wcale przedstawicieli szlachty zagrodowej. Mimo to pamięć o szlacheckim pochodzeniu i przesąd, że samo to jest źródłem wyjątkowych przymiotów, przetrwały. Trudno przypuszczać, by zagrodowcy usiłowali podkreślić swe szlachectwo z powodu konkretnych korzyści. Początkowo realnym wyróżnikiem było pełne posiadanie ziemi, wolnej od świadczeń na rzecz dworu, ale po 1864 r. nie miało to już znaczenia. Nawet wylegitymowana szlachta miała kłopoty z uznawaniem jej przywilejów, zwłaszcza w okresie represji popowstaniowych, uchylono też wolność od służby wojskowej i kwaterunku. Bezpośrednio po 1863 r. znaczna część drobnej szlachty przestała głośno powoływać się na swe szlachectwo w obawie przed represjami lub w nadziei na uzyskanie jakiejś korzyści z okazji reformy uwłaszczeniowej.

W latach 1864-1914 przeciętny stan posiadania drobnej szlachty nie ulegał zmianom, tylko w guberni łomżyńskiej wzrósł z 33% do 38% (w 1894 r.)

ogólnego areалу ziemi, a w niektórych powiatach – nawet powyżej 60%. Te dane budzą wątpliwości ze względu na złą jakość carskiej statystyki i nieformalny charakter szlachectwa, ale faktem jest, że duża część rolników nie uważała się za chłopstwo. Istota gospodarowania była jednak taka sama, drobny szlachcic sam pracował na roli, do pracy wychodziła jego rodzina, tylko najzamożniejsi zagrodowcy pozwalali sobie na zatrudnienie parobka lub dziewczki, często zresztą dalekich i uboższych od siebie krewnych. Niechęć do innowacji i rutyna cechowały drobną szlachtę jeszcze bardziej niż chłopów i negatywnie oceniano jej sposób gospodarowania. Towarzystwo Kredytowe Ziemskie odmawiało często drobnej szlachcie pożyczek. W opisie wsi z okolic Przasnysza z 1888 r. w „Wiśle” czytamy: „Gospodarstwo włościanie prowadzą lepiej niż bliscy im sąsiedzi, drobna szlachta: nie zostawiają w polu nieużytków, szerokich miedz i wygonów, zbierają kamienie z roli, sadzą buraki i marchew, sieją koniczynę i inne rośliny pastewne, używają pługów żelaznych, sieczkarni, młocarni ręcznych itp. Lecz z drugiej strony, chcąc ciągnąć jak największe zyski z ziemi, wyjaławiają ją i wyniszczają, nie zostawiając jej ugorem i rzadko używając nawozem”. Jeszcze na początku XX wieku zdarzało się, że drobna szlachta używała do orki sochy. Czyżby decydował o tym tradycjonalizm, czy ubóstwo? Wszelkie reformy były negatywnie oceniane, co jest częściowo zrozumiałe, zważywszy na to, iż drobna szlachta nie czerpała z nich korzyści, choć i nic na nich nie traciła. Kiedy zdarzyło się, że zagrodowiec kupował ziemię z parcelacji i wraz z nią trafiała w jego ręce szklarnia, nie potrafił jej wykorzystać: „Po co tyle szkła? Może się jaki Żydzisko trafi i z kłopotu wybawi” – powiada

jeden z bohaterów *Panów braci Szaniawskiego*. Bogatsi mieli konie i po parze wołów, ubożsi tylko konie, które były zadbane i lubiane. Oszczędność była wielka, ale powodowała ona brak innowacji w zakresie narzędzi czy poziomu życia, unikano bowiem wszelkich wydatków pieniężnych. Jeśli zebrano się więcej gotówki, przeznaczano ją najchętniej na dokupienie ziemi. Od czasu do czasu gospodarz kupował wóz, plużyce, części do bryczki, a gospodynie – naczynia kuchenne, sól i ocet; wszystko inne starano się produkować we własnym zakresie, łącznie z płótnem na bieliznę czy piwem.

W drugiej połowie XIX wieku niewidoczna, ale niezwykle odczuwalna granica oddzielała wsie „szlacheckie” od „chłopskich” albo przebiegała w obrębie jednej wsi, dzieląc ludzi na „szlachtę” i „chamów” – taki podział występował jeszcze w latach sześćdziesiątych XX wieku, jak wykazały badania Marii Biernackiej i Danuty Markowskiej¹². Dowodem był brak małżeństw mieszanych między ludźmi przedzielonymi tą niewidoczną granicą. Kiedy w jednej z wsi córka zamożnego chłopca wyszła za mąż za biednego szlachcica, pamiętano to przez parę pokoleń. Dziewczęta wiejskie wołały wychodzić za mąż za wiejskich wyrobników niż za synów herbowego gospodarza, bo obawiały się zbyt wytężonej pracy i mimo to – niewielkich efektów. Wśród małżeństw zawartych w latach 1920-1944 we wsiach szlacheckich 85% stanowiły małżeństwa społecznie homogeniczne, we wsi chłopskiej – 60%, we wsi mieszanej – 93%, z tym że małżeństwa mieszane były zwykle szlachecko-miejskie lub chłopsko-miejskie, a nie szlachecko-chłopskie

¹² Zob.: Bibliografia.

(mieszczan zagrodowcy nazywali „łykami” i też mieli w pogardzie, ale ta pogarda z upływem czasu słabła). Urodzony w 1887 r. informator powiedział etnografom: „Jak się gdzie ślachcic z włościankom żenił, to ludziom tak dziwne było, jakby konia do krowy puścił”.

Izolacja występowała w sferze ekonomicznej: chłopci tylko w ostateczności wynajmowali się do pracy u drobnej szlachty, a jeśli to czynili, nie było „kumowania się” – zasiadania za wspólnym stołem do posiłków czy zwyczajowej – po zakończeniu pracy – wymiany podarków. Szlachta nigdy nie szła do pracy u chłopów. We wsiach mieszanych nie utrzymywano kontaktów towarzyskich, nie zapraszano się wzajemnie na wesela, urządzano oddzielne zabawy, ślachcic nie pozdrowił pierwszy spotkanego na drodze chłopca. Markowska twierdzi nawet, że bariery wyznaniowe, nie mówiąc o różnicach między szlachtą a warstwami miejskimi, okazały się słabsze od tej bariery społecznej. Potrzeba rozpaczliwego podkreślania odrębności od chłopstwa wynikała z faktu, że była ona najbardziej iluzoryczna. Ziemiaństwo wprawdzie dość ironicznie wypowiadało się o drobnej szlachcie, ale mimo wszystko traktowało ją nieco lepiej niż chłopów, starając się okazać odrobinę respektu. Tolerowano szlacheckie pretensje „szaraków”, ich napuszony sposób mówienia, bowiem drobna szlachta mogła okazać się sojusznikiem w sporach między dworem a wsią, trzeba było też oddać sprawiedliwość jej patriotyzmowi.

Bariery społeczne wewnątrz wsi istniały w XIX i XX wieku nie tylko w okolicach zaludnionych przez drobną szlachtę. Według badań etnograficznych we wsiach przebiegały liczne linie podziału, które

opierały się na różnicach majątkowych lub na dawnych podziałach na kmieci, zagrodników, komorników itd. Przez wiele pokoleń pamiętano jakiejś rodzinie, że pochodziła z chałupników. Jeszcze niższą kategorię stanowili potomkowie służby dworskiej lub dawni najemnicy, nazywani „przywleczechami”. W jednej z wsi zaobserwowano, że dzieliła się ona na lepsze i gorsze „dzielnice”: centrum nazywało się „Na Kmieciach” i było szacowne, potem szła zwykła wieś, wreszcie jej krańcowe zabudowania należały do najmniej szanowanych wieśniaków i nosiły nazwę „Na Końcu”¹³. Swoistość mazowiecko-podlaskiej wsi polegała na tym, że kryteria jej wewnętrznego podziału były bardziej mgliste i niewymieralne: nie należała do nich ani własność, ani obszar ziemi, ani wyraźne określenie dawnego stosunku do dworu i miejsca w folwarku. Kryterium podziału opierało się na wewnętrznym przekonaniu jednej grupy o tym, że jest ona lepsza od drugiej. Powoływano się też na pochodzenie od wolnego – w przeciwieństwie do pańszczyźnianego – gospodarza, co wcale nie było pewne, poza tym przodkowie niektórych chłopów też nie odrabiali pańszczyzny. Po II wojnie światowej czynnikiem konserwującym podziały na wsiach mazowieckich i podlaskich mogła być reforma rolna 1944 r., ponieważ z parcelacji skorzystali chłopci, a drobna szlachta w niej nie uczestniczyła.

Obserwatorzy stosunków zaściankowych w XIX i XX wieku byli zdziwieni, że szlachcic zagrodowy

¹³ K. Zawistowicz-Adamska, *Pomoc wzajemna i współdziałanie w kulturach ludowych*, „Prace i Materiały Etnograficzne”, t. 8/9, 1950/51, s. 1-154.

zaznaczał, jak tylko mógł, swoją wyższość nad chłopem, powodowany – jak mawiano – fałszywą ambicją. Choćby chłopci byli bogatsi, pozostawali dla niego chamami. Do dziś powtarza się czasem powiedzenie: okna do piwnicy rób takie, by chłopska ręka przez kratę się nie przedostała; szlachecka przejdzie, ale szlachcic nie kradnie. Istniały odrębne bractwa religijne, w kościołach i cerkwiach chłopci zajmowali ławki z lewej strony, szlachta – z prawej (kobiety wówczas ciągle jeszcze siadywały z tyłu, w tzw. babińcu). Wydaje się, że tradycje szlacheckie były niekiedy przypominane z powodów politycznych, zwłaszcza na kresach, ponieważ sądzono, że drobna szlachta stanowi „element przydatny do budowy państwa” jako jednolita narowo. Związek między polskością a szlacheckością skłaniał część prawosławnej ludności Ukrainy i Polesia do szukania dobrych kontaktów z Polakami, wplatania słów polskich w mowie czy używania spolszczonej wersji imion. W okresie międzywojennym 90% ludności Polesia należało do Kościoła prawosławnego i nie mówiło po polsku, ale ci, którzy uważali się za szlachtę, manifestowali swą wspólnotę z polskością i zachowywali pewne zewnętrzne oznaki staropolskiej kultury towarzyskiej, jak używanie zwrotu „waszeć”. Stało się to elementem folkloru na użytek letników. Chłop był zobowiązany tytułować zagrodowca „panem” lub „waćpanem”, Żyd zwracał się do niego „wasan”, o sobie nawzajem mawiano „jegomość”, „jejmość”, „waćpani”. Za zwrócenie się po nazwisku szlachcic obrażał się. W 1908 r. chłop w jednej z wsi nad Stryjem w Galicji ufundował obraz do cerkwi, za co otrzymał nawet podziękowanie metropolity lwowskiego. Jednakże „szaraczkowie” nie dopuścili

do umieszczenia obrazu w oltarzu, bowiem stary obraz był „szlachecki”. Spór o obraz ciągnął się kilka lat. Wyrażanie o chłopie pozytywnej opinii budziło zdziwienie – „tym chamom”, jak wyraził się jeden z bohaterów powieści Szaniawskiego, ufać nie należało.

Na Mazowszu i Podlasiu element etniczny nie występował, a bariery między zagrodowcami i „chamami” pozostawały nietknięte. W hierarchii społecznej zagrodowcy plasowali się między włościanami i oficjalistami a „inteligencją wiejską”, czyli „szlachtą wykształceńszą”, zamożnymi obywatelami ziemskimi. W latach pięćdziesiątych XX wieku dziennikarz z tygodnika „Świat” dał wyraz swojemu zaskoczeniu sytuacją, jaką zaobserwował w okolicach Węgrowa, Sokołowa i Siedlec. Były tam wsie podzielone na dwa odrębne, skłócone ze sobą i wzajemnie wobec siebie wrogie światy. Ci, którzy uważali się za szlachtę, nie chcieli posyłać dzieci do szkół, by nie siedziały pospółu z dziećmi chłopskimi. Ignorowali nazwiska chłopskie, uważając, że nazwiska przysługują tylko szlachcie. Szlachcianki pielili ziemię w rękawiczkach, aby zachować bielsze ręce od wieśniaczek. Antagonizm przenosił się na dzieci, które staczały między sobą bójki.

W XIX wieku przedstawiciel drobnej szlachty, zapytany, na czym polega jej wyższość, wskazywał na posiadanie ziemi (nie obciążonej świadczeniami na rzecz właściciela wsi), w XX wieku mówił po zastanowieniu: mego ojca i dziada nie bijano we dworze, z cudzego nie korzystaliśmy (w 1864 i 1944 r.), na pańskim nasi przodkowie nie robili itp. Ale już w pierwszej połowie XIX wieku pojęcie szlachectwa było mgliste i takie pozostało. Widomym znakiem szlachectwa mógł być herb i jeśli zachowano o nim

pamięć, to polecano go uwiecznić malarzom. Potem taki obrazek opatrywano różnymi sentencjami: „Krzywdy szlacheckiego herbu znak foremny”, „Dom ogień strawi, pole woda zmyje – to zawsze żyje”, oprawiano i pod szkłem wieszano na ścianie na widocznym miejscu. Dzisiaj niektóre osoby manifestują poczucie wyższości nad otoczeniem z powodu swego szlactwa, ale określenie podstaw dla tej wyższości wprawia je w zakłopotanie. W XIX wieku niektórzy sądzili, że realnym atrybutem szlactwa jest moralność i wiara katolicka:

„Zdolność szlachcie dawała i chleb, i urzędy,
I majestat mądrości, i rycerską sławę,
Kiedy umiał narodu pokierować nawę.
I było przekonaniem szlachcica polskiego,
Że go Pan Bóg stworzył zdolnym do wszystkiego;
Osobliwego w ducha nagromadził blasku,
Jeno szlachcic nie umiał bicza kręcić z piasku.
Zblednie tarcza herbowa, zgaśnie blask pancerza,
Jeszcze się ornamentem zaszczycę szkaplerza”.

196

Chłopi drwili z drobnej szlachty i przezywali ją nieraz obelżywie: „ty p...y szlachcicu herbowy, dwa psy w tarczy, jeden sra, a drugi warczy”. Biedak kłócił się z nędzarzem o to, u kogo jest brudniej – chłopi bowiem zarzucali drobnej szlachcie niechlujstwo i brak dbałości o porządek w obejściu. Ten zarzut można spotkać też w źródłach z XIX wieku. Chłopi używali wobec drobnej szlachty pogardliwych określeń, śpiewali niepochlebne piosenki i układali złośliwe wierszyki: „Jestem ja Mazur, Mazur bogaty, świecę się na mnie prześlicne saty: kosulke mam dreliskowom, właśnie jakby muślinową, dratwami sytom [...] Mam też sabelke ostro toconom, w kilku potsebach już wysycybionom; nieraz ja jom wywijiał, jakem się z chłopami bijał w karcmie na piwku” itd.

Można spotkać opinie, przeważnie wypowiedane przez ludność chłopską, że ubóstwo drobnej szlachty brało się z „przyrodzonego” lenistwa, przychylniejsi obserwatorzy podkreślali zaś pracowitość zagrodowców. Dzieci były wdrażane do pracy równie wcześnie jak dzieci chłopskie, a szlachcianki pracowały bardzo ciężko, bowiem nie tylko doglądały domu, zwierząt gospodarskich czy drobiu, ale wychodziły w pole, przędły, szyły, plotły chodniki, derki ze szmat, przerabiały świńskie szczecie, jeździły na targ z miodem i nabiałem, a ich specjalnością stała się hodowla gęsi i darcie pierza. Rola kobiet w zaścianku była w ogóle bardzo duża, przypuszcza się też, że ich pozycja w rodzinie była lepsza niż pozycja kobiet w rodzinach chłopskich. W mniej przychylnych dla zaścianka opisach czytamy, że mieszkania były brudne, smrodliwe i ciasne, czysta i wysprzątana była tylko jedna izba, w której gromadzono najcenniejsze sprzęty i drobiazgi, świadczące o wyższym statusie społecznym mieszkańców. W takiej izbie wisiał za szkłem wymalowany herb. Izby nie używano na co dzień, a rodzina gnieździła się w izbie kuchennej, gdzie po 3-4 osoby sypiały w jednym łóżku.

Ubodzy zagrodowcy niechętnie wynajmowali się do pracy (i nigdy – u chłopów), ale chętnie trudnili się pośrednictwem handlowym. Ci, którzy nie byli do tego zmuszeni, utyskiwali na „prowadzenie interesów z Żydami”, choć – przyznawali to z trudem – handel nie hańbi. Uczciwość drobnej szlachty, o której sama starała się przekonywać siebie i innych, można postawić pod znakiem zapytania, jest bowiem wiele świadectw, że zagrodowcy dopuszczali się oszustw, naruszali cudze mienie, i to nie tylko chłopskie. Oszukaniem chłopu niemal się

chlubiono, ale jak się nadarzyło – sięgano i po mienie „panów braci”. W dwudziestoleciu międzywojennym określenie „złodziej podlaski” stało się popularne i odnosiło się do mieszkańców wsi drobnoszlacheckich. Nagminne było wypasanie zwierząt na cudzych łąkach, koszenie cudzych koniczyn. Zagrodowcy celowali w tzw. nocnikach, jak nazywano nocne wypady po cudzą własność, na które zabierali nawet dzieci, by się przyuczyły. Zajmowali wtedy konie i bydło, które naprawdę lub rzekomo weszło w szkodę, przynosili snopki zboża z pola cudzego na swoje. Czasem wynajmowani byli pasterze, ale w czasie „nocników” dochodziło do bójek, pasterze porzucali więc pracę i niechętnie pozostawiali w szlacheckich zaściankach. Nocne wypady, bójki o las, o miedzę, o obrazę weszły do obyczaju, stały się chlubnym zajęciem i oznaką owej fantazji, która miała być elementem szczególnego uroku środowiska drobnoszlacheckiego. Bójki nie były tylko zabawą; na przykład w 1898 r. we wsi Sulęcín pod Ostrowią Mazowiecką w wyniku starcia między szlachtą a chłopami kilka osób zostało zranionych, a dwie – zabite.

Drobną szlachtę cechował indywidualizm; można dostrzec jego pozytywne i negatywne skutki. Jednym z nich była niechęć do wspólnego działania, mimo iż wszyscy chwalili zagrodowców, że są uczynni i gotowi do pomocy, jeśli się o nią poprosiło. Etnografowie z trudnością odnajdują ślady pomocy sąsiedzkiej i współdziałania na polskiej wsi, ale jeśli gdzieś do niego dochodziło, to nie wśród drobnej szlachty. Na początku XX wieku rozmaici działacze społeczni i polityczni inicjowali wspólne przedsięwzięcia (ich cele były różnorodne, przeważnie chodziło o podsycanie narodowych aspiracji), ale

mimo deklarowanego krzykliwie patriotyzmu zagrodowcy rozbijali je lub nie kwapili się do współpracy. Gdy trzeba było podjąć jakąkolwiek decyzję, choćby o przekopaniu rowu melioracyjnego, sejmikowaniu i sporom nie było końca. Podejrzewano się wzajemnie o intrygi i obrażano o byle co. Na początku XIX wieku zdarzało się jeszcze, że w wypadku procesu prowadzonego przez zaścianek z dworem lub chłopami zagrodowcy wybierali spośród siebie jednego „mędrka”, któremu powierzali obronę ich honoru. Pod koniec stulecia jedyną wspólną akcją bywało kupno i dzielenie majątku, zresztą nie wolne od bójek i procesów sądowych. Akcja parcelacyjna pogłębiała dezintegrację, którą na krótko przewyciężano, gdy trzeba było się zjednoczyć przeciwko chłopstwu. W dwudziestolecium międzywojennym paraliżowane były: budowa dróg, finansowanie szkół, naprawa mostów, nie tylko dlatego, że brak było zgody, ale też dlatego, że „trzeba płacić”, „nic to nie da”, „mnie tam to niepotrzebne”.

199

Naruszenie własności, zwłaszcza publicznej (w czasach PRL widać było tego skutki), w oczach drobnej szlachty nie było naganne, tym bardziej że rozróżniano między „ukraść” – zabrać coś, co było zamknięte, i „wziąć” – rzecz nie zabezpieczoną. Dlatego drobna szlachta – jak pisze Władysław Smoleński – choć chytra i podstępna, skłonna do bójki i szkodnictwa, obrażała się za posądzenie o kradzież. Można się łatwo przekonać, że i obecnie nielegalna transakcja, malwersacja, łapówka, sięgnięcie po własność publiczną nie jest potępiane, choć nie można udowodnić, że jest to cecha mentalności typowa bardziej dla Mazowsza i Podlasia niż innych terenów. Warto przecież zaznaczyć, że wszyscy, którzy pisali o tym środowisku, z apologetami szlacheckości

włącznie, widzieli negatywny wpływ drobnoszlacheckiego obyczaju na wieś. Buta szlachecka była podstawową przeszkodą w dobrych kontaktach z otoczeniem. Zagrodowiec wiedział wszystko najlepiej, musiał być pierwszy we wszelkich okolicznościach, a więc nie dał się wyprzedzić, gdy wracał z jarmarku, udowadniał, że „nie da się przepoić”, stał się zacietrzewiony i skłonny do awantur, gdyż przekonanie o własnej wyższości było brutalnie konfrontowane z codzienną rzeczywistością i lekceważeniem ze strony otoczenia. O agresywności „szlacheckich opojów, ciągle podejrzewających innych o obraźliwe intencje”, pisał Janusz Tazbir jako o typowym zachowaniu się przeciętnego szlachcica¹⁴.

Rodziło się z tego przysłowiowe drobnoszlacheckie pieniactwo; stało się ono namiętnością, hazardem. Zwłaszcza starsi, którzy już mniej pracowali, czuli się nieswojo, gdy kończył się jakiś prowadzony przez nich proces. Procesowano się nieustannie, dla zasady i dla honoru, nawet okres żniw nie odciągał od przebywania w sądzie, czym można częściowo tłumaczyć złe wyniki ekonomiczne gospodarstw. Całymi latami toczyły się sprawy o miedzę, o zajęte bydło, o owoce z gruszy rosnącej na miedzy, o to, „czyje wróble” objadły drzewa w sadzie, o kurę, o gąsiora, o zerwanie narzeczeństwa – liczono wówczas wszystkie wydatki, jakie były poniesione, by ugościć kandydata na męża. Szaniawski opisywał walkę dwóch zagrodowców o rój pszczół – usiadł on w stodole, która była własnością jednego, ale wynajmował ją drugi. Czyj więc był rój? Prowadzenie procesu było chlubne, przejście przez dwie lub trzy rozprawy stawało się swoistym

¹⁴ J. Tazbir, *Pochwała nieszczęśliwca*, „Kultura” 1973, nr 12.

pasowaniem na rycerza, po którym młodzieniec mógł z pewnością ubiegać się o żonę. Ciągłe przebywanie w sądach dawało trochę znajomości przepisów prawnych i procedury sądowej oraz pewności siebie. Procesy dostarczały materiału do wspomnień i pogawędek. Wskutek tej namiętności drobna szlachta wpadała w ręce adwokatów, pokątnych doradców i pisarzy. Już w latach trzydziestych XIX wieku wytworzył się typ adwokata, który „skubał drobną szlachtę”, a gdy dorobił się, to odchodził „grube łowić ryby”. Rozmaici pośrednicy bogacili się bez skrupułów i koszty sądowe dochodziły do takich rozmiarów, że wywoływało to zaniepokojenie w kręgach prawników; w 1892 r. adwokaci z Siedlec podjęli między sobą zobowiązanie, by dla dobra samych „szaraków” nie przyjmować spraw od pośredników i nie podejmować się każdego zlecenia, bo drobna szlachta boryka się z biedą – nieustanne procesowanie i chęć wyróżnienia się zabierały czas i opróżniały kiesy.

201

Wybór zawodu dla dzieci był podyktowany poczuciem honoru i obawą przed naruszeniem pozycji społecznej, względy ekonomiczne były drugorzędne. Ambicją było wykierowanie przynajmniej jednego syna na księdza lub urzędnika, dlatego drobna szlachta dbała o nauczanie dzieci i korzystała masowo z nauczania nielegalnego, powodowana nie tylko patriotyzmem. Synekurą była posada nauczycielska, zwłaszcza w okresie międzywojennym, otwarta także dla kobiet. Jeśli już nie taka kariera, to przynajmniej stanowisko niższego funkcjonariusza lub subiekta mogło od biedy zaspokoić aspiracje; przejście do rzemiosła było już degradacją (pisano nawet o „zadawnionym wstręcie do rzemiosła”), ale i tak znośniejszą niż praca u chłopa

lub w fabryce. Oceny stopnia oświecenia przedstawicieli drobnej szlachty i różnicy między nią a chłopami są sprzeczne. Z jednej strony wielu obserwatorów, nawet przychylnie usposobionych wobec zagrodowców, podkreśla ich zabobonność i ciemnotę, z drugiej wiadomo o przywiązywaniu wagi do nauki dzieci. Była to nauka na poziomie elementarnym, ale trzeba pamiętać, że na przełomie XIX i XX wieku jeszcze co najmniej 60% mieszkańców wsi było analfabetami. Zbyt często jednak powtarzają się opinie, że drobna szlachta stała nie wyżej od chłopów pod względem oświaty i ogólnego poziomu cywilizacyjnego, by przejść nad nimi do porządku. Dziećmi chłopów często opiekował się dwór, a na początku XX wieku z inicjatywy środowisk w mniejszym lub większym stopniu związanych z endecją organizowano kursy, szkółki, ochronki itp. Odgradzająca się od chłopów drobna szlachta pozostawała ze swą dumą i ze swymi zasadami jako relikwyt przeszłości.

202

Zagrodowiec „niewielkiej ogłady i nauki”, pisano, cywilizacyjnie stoi niezmiernie nisko: „w mieszkaniu i pokarmie okazuje wielką ograniczoność potrzeb; pod względem wychowawczego procesu niczym się nie różni od chłopca. Lecz posiada rodowe przesady, właściwy sobie, historycznie urobiony charakter, celuje ruchliwością umysłu i junacką fantazją; w społeczeństwie naszym szlachcic zagonowy stanowi typ odrębny”; „Nie złagodzone oświatą konsekwencje dumy rodowej, tak powierzchowności, jak i stronie moralnej szlachcica trywialny nadają wyraz: karykaturą i patologicznym go robią okazem. Chorobliwość moralna do znacznego dochodzi w nim stopnia, gdy obok arystokratycznych narowów wszystkie posiada

instynkty, nieokrzesanemu właściwe gminowi"; „Poziomem umysłowym szlachta niewiele różni się od chłopca. Czytelność wśród niej mało jest rozwinięta” – podobne stwierdzenia są w dawnych źródłach i w nowszych badaniach bardzo częste. W latach pięćdziesiątych XX wieku badano czytelność w powiecie sokołowskim: chłopcy czytali gazety, drobna szlachta – głównie powieści historyczne; sprzedawano tam 1 dziennik na 58 mieszkańców (średnia krajowa wynosiła 1 na 5) oraz 1 tygodnik na 33 mieszkańców (przy średniej krajowej 1 na 4). Według innych opinii drobna szlachta była wprawdzie tradycjonalistyczna i zabobonna, ale nieco lepiej wykształcona od chłopów. Garnęła się do oświaty, dzięki czemu wiele osób pochodzenia szlacheckiego weszło do palestry i urzędów; wprawdzie czasem trafiło się wśród niej „indywiduum szczególne i nieznośne, głupio pretensjonalne”, „ciemniejsze od najciemniejszego wieśniaka”, ale nie można tymi samymi barwami malować ogółu. Wydaje się, że pod koniec XIX wieku zagrodowcy zaczęli rzeczywiście doceniać oświatę jako szansę wybicia się ponad wiejskie środowisko, ale długo jeszcze żałowano pieniędzy na wyższą niż elementarna naukę. W szkołach elementarnych dzieci szlacheckie stanowiły 13-15%, zaś szlachta wśród ogółu mieszkańców 4-5%.

W kulturze szlacheckiej, adaptowanej przez drobną szlachtę, tkwił stereotyp „świętego rycerza barskiego”, który na skutek wrogości świata zewnętrznego zmuszony do porzucenia miecza, pozbawiony parlamentu (sejmiku), poświęcił się roli i kultuwyje tradycje. Stąd zapotrzebowanie na powieści i sztuki historyczne, będące elementem wychowania patriotycznego. Jeśli w dworku

szlacheckim wisiały jakieś obrazy, to oprócz religijnych były to sztychy wyobrażające księcia Józefa lub Napoleona (nie Kilińskiego!). Atrybutami szlacheckości były szabla, pług, wąż, obyczaj; drobna szlachta „święcie zwyczajów dawnych strzegła i przechowywała w sobie wszystkie ojców naszych cnoty”. Szacunek dla uczoności przejawiał się także w zamiłowaniu do oracji i kwiecistych, wyszukanych zwrotów, powiedzeń łacińskich i cytatów z Pisma Świętego. Zanotowano też swoistą wymowę wyrazów, tzw. czadzenie, czyli wymawianie sz i cz tam, gdzie powinno być s i c (owiesz, owcza itp.); prawdopodobnie była to hiperpoprawność – unikanie chłopskiego mazurzenia. Chętnie używano rozmaitych powiedzonek, w rodzaju „nie przymierzając”, zaś panny krygując się zmiękczały wyrazy: „Jeziu, jakziem się psielękla”. Takie maniere językowe lub hiperpoprawność są teraz charakterystyczne dla szerszych kręgów społecznych – co chwila słyszymy, czy trzeba czy nie trzeba, zwroty takie jak: „po prostu”, błędnie używane „dokładnie”, „pieniężki” itp. Drobny szlachcic był jednak dobrym kompanem, zawsze pewny siebie, ale gadatliwy i krotochwilny, celował w plotkach i lubił dowcipy, odznaczał się humorem.

Przywiązanie do tradycji szło w parze z wcześniej rozbudzonym patriotyzmem, który wyróżniał drobną szlachtę spośród narodowo indyferentnej (co najmniej do końca XIX wieku) chłopskiej masy. Kulturowanie tradycji i herbów musiało obudzić zainteresowanie historią – była to próba ogarnięcia myślą czegoś więcej niż tylko własnego zaścianka. Oddając usługi dla „sprawy narodowej”, dworki zarabiały na swe szlachectwo, które dawniej „starsi bracia” (szlachta autentyczna) krwią sobie

wywalczyli. Gdy w 1831 r. lokaj, syn szlachcica chodackowego i mąż ubogiej szlachcianki, zaciągnął się i bił się walecznie, został dzięki temu przyjęty do stołu i do towarzystwa szlachty posesjonatów. W powstaniu styczniowym drobna szlachta albo brała czynny udział, albo wspomagała powstańców i udzielała im schronienia, gdy chłopci pozostawali obojętni, jeśli nie wrogo nastawieni. Jedną z aktywnych uczestniczek powstańczego ruchu twierdziła: „Dworek nigdy mnie nie zawiódł, gdy dwór... różnie bywało”. Na przełomie XIX i XX wieku działacze Ligi Narodowej znaleźli najlepsze oparcie dla swej działalności w mazowieckim i podlaskim zaścianku. W latach 1905-1907 w tych stronach częste były strajki szkolne i zebrania gminne, na których wysuwano żądanie wprowadzenia języka polskiego w urzędach i szkołach, agitacja i manifestacje o hasłach patriotycznych. Rodziło się zainteresowanie światem i polityką.

205

Patriotyzm przybierał często formy skrajne i łączył się z podejrzliwością wobec wszystkich, którzy wydawali się mniej lub bardziej obcy. I w sprawach politycznych, i religijnych drobna szlachta cechowała egzaltacją. Duża nabożność, zauważana przez obserwatorów w ciągu ostatnich dwóch stuleci, stała się elementem światopoglądu, tak jak patriotyzm. Stereotyp: Polak to katolik, jeśli nie miał korzeni na Mazowszu i Podlasiu (na kresach spotkać było można zaścianki prawosławne i unickie), to w każdym razie przez drobiazg szlachecki był silnie podtrzymywany. Wpływ Kościoła na zachowanie był wyraźny; drobna szlachta potępiała nie tylko cudzołóstwo, ale i charakterystyczną dla chłopów rubasznosc – „szlachcic nie poklepie dziewczki po tyłku”. Mimo

zamiłowania do zabaw i przyjęć, mimo przystawionej fantazji szlacheckiej młodzież była nieśmiała, prawie nie znała zalotów, a separacja panien i kawalerów była większa niż wśród młodzieży chłopskiej. Małżeństwa zawierano za pomocą rajenia, stosowanego niemal do dziś, przy czym funkcje pośredników między dwiema rodzinami spełniali Żydzi, co jest dość paradoksalne, zważywszy na drobnoszlachecki antysemityzm. Może szlachcie swaty nie przystały, a kontaktów z chłopami bano się jak ognia? Ślubowanie abstynencji, które pod wpływem dawnych praktyk irlandzkich przewędrowało przez Europę i przyjęło się na ziemiach polskich, było bardzo popularne, mimo to pijaństwo szerzyło się – do każdego posiłku, z reguły skromniejszego od chłopskiego, piło się gorzałkę. Napojem dla gości był krupnik – palona wódka z miodem. Ślubowano zwykle nie pić określonego trunku, więc gdy wstrzymywano się od okowity, toczyło się obficie piwo lub raczono się innymi napojami.

206

Można powiedzieć, że sporą część budżetu pochłaniała konsumpcja luksusowa – *toutes proportions gardées*. Zagrodowcy byli gościnni, lubili rodzinne zjazdy, gościom na odjazdne wręczano tzw. gościńce (chłopi tego nie praktykowali). Ksiądz chodzący po kołędzie mógł liczyć na większy datek u zagrodowców niż u chłopów. Etykieta była wyszukana, ale odświętna – na co dzień w rodzinie nie przestrzegano grzeczności. W czasie oświadczyń młodzieńca obowiązywał uroczysty strój, od końca XIX wieku obowiązkowo musiał mieć zegarek, na który w czasie rozmowy co chwilę spoglądał i potrząsał dewizką. Panny krygowały się, próbowały naśladować podpatrzone zachowanie pań z zamożnego

ziemiaństwa, kiedy więc przyjęło się zakładanie nogi na nogę, czyniły to nader energicznie i z rozmachem. Odzież drobna szlachta uzupełniała rzadko, ale musiała mieć coś z ubrania, co różniło ją od chłopów – na przedmioty świadczące o wyższym statusie pieniędzy nie żałowano. Szlachcianka musiała mieć parasolkę i kapelusz (nie założyła chustki), wstążki, mufkę, perkalowe, nie płócienne suknie. Do pracy zagrodowcy ubierali się podobnie jak chłopci i chodzili boso, choć nawet robocze ubrania starali się jakoś wyróżnić – obszyciem białą tasiemką itp. Szlachcic nosił wąsy, które czernił, w niektórych okresach – bokobrody, zimą chodził w lisiej czapie (chłop – w baranicy), z tylnej kieszeni musiał wystawać rąbek chustki. Pod strojami nie było bielizny albo była ona nader zgrzebna i rzadko prana. Mycie i golenie było raz na tydzień, duża kąpiel – raz lub dwa razy do roku. Ręczniki bardzo długo nie były znane i wycierano się szmatami lub zdjętą do prania odzieżą.

207

Ocena drobnej szlachty jako grupy społecznej żyjącej w warunkach rozwijającego się kapitalizmu (a także i socjalizmu) i w ramach nowoczesnego społeczeństwa demokratycznego budzi zawsze emocje. Trudno się ludzić, że może to być ocena „obiektywna” – zawsze będzie podyktowana szerszymi przekonaniami i systemem wartości wyznawanym przez oceniającego. Obiektywizm może polegać na zestawieniu i analizie ocen pozytywnych i negatywnych; wśród historyków zajmujących się tą problematyką można zaobserwować pobłażliwość wobec przywar i przesądów „panów braci”, co jest dość naturalne: badacze chętnie zajmują się historią własnego środowiska i drobną szlachtą interesowali się najczęściej historycy sami z niej się wywodzący lub

przynajmniej przekonani, że są herbowi. Opinie publicystyczne wyraźnie falowały w miarę zmiany sytuacji i prądów politycznych: w okresie oświecenia atakowano sarmatyzm i szlachtę w ogóle, przy okazji „szarakom” dostawało się za ciemnotę, zacofanie, obronę przeżytków. Kiedy jednak drobna szlachta stała się ofiarą reform carskich i obiektem niechęci władz zaborczych, opinie uległy złagodzeniu: „W zmiennych warunkach dziejowych jej przywiązanie do swobód jednostki i opór wobec tyranii zaczęły obiektywnie służyć sprawie narodowej tak, jak jej poprzednio szkodziły” – napisał Janusz Tazbir¹⁵.

Moje własne – też nieobiektywne – zdanie tyczy wpływu drobnoszlacheckiej mentalności na mieszkańców miast i miasteczek w epoce „społeczeństwa masowego”. Dzieci drobnej szlachty w XX wieku masowo osiadały w miastach, zwłaszcza po 1945 r. w zniszczonej Warszawie, i zdobywały tam nie tylko wpływy, ale i pobłażliwą przychylność nielicznych grup wykształconej ludności, dlatego że wypełniały one społeczną lukę po eksterminowanej działaniami wojennymi i polityką okupanta, przedtem też niezbyt mocnej, klasie średniej i dzięki swojej malowniczości. Jak powiada Czesław Miłosz (w *Rodzinnej Europie*), zrujnowana szlachta uciekała do miast, zachowując dawne przyzwyczajenia i obyczaje, wyciskające piętno na wszystkich klasach, nawet na proletariacie, nie mówiąc o inteligencji. Ponieważ pozycja społeczna nie zależała od bogactwa, można było traktować bogacenie się jako wynik „rozpychania się łokciami”. Przeszkodą w rozwoju polskiego *civil society* były uprzedzenia narodowe i antymieszczkańskie

¹⁵ Tamże.

resentymenty, o których tak trafnie napisał poeta: „Jak może szlachcic w każdym calu (czy spadkobierca jego kultury) porozumieć się z mieszczaninem w każdym calu?”¹⁶.

Na skutek wojny, Holocaustu i wyniszczenia polskiej inteligencji, a także spustoszeń, których dokonano w większych miastach, znikło społeczeństwo w tym kształcie, w jakim zastała je wojna. Nastąpiło rozbicie tradycyjnej struktury społecznej; na miasta runęła wieś, przy czym proces ten został przyśpieszony w latach 1947-1949 wskutek odgórnich pociągnięć, które likwidowały „obszarników”, „kułaków” i gospodarkę rynkową. Jednocześnie dochodziło do „wieśniaczenia” – w sensie kulturowym – miast. Jakkolwiek, zdaniem Adama Podgóreckiego, traciło ono impet w latach siedemdziesiątych XX wieku, jednak dokonywało się stale. W paradoksalny sposób szło to w parze z utrwalaniem tradycji i nawyków szlacheckich, a przede wszystkim – drobnoszlacheckich. Miłosz napisał, że partyjni władcy PRL chętnie opiekowali się ludźmi pochodzenia szlacheckiego, dając tym dowód dużej bystrości. „Za demona zła uważali każdego obrońcę samodzielnych warsztatów pracy, czy w handlu, czy w przemyśle, czy w rolnictwie. Dźwignięcie się ludzkiego gatunku miało się dokonać poprzez zabicie popędów do gromadzenia” – i w tym między inteligencją o postszlacheckiej mentalności a władzą zachodziła zgodność. W inteligencji bowiem, zdaniem poety, tkwił instynktowny wstręt „do łokcia, miary i wagi jako symboli nieczystych. Nie ma w istocie nic

¹⁶ C. Miłosz, *Rodzina Europa*, Warszawa 1990, s. 139.

bardziej antymieszczańskiego niż niektóre odłamy inteligencji, bezbronnie wobec pieniądza. Nie otarli się one wcale o prywatny kapitalizm, zachowując średniowieczny wstręt do lichwy. Moi przełożeni, niekoniecznie zdając sobie z tego sprawę, wyznawali ideologię naznaczoną silnie przez atawistyczne urazy zubożałych szlachciców, tych twórców rewolucji w literaturze i polityce". Miłosz powołuje się na Alberto Moravię, który zauważył, że Raskolnikow zabijając lichwiarkę był symbolicznym prekursorem tych, którzy dokonali ekspropriacji kapitału i nacjonalizacji ziemi. Inteligencja w PRL włączała się w „aparat” i jego sposób rozumowania: „Niszczenia prywatnych sklepów, gospodarstw i firm nie umiałem uczuciowo potępić (co nie znaczy, że je rozumowo pochwalałem), a nawet sprawiało mi to sadystyczną przyjemność”¹⁷.

210

Następowała dekompozycja tradycyjnych struktur klasowych, a nowe wzorce – życie na poziomie kultury masowej – kształtowały się jako wyalienowane z norm tradycyjnych. Socjologowie mają kłopoty z charakterystyką nowej hierarchii społecznej; łatwiej wskazać jej dwa krańcowe szczeble: szczyt stanowiła nomenklatura – ludzie mający w swych rękach środki ucisku, środki produkcji i środki masowego przekazu, na dole znajdowała się biedota, grupy, które można nazwać „egzotycznymi” (tak jak dawna cyganeria) i margines społeczny. Pomiędzy tymi dwiema klasami mieściła się cała reszta, nie tworząca jednak klasy w sensie socjologicznym, bo pozbawiona cech i interesów wspólnych, spójności, własnej tożsamości kulturalnej. Podgórecki uważał, że po II wojnie

¹⁷ Tamże, s. 37.

światowej wyłoniły się – oprócz nomenklatury – nowe klasy, takie jak „czerwona burżuazja” ciągnąca ku kulturze drobnomieszczańskiej i rozwinięta partyjna biurokracja¹⁸. Rozpaczliwie poszukiwano inteligencji jako grupy odrębnej i wypełniającej istotną rolę, ale na ogół jej nie znajdowano.

To, co tu napisano, nie jest atakiem na zaścianek i tradycje szlacheckie, na sielskość, prostotę (dziś już tak wątpliwą) życia wiejskiego, spokój i ciszę domu na wsi. Być z dala od zgiełku – to piękne, choć moim zdaniem nierealne. Jeśli jednak inteligencja uciekając na wieś znajduje tam spokój, to tym lepiej. Na całym świecie zachodzi proces upodobnienia wsi i miasta, rzecz w tym, że w krajach rozwiniętych jest to urbanizacja (w sensie cywilizacyjnym) wsi, w Polsce – rustykalne staje się miasto. Zaścianek – uroczy w swym naturalnym stanie – zaszczenia się w mieście i jest to przykry dysonans kulturowy.

¹⁸ A. Podgórecki, *Spoleczeństwo polskie*, Rzeszów 1995, s. 79-80.

IX. Straszni mieszczenie i jeszcze straszniejsza drobnomieszczańskość

„Sybilla, zapytana o przeznaczenie Marozji, rzekła: 'Widzę dwa miasta: miasto szczura i miasto jaskółki'» Wyrocznie zinterpretowano w ten sposób: dzisiejsza Marozja jest miastem, gdzie wszyscy biegają po podziemnych tunelach z ołowiu, jak stada szczurów, które wyrwają sobie z zębów resztki wypuszczone z zębów przez najgroźniejsze szczury; lecz wkrótce zaczną się nowy wiek, kiedy wszyscy w Marozji będą szybować jak jaskółki po letnim niebie, przywołując się jakby dla uczestnictwa w zabawie, popisując się akrobacjami przy nieruchomych skrzydłach, oczyszczając powietrze z much i komarów [...] Może cały sekret w tym, żeby umieć wypowiedzieć odpowiednie słowa, wykonać odpowiednie gesty we właściwej kolejności i tempie, albo wystarczy czyjeś spojrzenie odpowiedź znak, wystarczy, żeby ktoś coś zrobił dla samej przyjemności i po to, żeby jego przyjemność stała się przyjemnością innych: w takim momencie zmieniają się wszystkie przestrzenie, wysokości, odległości, miasto przeobraża się, staje się krystaliczne, przejrzyste jak wałka” (Calvino, 119-120).

212

Na zmiany terminologii i ewolucję sensu przydawanego poszczególnym nazwom wpływ miała polityka. To, co początkowo było pożądane lub heroiczne, z perspektywy innej epoki (lub innego kraju) traciło pozytywny sens, a zyskiwały na wartości nowe treści. Klasa średnia była raz obiektem adoracji, a raz niechęci, ale w Polsce częściej obserwujemy niechęć. Politycy, filozofowie i uczeni, od Johna Stuarta Milla, poprzez Alexisa de Tocqueville, Karola Marksa, Arnolda Toynbee do Raymonda Arona, główną rolę w walce z

absolutyzmem i systemem przywilejów, a także w tworzeniu nowoczesnego, demokratycznego i liberalnego państwa, przypisywali tej klasie, nazywanej mieszczaństwem lub burżuazją. Szeroko rozumiane postawy liberalne odróżniały ją od drobnomieszczaństwa, które tęskniło za korporacją i reglamentacją. Drobnomieszczaństwo wołało żyć w takim społeczeństwie, w którym każdy znał swoje miejsce, żądało od państwa ochrony przed polaryzacją społeczną i przed kapitalizmem zorganizowanym. Rozwinięta klasa średnia chciała mieć swą reprezentację w państwie i samorząd, postulowała więc demokratyczne reformy. W Europie Zachodniej dokonała rewolucji, jeśli nie w sensie dosłownym, jak we Francji, to w przenośni, jej bowiem należy zawdzięczać przekształcenia od *ancien régime* do nowoczesności, od feudalnych do kapitalistycznych stosunków. Pozytywny wydzźwięk takich przymiotników jak burżuazyjny, obywatelski, dżentelmeński wynikał z doceniania osiągnięć ludzi, którzy zawdzięczali wszystko sobie, oraz tych, którzy mając godnych szacunku przodków, potrafili zachować i pomnażać ich dziedzictwo, respektując tradycję.

Uznanie dla klasy średniej nie było jednak powszechne i niezachwiane. W końcu XVIII wieku w Niemczech małżeństwo z mieszczką groziło długo utratą szans na ordery i inne godności, a także majoraty. W niektórych miastach w teatrze mieszczenie mogli zajmować tylko ostatnie rzędy i to wtedy, gdy usiądą arystokraci. Dopuszczani na bale, mogli tylko patrzeć na tańce arystokracji, a posiłek spożywano przy różnych stołach i z zachowaniem odpowiedniej odległości. Kurorty, na przykład Karlsbad, były dla mieszczańskich niedostępne. Zachowała się odmienność strojów, ale z czasem samo mieszczaństwo zaczęło obnosić swój

strój z dumą. Duża rola szlachty przetrwała długo; burżuazja starała się zdobywać tytuły i małżonków pochodzenia szlacheckiego, nabywać dobra ziemskie, manifestować arystokratyczne upodobania.

Wspomniany już uprzednio fikcyjny mieszcuch, Spießbürger Biedermeier, filister wymyślony dla celów parodystycznych, wkroczył na niemiecką scenę w połowie XIX wieku. Od niego wzięta się pogardliwa (dziś – w powszechnym przekonaniu – nobilitująca) nazwa stylu w sztuce stosowanej. Odpowiednikiem Biedermeiera we Francji był *Monsieur Prudhomme*, ale nie stał się tak symboliczny jak jego niemiecki sobowtór. W Monachium około 1860 r. karierę zaczęło robić określenie „kicz” (*Kitsch*), co mogło oznaczać zgarnianie czegoś, przerabianie rzeczy starych na nowe, ale także nakłanianie do kupna. Stało się oznaką cwaniactwa i odnoszono je do rzeczy uznanych za tandetne, którym brak było autentyczności i w których raził nadmiar (*Überfluß*, „ja nicht zuviel”) czy to komfortu, czy intymności i przytulności. Słowo zrobiło karierę międzynarodową i kicz oznaczał „oddziaływanie romantyzmu na niemieckie kołtuństwo” (według słów György Lukácsa, przytaczanych przez Marię Żmigrodzką).

W Anglii pejoratywnego wydźwięku nabrało słowo „snob”, którym już od lat sześćdziesiątych XIX wieku zaczęto określać ludzi, którzy nic sobą w rzeczywistości nie reprezentują, ale uważają się za lepszych od innych tylko z racji urodzenia. Później nawet słowo *gentleman* zaczęto wypowiadać ironizująco. Ale prawdziwie wściekły atak na wartości mieszczańskie przypuściła awangarda artystyczna na przełomie XIX i XX wieku; jeszcze kilkakrotnie, także po II wojnie światowej, następowały fale agresywnego potępienia wszystkiego, co przypisywano kulturze burżuazyjnej czy

mieszczańskiej „kulturze sytości”, albo później – „amerykanizacji”. Podnoszono przede wszystkim sprzeczność między racjonalnością gospodarczą (intereselem własnym) a postawą obywatelską (obowiązkami wobec społeczeństwa). Już Charles Baudelaire był jednym z pierwszych rycerzy tej krucjaty, kiedy pisał, że „człowiek usiłujący być pożytecznym wydawał mi się zawsze czymś obrzydliwym”. Dołączali do niej kolejno Arthur Rimbaud, Alfred Jarry, Wacław Berent oraz cała konstelacja gwiazd dwudziestowiecznej literatury i przedstawicieli nauk społecznych, z Thorsteinem Veblenem na początku pochodu. Pod wpływem tych tendencji nastąpił schyłek mieszczańskich koncepcji ludzkiego działania, wymiany gospodarczej i stosunków społecznych. Wydaje się, że nie mamy tu do czynienia z konfliktem między różnymi klasami, jak chce Daniel Bell, ale z wewnętrznym rozdarciem klasy średniej, potęgowanym dokonującymi się zmianami w świecie – ich tempem i niespodziewanym obrotem.

215

Wyśmiano mieszczańską przytulność, hafty na ścierkach i makatkach z umoralniającymi przypowieściami, które wkrótce zrobiły furorę na wsi. „Na serwantce stoją głębokie misy miedziane, w których się nigdy nie gotuje, i potężne kufle cynowe, z których się nigdy nie pije; na ścianie wiszą buńczuczne szpady, których się nigdy nie skrzyżowało, i dumne trofea, które nigdy nie zostały zdobyte. Jeśli jakiś rekwizyt służy do określonego celu, nie śmie żadnym sposobem występować we właściwym mu kształcie. Wspaniała biblia gutenbergska okazuje się neseserkiem zawierającym przybory do szycia, rzeźbiona szafa ścienna to orkiestron, nożyk do masła to turecki sztylet, popielniczka ma kształt pruskiego hełmu, stojak na parasole – rycerskiego pancerza,

termometr – pistoletu. Barometr ma formę basetli, zsuwak do butów jest jelonkiem, spluwaczka jest żółwiem, przyrząd do obcinania cygar – wieżę Eiffla. Dzban na piwo to zakonnik, który za każdym haustem stracony bywa o głowę, zegar stojący jest pouczającym modelem lokomotywy, pieczeń przyprawia się z pomocą szklanego jamnika, który kicha solą, a likier nalewa się z miniaturowej beczułki, którą dźwiga ładniutki osiołek z terrakoty¹. Co jest interesujące, niemiecką i wiktoriańską solidność i przytulność, uważaną za ulubiony styl wewnątrz mieszczkańskich, na ziemiach polskich pierwsza zaczęła wprowadzać szlachta i inteligencja, urządzając swe miejskie mieszkania. Biedermeierowskim elegantem był młodzieniec szlachcic, a dopiero pod koniec XIX wieku zaczął go naśladować subiekt i młody urzędnik. Prowincjonalny „stan trzeci” kompensował sobie faktyczną degradację naśladowaniem tradycji arystokratycznych, sama jednak arystokracja stroniła od „inteligentów” ze względu na niski poziom materialny i kulturalny „chudopachołków” lekarzy czy urzędników².

W Polsce burżuazję (sfery finansowe) zawsze traktowano nieufnie, jeśli nie wrogo, a wartość przypisywano jedynie mieszczkaństwu, które w rzeczywistości było tym, co na Zachodzie nazywa się drobnomieszczkaństwem. Dla Józefa Blizińskiego sojusz ziemiańsko-mieszczkański był „obustronnym kłamstwem”, choć rzeczywiście dla młodego pokolenia szlachty, zagrożonego ruiną, jedynym ratunkiem – uważał pisarz – był sojusz z kapitałem mieszczkańskim.

¹ Cyt. za: L. Przemski, *Fin de siècle po polsku*, Warszawa: PIW, 1966, s. 253.

² L. Sadowski, *Polska inteligencja prowincjonalna i jej dylematy na przełomie XIX i XX w.*, Warszawa 1988, s. 71-72.

Najlepiej, radził, ożenić się z kupcówną, bo to ona zmieni nazwisko, czyli szlacheckie nazwisko pozostanie. Jest znamienne, że w Polsce nie ma w sztuce dzieł literackich autentycznie reprezentujących klasę średnią (nawet *Lalkę* trudno uznać za takie), ani malarzy uwieczniających ją i mieszczańskie życie, tak jak robili to Ferdinand Georg Waldmüller, Friedrich von Amerling, Edmond Jakob Schindler, Gustaw Klimt czy Carl Justus Rudolf Moll. Burżuazja w XIX wieku była określana jako „plutokracja”, „kapitałści pieniądza” itd. Niechęć do tej klasy społecznej manifestowała zarówno szlachta, jak „stare mieszczaństwo”, zagrożone w swej pozycji ekonomicznej. Kapitalistom miano za złe, że byli nowobogackimi, za niewłaściwy uznawano ich styl prowadzenia interesów. Zwłaszcza Żydów oskarżano o oszustwa, nieposzanowanie tradycji handlowych, uprawianie lichwy, podbijanie cen, obniżanie jakości produkcji, działanie na szkodę obywateli chrześcijan. Przeciwstawiano temu uczciwe interesy, poszanowanie przepisów korporacyjnych, godziwy zysk, bogactwo zdobyte pracą i inne cechy „dobrego” mieszczaństwa. Kapitalizm nie może się rozwijać bez kredytu i polega między innymi na akumulacji – pomnażaniu zysków poprzez korzystne obracanie pieniędzem zamiast wydawania ich na konsumpcję i tezauryzację, ale mieszczanin starego typu w długach widział załóżek upadku. Do końca XIX wieku ideałem pozostał – nawet dla takiego autorytetu, jakim był Ludwik Krzywicki – przedsiębiorca, który nie miał długów, czyli nie zaciągał pożyczek i zadowalał się stałym zyskiem, za największe osiągnięcie życiowe uważający stabilizację. Mniej potępiano młodego szlacheckiego utracjusza, który pożyczał i nie oddawał, niż tego, kto mu na hulanki dawał pieniądze na procent. Nawet w XIX wieku fortuny kapitalistyczne były traktowane podejrzliwie,

mimo iż wielu ludzi arystokratycznego pochodzenia miało udziały w spółkach akcyjnych, zasiadało w radach nadzorczych i zarządach. Obcość burżuazji była stale podkreślana, bo posiadaczami największych pakietów akcji były banki, także zagraniczne, zagraniczne spółki i cudzoziemcy.

Gdy burżuazja naśladowała szlachecki styl życia, była oskarżana z tym większą gwałtownością o pychę, „małpowanie” i rozrzutność. Gdy pomnażała zyski – wołano, że kieruje się prywatą, jest „przepojona zgnilizną”. Mieszczanie albo piją, albo „czołgają się całe życie w próżnowaniu”, pisali publicyści XIX wieku. Jak wspomniałam, szlachcic-utrącajusz był traktowany bardziej pobłażliwie, a jeśli się opamiętał, zasługiwał na wybaczenie i rękę cnotliwej herbowej panny, pochodzącej z rodziny szczytującej się ofiarami złożonymi na „Ołtarzu Ojczyzny”. Polski romantyzm w gruncie rzeczy rzadko nawoływał do buntu, częściej – do pokory, i za najważniejszy uważał stosunek do Boga i patriotyzm. Były to jednak proste postawy emocjonalne wyrażające przywiązanie do swojskości, bez teoretycznych i programowych ujęć. Taka „oportunistyczna wersja” koncepcji społecznych, jaka była w Polsce, nie proponowała radykalnej krytyki społecznej i zadowalała się potępieniem wad indywidualnych: pychy, chciwości, próżniactwa, rozrzutności, egoizmu, braku miłosierdzia, demagogii.

Trzy mogły być przedmioty adoracji moralistów społecznych: ubogi szlachcic, zacny rzemieślnik i skromny funkcjonariusz, zgodnie z zasadą „wyższości małego”. Dla *bourgeois-coquérant* nie było miejsca ani w sercach, ani w programach politycznych. Antykapitalizm wystąpił silnie także na Zachodzie, a zwłaszcza w Niemczech, bo nowe formy przedsiębiorczości (kapitał anonimowy) i zdarzające się

już kryzysy budziły niepokój, podobnie jak prądy burzące znany porządek społeczny. Obawiano się emancypacji kobiet, bezrobocia, ruchu robotniczego. Rozpowszechniła się więc moda wielbienia natury, oskarżania o dekadentyzm impresjonistów i symbolistów, a o spisek – Żydów. W powieści, nawet tej mieszczańskiej, pojawiły się dekadentkie typy burżuazyjne, takie jak Ulrich w *Człowieku bez właściwości* Musila, Trotta w *Marszu Radetzky'ego* Rotha, bohaterowie *Buddenbroków* Tomasa Manna, a zwłaszcza *Poddanego* Heinricha Manna. Rzecz w tym, że w Polsce nigdy nie było fazy burżuazyjnego triumfu.

Ze względu na zróżnicowanie kupiectwa pod względem pochodzenia, majątku, sposobu prowadzenia działalności, które zachodziło w latach trzydziestych i czterdziestych XIX wieku, tylko rzemieślnik-chrześcijanin mógł uosabiać polskiego poczciwego mieszczanina. Cnoty „starego mieszczaństwa” to poszanowanie przepisów korporacyjnych, godziwy zysk, uczciwość, a także – może i przede wszystkim – patriotyzm: obok Kościuszki wzorem dla Polaków mógł być tylko jeszcze Kiliński. W okresie wpływów pozytywistycznych i propagowania pracy organicznej szlachecka niechęć do „łokcia i miarki” była nie na miejscu, tym bardziej więc negatywne odczucia kierowano na „plutokrację”, „aferzystów”, „spekulantów”, Niemców i Żydów. Dobry mieszczanin musiał być skrzętny, bogobojny, trzeźwy, musiał mieć cichą i zapobiegliwą żonę otoczoną gromadą dzieciak – stereotyp ten przetrwał do II wojny światowej. Uprawianie rzemiosł miało być najlepszą drogą zdobycia powodzenia, które można rozumieć także jako osiągnięcie stabilizacji życiowej. Zachęcano mieszczan, by się kształcili, ale raczej poprzez „edukację

pożyteczną". Z jednej strony gardzono filisterstwem, z drugiej – propagowano je. Maksymy o „najsmaczniejszej zupie gotowanej we własnym garnku”, że „kto rano wstaje – temu Pan Bóg daje”, „modlitwą i pracą ludzie się bogacą” widniały nie tylko na ręcznie wyszywanych makatkach w kuchni. Z obywatelskich cnót Franklina zrobiono sobkostwo. Młodzież oskarżano, że gardzi rękodziełem; dziewiętnastowieczna dydaktyka powieściowa widziała w tej pogardzie źródło nieuchronnej ruiny warstw średnich. Drobnomieszczanina kreowano na pozytywnego bohatera narodowego, ale była to postać wymyślona, nie mająca wiele wspólnego z realnymi mieszkańcami przeciętnych miasteczek ani Warszawy, Poznania czy Krakowa.

220 Za idealizowaniem „stałego, dobrego mieszczaństwa” kryje się chyba to, że sama szlachta coraz częściej spadała do kategorii warstw miejskich; trzeba było się z tym pogodzić i znaleźć pociechę w nowej sytuacji poprzez wskazanie powodów do szacunku wobec mieszczaństwa. W praktyce szlachta mieszczała, zaczęła więc głosić, że żadna praca, nawet handel, nie hańbi, a nawet uszlachetnia. Miejska inteligencja pochodzenia szlacheckiego zaczęła modelować ideał człowieka niezamożnego, ale prawego i pożytecznego dla kraju. Stracił on majątek, choć nie był utracjuszem – sprzysięgły się złe moce: wojny, powstania i represje wpędziły w długi (o tym na skutek cenzury wyraźnie nie pisano), co wykorzystali krwio pijcy-lichwiarze („plutokracja pieniądza”), oczywiście – Żydzi. Szacownym przedstawicielem mieszczaństwa starego typu był zegarmistrz warszawski Gugenmus – wykształcony matematyk i bibliofil, był nim Józef Dionizy Minasowicz – syn kupca, który studiował prawo i był miłośnikiem poezji, oraz kilku

innych znanych rzemieślników i kupców. Z ludźmi tego pokroju szlachta mogła – nie hańbiąc się – utrzymywać nawet stosunki towarzyskie, choć w praktyce były one rzadkie. Na powtarzający się w literaturze motyw szewca – idealnego człowieka i wzorowego rzemieślnika, zwróciła uwagę Wanda Wołk-Gumplowiczowa, wysuwając hipotezę, że działał tu urok Kilińskiego, jedyne chyba w historii Polski mieszczanina, który uosabiał modelowego przedstawiciela stanu trzeciego³. Możliwe też, że szewcy po prostu najbardziej rzucali się w oczy jako najliczniejsza warstwa rzemieślników (20-30% ogółu).

Pozytywnym bohaterem w polskich dramatach był zwykle szlachcic, który osiadł w mieście, zmuszony do tego niepomyślną sytuacją ekonomiczną, i wziął się do pracy w rzemiośle lub przemyśle. Autorzy powieści i sztuk dydaktycznych obdarzali swych pozytywnych bohaterów – mieszczan lub zubożałą szlachtę – rozmaitymi cnotami, wśród których znajdowały się pracowitość, skromność, poprzestawanie na małym, miłosierdzie, uczynność i uczciwość w interesach, religijność i patriotyzm. Były to oczywiście cnoty postulowane, a nie zaczerpnięte z obserwacji. Przeciwwstawiano im zepsucie warstw wyższych, a zwłaszcza dorobkiewiczów – ci, którzy się wzbogacili, jak na przykład baron Karliński w *Salonie i ulicy* Józefa Dzierzkowskiego, byli gorsi od „wydziedziczonych”, jak szewc Karosz z tej samej powieści. Zwłaszcza w opiniach demokratów „arystokrację pieniądza” cechowała żądza władzy, pycha, bezwzględność i chciwość. Nie szanowała ona tradycji i prowadziła nieuczciwe spekulacje. Arystokracja rodowa, choć przegrana i podupadła, przynajmniej te tradycje

³ Zob.: Bibliografia.

kultywowała i mogła natchnąć młode pokolenia przykładami służenia ojczyźnie, lub chociażby dobrego tonu. „Magnaci giełdowi”, „spekulanci”, „monopoliści”, „kapitaliści pieniądza”, „plutokracja” – te określenia nabrały charakteru pejoratywnego i stosowano je do tych, których uważano za „najzepsutszą część społeczności miejskich”.

Negatywne opinie o nowej burżuazji brały się z tego, że była ona wyznaniowo i kulturowo obca. Antysemityzm zawsze był szczególnie silny w społeczeństwach chłopskich, w tych krajach, gdzie wieś była biedna i zacofana. Chłop lub szlachcic zagrodowy nie miał dość sił, by wspiąć się wyżej z jednego z najniższych szczebli drabiny społecznej, i swą frustrację zwracał przeciw Żydom. Pogardzając nimi, sądził, że nie znajduje się na dnie. Nie było więc jednej klasy średniej, bo różne grupy tych, które do takiej klasy pretendowały, wykluczały się wzajemnie. Także w oczach przedstawicieli innych warstw w miastach żyły obok siebie dwa różne światy: polski i żydowski. Publicystyka łódzka rozróżniała w swym mieście dwa środowiska „inteligencko-burżuazyjne”: polskie, którego wyrazicielem był „Dziennik Łódzki”, i niemieckie, skupione wokół „Lodzer Zeitung”, ale nie dostrzegała ona „burżuazyjnej inteligencji” żydowskiej – widziano po prostu Żydów, niezależnie od ich wewnętrznego zróżnicowania i odgrywanej roli. Odzyskanie niepodległości po I wojnie światowej niewiele tu zmieniło; zresztą termin „klasa średnia” pojawiał się w piśmiennictwie rzadko, a i wówczas nie przypisywano jej większego znaczenia.

Anonimowy publicysta „Biblioteki Warszawskiej” pisał w 1889 r.: „W żadnym zresztą społeczeństwie nie przedstawia mieszczaństwo takiej różnorodności przeróżnych żywiołów narodowości, charakterów, co

w naszym, nigdzie nie jest tak trudno dobrać wierne rysy, malujące treściwie stan mieszczański, określające wyraźnie, czym on jest, do czego dąży, co się od niego kraj może spodziewać". Czy w Polsce są tylko „rozbite mniejszości”? Obserwuje się brak wspólnoty interesów i jednocześnie – brak perspektywy przyjaznych stosunków. Tylko inteligencja coś sobą reprezentuje, ale nie ma udziału w samorządzie, a „o politycznej działalności miast mowy być nie może”. Przyczyny tego stanu rzeczy publicysta widział oczywiście w opanowaniu interesów przez „żywioly obce”, choć w domyśle jest także niekorzystna sytuacja polityczna, czyli brak niepodległości. Ideolodzy konserwatywni uważali, że doświadczenia europejskie dowodzą, jak kapitaliści są niebezpieczni (co więcej – wielki przemysł „nie powstał w interesie Polaków”), liberalizm zgubny, a sekularyzacja – destrukcyjna, jeśli więc Polsce potrzeba reform, to w duchu katolickim, w kierunku odbudowy moralnej, paternalizmu, zachowania języka ojczyznego i wzmocnienia rodziny.

223

W jednej z powieści zrujnowany szlachcic – Marszałek – odwołuje się do obywatelskich uczuć bankiera Goldhabera i domaga się od niego solidarności (Marszałek zapewne stracił majątek na skutek zaangażowania dla sprawy narodowej). Goldhaber jednak nie poczuwa się do obowiązku pomocy: „jestem finansistą – moim jedynym prawem jest interes. Niech każdy zbiera i ma pieniądze – oto najważniejszy obowiązek obywatelski”. Te słowa w intencji autora źle mają świadczyć o bankierze, więc pycha musi być ukarana. Inny bohater powieści – Rotmistrz, który jest ucieleśnieniem cnót szlacheckich – rozprawia się z Goldhaberem bez trudu, zmuszając go do ukorzenia się. Pieniądze można zdobywać, ale tylko przez pracę (udzielanie kredytu nie jest pracą),

„tylko majątki źle nabyte przechodzą na gorsze cele”. Pieniądzy też należy używać we właściwy sposób: nie na zbytek, ale ku powszechnemu pożytkowi. Przede wszystkim trzeba być miłosiernym (daleko tu od tej wersji moralności, która traktowała jałmużnę jako sprzyjanie lenistwu).

Inny bohater powieściowy rozdał całe swoje mienie chłopom, a własne dzieci wyposażył jedynie w wykształcenie i zasady moralne, za co były mu wdzięczne i zadowolone, że same muszą zapracować na dobrobyt. Tylko tu znajdujemy bezpośrednie nawiązanie do wskazań Benjamina Franklina: „Cała okolica wielbi ciebie. Pokazałeś serce i mądrość Franklina”. Tak więc rzeczywiście, jak pisała Maria Ossowska, franklinizm został adaptowany na użytek polskiej zdeklasowanej szlachty. Żydzi zaś dlatego byli godni potępienia, ponieważ „żyją tylko łokciem i miarką [...] nad własną korzyść nie widząc nic świętszego”. Jedynie poprzez wykształcenie, miłosierdzie, wielkoduszność i poświęcenie dla ojczyzny „kapalista pieniądza” mógł zyskać poważanie – ale przecież literatura dydaktyczna nie wspominała o tych, którzy wspierali instytucje charytatywne, byli mecenasami sztuki czy angażowali się w sprawy społeczne, o ile byli innowiercami i nuworyszami.

Ale i po drobnomieszczactwie nie spodziewano się zbyt wiele, bowiem dostrzegano jego słabość, przypisywaną zresztą zgubnej konkurencji „obcych żywiołów”. Lekceważący stosunek do ludzi żyjących z handlu wynikał z ich niewielkiego wykształcenia i dość niskiego stanu kultury. W latach siedemdziesiątych XIX wieku zauważano, że w handlu brak jest ludzi młodych i jako tako wykształconych; przeważali kupcy w podeszłym wieku, zaś subiekci ledwo umieli czytać i pisać. Dla wielu z nich karierą było objęcie stanowiska

buchaltera, kasjera lub protokolanta, a ambicje wyrażały się w przesadnej dbałości o wyszukany ubiór. Przedstawiciele młodzieży drobnomieszczańskiej wprawdzie lubowali się w teatrze i muzyce, ale nie najwyższego lotu, i prawie w ogóle nie czytali. W historiografii polskiej jest już bardzo wiele prac o rzemieślnikach w trzech zaborach, które pokazują niesłychanie niski stan materialny i kulturalny tej grupy zawodowej. Można nawet postawić tezę, że nie będzie błędem umieszczenie większości rzemieślników na samym dole drabiny społecznej, wraz z niewykwalifikowanymi robotnikami i marginesem społecznym.

Mylilibyśmy się sądząc, że wraz z apologią rzemiosła w pierwszej połowie XIX wieku, a także dzięki podtrzymywaniu idei ochrony drobnego przemysłu i handlu przez pozytywistów – z Ludwikiem Krzywickim na czele – i ich epigonów (jeszcze w okresie międzywojennym), nastąpiła rzeczywista demokratyzacja postaw lub zanik szlacheckich wzorców osobowych. Stwierdzano tylko, że rzemieślnik, kształcąc umysł i ćwicząc się w cnotach obywatelskich, też może być uczciwy i poważany. Potępiano szlachecką pogardę wobec kulturalnego i światłego mieszczanina, ale to było właściwie wszystko. Jedynym chyba polskim utworem o charakterze radykalnej utopii społecznej była sztuka *Burmistrz poznański*, której premiera odbyła się w 1782 r. Prawdziwym bohaterem późniejszych powieści i opowiadań, jak również publicystyki normatywnej, pozostawał zawsze pracowity i ojczyznę miłujący szlachcic. Tak na przykład w *Łokciem i miarką* Stanisława Grudzińskiego syn kupca korzennego Grodek, technik fabryczny, „choć wychowany w uprzedzeniach do szlachty – uchylał głowę przed

majestatem szlachectwa bijącym z czoła Rotmistrza. Sam czuł się niższym o całą wysokość rodzinnych w krew przeszłych tradycji, których nie znał, nie miał – a teraz poznawał ich potęgę i charakter”. W polskiej powieści, którą można zakwalifikować jako „biedermeierowską”, widać poszanowanie herbu i tradycji herbowego ziemiaństwa.

W publicystyce pochodzącej z XIX i początków XX wieku rysuje się obraz burżuazji jako grupy, która na ziemiach polskich nie wytworzyła własnego programu politycznego, własnej ideologii, obyczaju i stylu życia; w tym ostatnim co najwyżej nieudolnie i z przesadą naśladowała ziemiaństwo. Nawet demokryzacja myśli politycznej w okresie międzypowstaniowym, także na emigracji, nie posunęła się tak daleko, by o kapitalistach nie wyrażać się podejrzliwie. Towarzystwo Demokratyczne Polskie oskarżało burżuazję o brak aspiracji politycznych i patriotyzmu. Już raczej wychwalano plebs. Jednostronność opisów szlachecko-inteligenckiej proveniencji jest oczywista, ale to fakt, że żadna z polskich grup pośrednich, nawet inteligencja, nie wytworzyła ani ideologii, którą można by nazwać burżuazyjną, ani własnego programu politycznego. Wolna od wpływów szlacheckich była tylko „Lodzer Zeitung”, ale jako organ burżuazji niemieckiej, przeznaczony dla ludności zachowującej swą odrębność narodową i kulturową w obcym państwie, gazeta ta nie wzbudzała zainteresowania Polaków.

Założona w 1859 r. przez Kronenberga „Gazeta Codzienna” ma świadczyć /0 jak chce historiografia – o tym, że w niektórych kręgach burżuazji dojrzała potrzeba stworzenia własnego organu i uniezależnienia się od arystokracji. Obecność Józefa Ignacego Kraszewskiego w „Gazecie” dowodzi jednak, że nie ma mowy o radykalnym uniezależnieniu i że potrzebny był ktoś, kto

swym nazwiskiem dał swoiste świadectwo moralności. Wydaje się, że to raczej kształtująca się inteligencja chciała pobudzić inicjatywy nieszlacheckie i stworzyć klasę średnią, między innymi przy pomocy Kronenberga i finansowanej przez niego „Gazety”. Jeśli nawet odrzucić taką interpretację, to jest symptomatyczne, że Kronenberg nie palił za sobą mostów – potrzebował kogoś, kto zjedna pismu przychylność w kołach ziemiańskich i hołdujących tradycji. „Gazeta Codzienna” usiłowała udowodnić, że istnieje polski stan trzeci i że ma on – mimo swego przeważnie obcego pochodzenia – aspiracje uczestniczenia w rozwiązywaniu podstawowych problemów życia kraju. Może próba ta miałaby powodzenie, gdyby nie wybuch powstania styczniowego i późniejsza zmiana warunków oraz stosunku do sprawy polskiej w Europie. Jeśli Kronenberga uznamy za prekursora ideologii burżuazyjnej, to pozostaje kwestią otwartą, na ile był odosobniony w swoich poglądach i zamierzeniach, a na ile reprezentował szersze środowisko, z którego zresztą sam chciał się wyrwać.

227

Pisarze młodopolscy w cnotach mieszczkańskich widzieli tylko duszę filistra, socjaliści i radykalni narodowcy – egoizm klasowy i zdradę ojczyzny. Co ciekawe, nawet liberałowie, którzy doceniali teoretycznie dziejową rolę burżuazji (miała ona nosić „zarzewie buntu”), o polskiej klasie kapitalistycznej wypowiadali się bardzo krytycznie, zarzucając jej „nadmierny wyzysk” i „brutalny egoizm”. Szczególnym przedmiotem ataków był fabrykant łódzki (*Lodzermenschen*), oskarżany o uciekanie się do łapówek i oszustw, o dystansowanie się od przeprowadzania reform w interesie całego

⁴ T. Stegner, *Liberałowie Królestwa Polskiego*, s. 70-71.

społeczeństwa⁴. Najbardziej uprzedzenia te objawiały się na co dzień. Bezlitośnie wyszydzane były różne przypadki zbyt wygórowanych aspiracji mieszczan, by dorównać szlachcie stylem życia. W publicystyce z połowy XIX wieku czytamy: „Damy wysokich stopni towarzyskich stroją się w przywyknienia. Panie bankierowe – aby świat podziwiał ich bogactwa, a urzędniczki i kupcowe, aby pierwszym dorównać i broń Boże nie pokazać się w mniej ozdobnym albo mniej modnym stroju”. Zalecano też pozostawanie na swoim miejscu i przestrzegano, że dla mieszczanina zawsze źle się kończy, gdy próbuje on dostać się w szeregi szlacheckie. Przestrzegano przed zbytkiem i wystawnym trybem życia; jeśli kogoś na to stać, niech tak żyje, ale raczej przystoi to arystokracji, gdyż jej salony mogą stać się dla młodzieży „z niższej warstwy społeczeństwa” szkołą gustu i przyzwoitości, zachętą do kształcenia się na „szlachetniejszych wzorach”.

228

Wśród rozmaitych wad publicystyka wymienia często – jako najgorszą – „malpiarstwo”, zachowywanie się „z pańska”, naśladowanie „złotej młodzieży” przez „srebrną” i „miedzianą” (do tej ostatniej należeli urzędnicy i subiekt). Córki rzemieślników i urzędników powinny być kształcone praktycznie, na nic im bowiem „pseudo-muzykalność i filozofowanie”. Z jaką niechęcią została odmalowana „uczona” żona urzędnika – referendarza Rady Stanu, „edukowanego w Berlinie” syna mieszczanina z Bydgoszczy: pani referendarzowa, córka mieszczanina z podwarszawskiej Pragi, „wielkiej dodaje sobie powagi, inaczej stąpa i obraca się od innych niewiast, nie wdaje się z lada kim, a nawet zręcznie odpycha pokrewne mieszczaństwo od siebie”.

W opowiadaniu Adama Kosińskiego *Obląkana*, opublikowanym w 1855 r., ten schemat jest bardzo wyraźnie przedstawiony. Akcję umiejscowiono w 1838 r. gdzieś

w pobliżu Płocka i Wyszogrodu. Syn szlachcica wpadł w Warszawie w długi przez rozpustną kobietę, roztrwonil schedę po matce, ale – skruszonemu – ojciec wybaczył. Ojciec sam znalazł się w tarapatach, bowiem obraził dorobkiewicza, który wykupił weksle i z zemsty chciał zlicytować dobra szlachcica. Nie był on złym człowiekiem, tylko próżnym, i chętnie przystałby na ugodę, ale na przeszkodzie stanęła duma (oczywiście – nie próżność!) szlachcica, który nie chciał zniżyć się do próśb. „Za kogo mnie bierzesz, czyli już tak nisko upadłem, abym miał błagać o zmiłowanie człowieka, którym gardzę, dawnego sługę mych przodków” – brzmiał argument szlachcica. Człowiek, którym pogardzał, był kiedyś ekonomem, synem i wnukiem ekonomów. Zasłużył sobie na złe traktowanie tym, że wznosił pałac, „upstrzył go kolumnami, przeciążył ozdobami bez gustu. Wszędzie pełno herbów – na murach, widelcach itd., służba suto odziana”. Jednym słowem, parweniusza przepelniała próżność, która budziła nie śmiech, ale oburzenie.

Podobny schemat można znaleźć w powieści niemieckiej, zwłaszcza z drugiej połowy XIX wieku. Tylko nieliczni pisarze, jak Gustaw Freytag czy Theodor Fontane, którzy lepiej znali środowiska burżuazyjne, opisywali je przychylniej. Faktem jest, że burżuazja na przełomie XIX i XX wieku w Niemczech była w wyraźnej defensywie. Można podtrzymać tezę o magii szlachectwa oddziałującej na burżuazję. Wyrażało się to w naśladowaniu pałacowego stylu w budownictwie, w wyposażaniu wnętrz, w próbach – zwykle zawodnych – zawierania związków małżeńskich ze szlachtą w zamian za ratowanie jej od bankructwa. Didaskalia w sztukach teatralnych są dość dobrym źródłem, nasuwającym podobne spostrzeżenia, tak jak spisy rejentalne; wynika z nich, że burżuazja starała się

otaczać zbytkiem, lubowała się w złoceniach, zwierciadłach, pucharach, kosztownych drobiazgowych majolikowych. Modne wówczas ozdoby, wyroby złotnicze Malcza czy brązownicze Łopieńskich, nie były oparte na oryginalnych, mieszczańskich wzorach, lecz na dworskich, były przy tym dość ciężkie i tradycyjne. Tylko w Krakowie pod koniec XIX wieku, pod wpływem secesji wiedeńskiej, przenikała nowa, oryginalna moda – *Jugendstil* albo *art nouveau*, czyli modernizm.

Niechęcią obdarzono wreszcie drobnomieszczaństwo – francuską *petite bourgeoisie*, niemieckie *Kleinbürgertum*, angielską *petty bourgeois*. W obecnej socjologii historycznej mówi się często o *lower middle class*, przy czym zalicza się do niej majstrów w rzemiośle i w fabrykach, kupców detalicznych, właścicieli restauracji, barów itp., średni szczebel hierarchii urzędniczej, pracowników zwanych *white collars*, kadre podoficerską, a także farmerów. W historiografii dotyczącej XIX i pierwszej połowy XX wieku do drobnomieszczaństwa zaliczano drobnych kupców, właścicieli niewielkich przedsiębiorstw – głównie rzemieślników, osoby spełniające rozmaite funkcje usługowe, nie odznaczające się ani poziomem dochodów, ani wykształceniem. Przymiotnik „mały” lub „drobny” nie miał znaczenia deprecjonującego, jednak w drugiej połowie XIX wieku niemieckie *Kleinbürgertum* lub *Mittelstand* nabrały odcienia dwuznacznego, stały się peryferiami *Bürgertum*. Warstwa ta zaczęła być wyróżniana nie tylko według skali majątkowej, ale głównie na podstawie charakterystycznych dla niej cech, takich jak szczególna kultura materialna (wyposażenie domu itp.), korporacyjny sposób myślenia, przywiązanie do tradycji i hierarchicznego świata, uważanego za naturalny, bo tylko on pozwalał na realizację „prawdziwej” natury

ludzkiej, gwarantował równowagę i stabilność. Kres tego świata zaczął być postrzegany jako początek chaosu, spowodowanego zwłaszcza przez liberalizm lub socjalizm. Ze względu na ciche lub jawne poparcie nazizmu niemieckie drobnomieszczactwo jest w literaturze bardzo negatywnie przedstawiane – jako grupa cierpiąca na paranoję, bo oddająca się w ręce tych, którzy niszczyli wartości przez nią wyznawane.

W Polsce mniej więcej w połowie XIX wieku znane już wcześniej słowo „małomieszczanin” nabrało znaczenia pejoratywnego. Początkowo miało ono związek z prowincjonalizmem – w ten sposób określano mieszkańca małego miasteczka. Z czasem drobnomieszczanina utożsamiono z określonym typem ludzkim – prowincjusza, mieszkańca ciemnogrodu, kołtuna, który wzbudzał to niechęć i lekceważenie, to litość. „Drobnomieszczactwo” zaczęło robić karierę w końcu XIX wieku, jak sądzę, pod wpływem niemieckiego *Mittelstand*. Nadała mu rozgłos literatura młodopolska, która przypuściła szturm na konserwaryzm, zaściankowość, krótkowzroczność, hipokryzję itp. Nazywano tak zarówno „pocziwych rzemieślników”, jak i wszystkich, którzy żyli względnie dostatnio, odznaczyli się niewielkim wykształceniem, ciasnymi poglądami i zachowawczością, złym smakiem itp. Nie chodziło tu zresztą o określenie konkretnej grupy ludzi, ale mentalności, która zyskała etykietkę drobnomieszczacką (tak samo mówiono o drobnomieszczackim guście, stylu życia itp.), to znaczy filisterskiej.

Pojęcie pozostało amorficzne, o pejoratywnym zabarwieniu, i obejmowało nie tyle policzalną kategorię ludzi, co pewien twór kulturowy. Stąd drobnomieszczacki styl życia, gust, mentalność mogły cechować nie tylko rzemieślników i kupców, ale i osoby

z wyżej usytuowanych środowisk. Jeśli posłużymy się przykładem Krakowa, skąd wyszedł atak, dość wyraźnie ukaże nam się miejsce drobnomieszczaństwa: będzie ono między środowiskami artystycznymi – krakowską cyganerią – a „ludem”. Filistrem stawał się niemal każdy, kto osiągnął pewien próg dochodów, ale nie miał zbyt dużych ambicji; mógł to być zamożniejszy rzemieślnik, kupiec, urzędnik, prowadzący miejski tryb życia szlachcic. W młodopolskim buncie odnajdujemy niechęć wobec tradycyjnych wartości „starego mieszczaństwa”: rodziny, troszczenia się o dobra doczesne, pożytecznej „skromnej” pracy.

Granice między „drobnomieszczańskością” a „mieszczańskością” były płynne i „straszni mieszczenie” snuli się jak powracające widmo na kartach literatury pięknej następnych paru pokoleń. Jan Popławski na łamach „Głosu” pisał raz negatywnie, raz pozytywnie o mieszczaństwie. Uważał na przykład, że dawniej w Polsce było mieszczaństwo walczące, o szerszych widnokręgach, za jego czasów zaś (początek XX wieku) jest ono triumfujące, filisterskie, cyniczne, syte. Atak skierowany był przeciwko Bolesławowi Prusowi, który żył – zdaniem Popławskiego – w świecie literacko-kurierowym, wśród zapachów brudnej bielizny i przydymionej pieczeni. W innym zaś miejscu opisywał z sympatią proces rzekomego utworzenia się „warstwy średniej – mieszczaństwa polskiego” (bo Żydzi emigrowali do Niemiec, a ich miejsce zajmowali Polacy). Popławski chwalił wysoki poziom oświaty i kultury tego polskiego mieszczaństwa, choć przyznawał, że ster polityczny znajdował się w rękach szlachty, a inteligencja miejska wyrosła w szlacheckich dworach.

Do ataku na drobnomieszczaństwo przyłączali się nowi sojusznicy – socjaliści, choć w praktyce między

środkami rzemieślniczym i proletariackim nie było wielkiej różnicy. Rzemieślników i robotników fabrycznych łączono nawet w nomenklaturze zajęć, odróżniano bowiem tylko te osoby, które miały kwalifikacje, jak ślusarze czy stolarze, od wyrobników, ale nie troszczono się o to, w jaki sposób zarabiali. Tak też było w Wielkopolsce – w ruchu robotniczym zaboru pruskiego uczestniczyli częściej samodzielni rzemieślnicy niż żyjący z płacy robotnicy fabryczni. Dobry obserwator środowiska proletariackiego początków XX wieku ksiądz Aleksander Wóycicki zauważył awans społeczny wykwalifikowanych robotników, których plasował na jednym szczeblu z drobnomieszczaństwem. Dla rewolucjonistów jednak świat pozostawał złożony z klarownie określonych, antagonistycznych klas.

W dwudziestoleciu międzywojennym polska inteligencja była nastawiona antymieszczańsko i chyba nie inaczej pozostało do dziś. Nie ma ani jednego prądu literackiego, który by był przychylny tej warstwie. „Straszni mieszczanie” robią do nas grymasy w strofach wierszy i na kartkach książek, kiwają do nas ze scen, i całe pokolenia uczą się z *Moralności Pani Dulskiej*, że jest to gatunek ludzi zakłamanych i okropnych. Przestrzega nas przed nimi i Zapolska, i Tuwim, i Gombrowicz, a zupełnie niedawno – Wajda w swym wielogodzinnym filmie telewizyjnym „Z biegiem lat...”. Negatywnemu stereotypowi mieszczaństwa przyklasnęli ideolodzy i zarządzający kulturą w PRL – łatwiej przychodziło tolerować dawne ziemiaństwo niż przeciętną niezależność. Obrastać w dobra można było pod warunkiem, że stanowiły nagrodę za wysiłki przy budowie socjalizmu, inaczej było to nazywane „mieszczaniem”.

X. Dziedzictwo

....Czasem różne miasta następują po sobie w tym samym miejscu i pod tą samą nazwą, rodzą się i umierają nie znając się wzajemnie, pozbawione punktów stycznych. Czasem nie zmieniają się imiona mieszkańców, akcent ich mowy, a nawet rysy twarzy; lecz odeszli bez słowa bogowie, którzy mieszkają pod nazwami i ponad miejscami, a zamiast nich zagnieździł się tam bogowie obcy. Próżno byłoby zadawać sobie pytanie, czy są oni lepsi czy gorsi od dawnych, ponieważ nie ma między nimi żadnego związku, tak jak stare widokówki nie przedstawiają Maurillii w jej poprzedniej postaci, lecz inne miasto, które przypadkowo tak jak to nazywało się Maurilia” (Calvino, 25).

234

Tradycje należy chronić, by nie zanikały, bo są one jednym z najistotniejszych budulców i spoiw społeczeństwa. Między tradycjonalizmem a innowacyjnością powinna zachodzić pewna równowaga, albo inaczej mówiąc – podział sfer oddziaływania. Na ogół dość dobrze przyjmuje się zmiany technologii, jeśli w dziedzinie obyczaju i sposobu życia możemy zachować przyzwyczajenia i nie rujnować wartości, wpajanych w nas w dzieciństwie. Zmiany cywilizacyjne są nieuchronne i nic ich nie powstrzyma; tradycja może przecież ochronić nas jak tarcza przed zbyt gwałtownymi atakami nowości. Ale tradycja powinna być tylko amortyzatorem, a nie murem zbudowanym z lęków i przesądów. W dziejach polskich miast i miejskiego społeczeństwa dostrzegam ciężar takich tradycji, które stają się karykaturą, utrwalają przesady i ostatecznie sprawiają, że pod naciskiem zmian modernizacyjnych mogą runąć wszelkie tradycje.

Do złych tradycji w pierwszym rządzie zaliczam ksenofobię, dalej zaś – uchylanie się od odpowiedzialności – za otoczenie, miasto, kraj. Nie szanujemy polityków (niebezpiepodstawnie), ale nie bierzemy udziału w wyborach, bo nie warto, mamy to w nosie, zaś młodzi ludzie głosują nieraz „dla ubawu”, na przykład na Tymińskiego. Nie szanujemy sędziów, bo się boją, ale sami nie interweniujemy widząc zuchwalstwo złoczyńców, obawiamy się nawet stanąć przed sądem jako świadkowie. Domagamy się poszanowania naszych praw, ale nie potępiamy tych, co uchylają się od płacenia podatków, pobierają zasiłki chorobowe na „Iewe” zaświadczenia, zwłaszcza dalecy jesteśmy od potępienia kuzyna, krajana, kumpla. Mówimy z dezaprobatą o nepotyzmie w przeszłości, ale sami się dziwimy, że jakiś przyjaciel nie chce nam czegoś załatwić „po przyjacielsku”. Zawsze można znaleźć usprawiedliwienie dla łamania reguł etycznych przez siebie samego. Kolejną spuścizną jest nieumiejętność radzenia sobie z tym, co przynosi rynek, technika, wzrost materialnych możliwości. Za nasze niepowodzenia czynimy odpowiedzialnymi jakieś tajemne siły, knujących i spiskujących przeciw nam Żydów, obce banki, Rosjan, Niemców, NATO, liberałów i zielonoświątkowców.

Wiele pokoleń pracowało też na to, co jest dzisiaj może nie tak ważną, ale przykrą ułomnością kultury. Nie umiemy się poruszać w mieście, więc go nie lubimy, a nie lubiąc – dewastujemy je. Ulice są brudne, trawniki źle utrzymane, informacje służące ogółowi – zrywane, miejsca publiczne odstraszały wyglądem, obsługa sklepowa i w urzędach traktuje nas źle, a my z pokorą, której nas nauczyli dawniej „panowie”, potem – towarzysze, przyjmujemy złe traktowanie. Krajobraz miejski jest rozbabrany, wolność gospodarowania utożsamia się z samowolą, dlatego z ulic nie mogą

zniknąć łózka polowe służące za lady sklepowe, niechlujne i plastycznie wstrętne reklamy na dykcie, blasze, styropianie i wszelkich możliwych materiałach, w najrozmaitszych kształtach i różnej wielkości. Miasta nie mają centrum, poruszanie się po nich pochłania strasznie dużo czasu i jest niezwykle uciążliwe (zarządzający miejskim transportem nie korzystają z niego – jeżdżą służbowymi autami), nawierzchnie są takie, że przechodnie łamią nogi, a samochody resory. Razi brak estetyki w urządzaniu zieleni miejskiej, a potem brak o nią dbałości.

Kto może, urządza sobie działki w mieście lub ucieka na działki pod miastem, do prymitywnych nieraz chałupek, by więcej czasu poświęcać na zamykanie i chowanie rzeczy przed złodziejami niż odpoczynek na łonie natury. Posiadanie działki nie uspokaja, lecz stresuje, mimo to jest jak narkotyk – może dlatego, że większość współczesnych polskich miast nie ma żadnego uroku. Na zmiany specyficzne dla Polski nakładają się przeobrażenia dokonujące się wszędzie w świecie, nazywane macdonaldyzacją i tworzeniem globalnej wioski. Socjalizm pozornie przed tym bronił, ale też podzielał jak nadmierne wyjąłwienie – kiedy ochrona znika, organizm staje bezbronny w obliczu zakażeń. Pokolenia spragnione odmiany, wychowane w socjalizmie, nie są w stanie dać swym dzieciom ani krzty tradycji, których ciężar chroni przed całkowitym odlotem w globalną wioskę i świat wirtualny.

Zgadzam się z tymi, którzy uważają, że nie ma klasy średniej (w sensie socjologicznym). Istnieje heterogeniczny środek między sprawującymi władzę (poprzez dysponowanie aparatem państwowym oraz mediami) a mało wykształconym, fizycznie pracującym „ludem” miejskim i chłopstwem, ale ów środek nie ma żadnej spójnej ideologii, poczucia wspólnoty interesów, poczucia tożsamości. Nie ma też inteligencji w

dziewiętnastowiecznym sensie, choćby ta inteligencja była mitem albo postulatem; nikt już nie żąda od oświeconej części społeczeństwa sprawowania rządu dusz. Co więcej, „człowiek oświecony” chce zewnętrznie wtopić się w tłuszcę, zyskać miano „swego chłopca”, będzie więc używał w języku potocznym wulgaryzmów marginesu społecznego, chodził w swetrze do teatru i po proletariacku traktował kobiety. Grupy rządzące nie cieszą się prestiżem, nawet nie wzbudzają, jak dawniej, lęku; są obdarzane niechęcią i pogardą zmieszaną z zawiścią. Nie wiem, czy to dobrze, czy źle – po prostu trzeba zaprzestać operowania przestarzałymi pojęciami w opisywaniu obecnej rzeczywistości. Żałuję jednak, że w Polsce upadło Miasto. Zmiany są nieuchronne, ale naturalny metabolizm organizmu został zachwiany zwłaszcza przez II wojnę światową i politykę państwa po jej zakończeniu. Występuje wyraźny dysonans między poziomem cywilizacji dostępnej po 1989 r. a kulturą społeczeństwa – ma on nawet swój aspekt wymierny w postaci proporcji wypadków samochodowych i liczby ich ofiar w stosunku do liczby zarejestrowanych samochodów.

237

A przecież marzy się, by miasto naprawdę było „jasnym światłem”, targowiskiem interesów i nowości, królestwem rozrywki, dostarczycielem dreszczyka emocji, co prawda, często związanego z czyhającym w mieście niebezpieczeństwem, kuźnią talentów i szansą zdobycia wiedzy. Miasto, które wabi, wciąga, stymuluje, pulsuje życiem, ekscytuje, ale nie zniechęca do spacerów, nocnych eskapad, przesiadywania w parkach, na skwerach i nad rzeką, ciekawe i niegroźne dla odwiedzających bazyli ze starociami. Miłość zmieniła już formy, ale może kiedyś w parkach i w Ogrodzie Botanicznym, gdy zakwitną bzy, będą siadywały zakochane pary?

Bibliografia (wybór)

Nina Assorodobraj, *Elementy świadomości klasowej mieszczaństwa (Francja 1815-1830)*, „Przegląd Socjologiczny” t. X, 1948, s. 138-190.

Paul Bairoch, *De Jéricho à Mexico: villes et économie dans l'histoire*, Paris: Gallimard, 1985.

Max von Boehn, *Biedermeier. Deutschland von 1815-1847*, Berlin: Gaffiner, 1924.

Maria Biernacka, *Wsie drobnoszlacheckie na Mazowszu i Podlasiu. Tradycje historyczne a współczesne przemiany*, Wrocław: Ossolineum, 1966.

Biznes i klasy średnie. Studia nad etosem, pod red. J. Kurczewskiego i I. Jakubowskiej-Branickiej. Warszawa: wyd. UW, 1994.

Charles Booth, *On the City: Physical Pattern and Social Structure*, red. H.W. Pfautz, Chicago – London: University of Chicago Press, 1967.

Asa Briggs, *Victorian Cities*, 2nd ed., Harmondsworth: Penguin, 1968.

Bürgertum im 19. Jahrhundert. Deutschland im Europäischen Vergleich, red. J. Kocka, t. 1-3, München: DTV, 1988.

Ryszarda Czepulis-Rastenis, *„Klasa umysłowa”. Inteligencja Królestwa Polskiego 1832-1862*, Warszawa: „Książka i Wiedza” 1973.

Henryk Domański, *Spoleczeństwo klasy średniej*, Warszawa: IFiS PAN, 1995.

Drobnomieszczaństwo XIX i XX wieku, pod red. S. Kowalskiej-Glikman, t. I-III, Warszawa: PWN, 1984, 1988, 1992

Samuel P. Huntington, *Political Modernization: America vs. Europe*, [w:] *State and Society*, red. R. Bendix, Berkeley: University of California Press, 1973.

Inteligencja polska, t. 1-6, pod red. R. Czepulis-Rastenis, Warszawa: PWN, 1978-1991.

Ryszard Kołodziejczyk, *Miasta, mieszczaństwo, burżuazja w Polsce w XIX w. Szkice i rozprawy historyczne*, Warszawa: PWN, 1979.

Danuta Markowska, *Rodzina wiejska na Podlasiu 1864-1964*, Wrocław: Ossolineum, 1970.

Miasteczka polskie w XIX-XX wieku. Z dziejów formowania się społeczności, pod red. R. Kołodziejczyka, Kielce: Kieleckie Towarzystwo Naukowe, 1992.

Lewis Mumford, *The Culture of Cities*, 1st ed. London: Secker and Warburg, 1946.

Robert E. Park, E.W. Burgess, R.D. McKenzie, *The City*, Chicago – London: University of Chicago Press, 1970.

Adam Podgórecki, *Spoleczeństwo polskie*, Rzeszów: WSP, 1995.

Przemiany społeczne w Królestwie Polskim 1815-1864, pod red. W. Kuli i J. Leskiewiczowej, Wrocław: Ossolineum, 1979.

Władysław Smoleński, *Drobna szlachta w Królestwie Polskim*, [w:] *Pisma*, t. I, Kraków 1901.

Janusz Tazbir, *Pochwała nieszczęśliwca i nagana kariery. w literaturze polskiej*, „Kultura” 1973, nr 12.

Victorian City. Images and Reality, red. H.J. Dyos, M. Wolff, t. 1-2, London – Boston: Routledge and Hegal Paul, 1973.

Aleksander Wallis, *Socjologia wielkiego miasta*, Warszawa: PWN, 1967.

Wanda Wołk-Gumplowiczowa, *Chłopi, mieszczaństwo i szlachta w powieści polskiej w pierwszej połowie XIX w.*, „Przegląd Socjologiczny” 1939, s. 211-328.

Bibliografia

Wspólnoty lokalne i środowiskowe w miastach i miasteczkach ziem polskich pod zaborami i po odzyskaniu niepodległości, pod red. M. Nietykszy, Toruń 1998.

Marta Zahorska, *Inteligencja a społeczeństwo w myśli społecznej okresu warszawskiego pozytywizmu (z rozważań nad rolą oświaty i wykształcenia w świadomości społecznej)*, Warszawa: wyd. UW, 1989.

Janusz Ziółkowski, *Socjologia miasta*, Warszawa. „Arkady”, 1964.

Maria Żmigrodzka, *Polska powieść biedermeierowska*, „Pamiętnik Literacki” 1966, z. 2.

240



Z.406879

**Elżbieta
Kaczyńska**

profesor, specjalność: historia społeczna i gospodarcza XIX i XX wieku oraz historia systemów represyjnych. Pracuje na Uniwersytecie Warszawskim. Opublikowała między innymi: „Dzieje robotników przemysłowych w Polsce pod zaborami”, „Społeczeństwo i gospodarka północno-wschodnich ziem Królestwa Polskiego w okresie rozkwitu kapitalizmu”, „Wykłady z powszechnej historii gospodarczej” (wspólnie z Kazimierzem Piesowiczem), „Człowiek przed sądem” (dwa wydania), „Ludzie ukarani”, „Syberia – największe więzienie świata” (książka wydana także w tłumaczeniu na język niemiecki przez Campus Verlag, Frankfurt – New York), „Ochraha – carska policja polityczna” (wspólnie z Dariuszem Drewniakiem), jest także redaktorem i wydawcą tomów Źródeł, m. in. „Postulaty 1970-71 i 1980” (dwa wydania).